



MARTWE DZIEWCZYNY

GRAEME CAMERON

Graeme Cameron

Martwe dziewczyny

Tłumaczenie: Danuta Fryzowska

Dla najwspanialszej i najdzielniejszej Helen Cadbury,
a także dla Dereka

– Coś tu nie gra.

Sierżant Eli Diaz, do niedawna z wydziału kryminalnego komendy w Thetford, później oddelegowany do wydziału zabójstw komendy głównej i do dziś prowadzący poszukiwania kilku młodych kobiet zaginionych na terenie całego hrabstwa, zadumał się na chwilę nad zasadnością tego stwierdzenia.

Stał u stóp żelaznego pojedynczego łóżka przytwierdzonego śrubami do podłogi pokrytej czarną gumową matą. Łóżko stało wewnątrz klatki z siatki metalowej, sześć metrów na sześć, klatka stała pośrodku piwnicy, piwnica była ukryta pod garażem, a garaż stał tuż obok kamiennego domu w głębi lasu na otwartej ośmiohektarowej przestrzeni.

Należał do mężczyzny, który przynajmniej do tej chwili był głównym podejrzanym o przetrzymywanie Eriki Shaw, do niedawna uznawanej za zaginioną, która później zyskała status zbiega i ostatnio była widziana niespełna godzinę temu, gdy stojąc przed garażem, zastrzeliła jedną i usiłowała zabić jeszcze dwie osoby – dwoje detektywów współpracujących z Elim – zanim udało jej się uciec.

I teraz jedna z tych osób, sierżant Ali Green, do niedawna z wydziału kryminalnego komendy w Norwich, później oddelegowana do wspomnianego wcześniej wydziału zabójstw, obecnie przebywająca gdzieś sam na sam z tamtym mężczyzną, nie odbierała telefonu.

Diaz zgarnął komórkę z podłogi, gdzie ją wcześniej cisnął, i rzucił się do drzwi klatki, machając jeszcze na konstabla i krzycząc:

– Próbuje się do niej dodzwonić! – po czym zostawił go całkiem samego i wyraźnie zaniepokojonego.

Wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie za jednym zamachem, i nie zważając na rozsadzający czaszkę ból wynikający z błędnej oceny wysokości atrapy kredensu, wypadł na środek garażu.

– Green! – ryknął, pochwycawszy spojrzenie pierwszej pary oczu,

jaką napotkał jego wzrok, zdaje się, że należącej do konstabla z Norwich Road, Wintersa, Winterbourne'a czy jakoś tak. – Widziałeś Ali Green?

Wzruszenie ramion. Niepewny, przeczący ruch głową. A potem dobiegający z za pleców głos:

– Jest z właścicielem. Szli w stronę domu.

– Kurwa – raczej mruknął, niż powiedział, dławiony paniką.

Wybiegł z garażu na pogrążony w chaosie podjazd i siekący deszcz, roztrącając techników próbujących rozstawić biały namiot wokół ciała, i prawie zapominając o oddychaniu, pognął na łeb na szyję w kierunku domu. Daleko mu było do tej idealnie sprawnej maszyny, za jaką się uważał podczas porannego joggingu, zupełnie jakby bez spodenek, adidasów i opaski monitorującej aktywność był tylko nieporadnym, potykającym się o własne nogi żrebakiem.

Jeszcze zanim tam dotarł, wiedział, że nie będzie próbował zwolnić, i jeśli drzwi nie ustąpią od razu pod uderzeniem jego barku, na pewno zaboli.

Były otwarte. Tego się nie spodziewał. Odskoczyły na zawiasach, zbyt go nie spowalniając, więc gdy jego stopy napotkały plątanie płaszczy i przewrócony wieszak na kapelusze, runął jak długi, tak że powietrze uszło mu z płuc, po czym pokonał ślizgiem cały hol, zdzierając sobie skórę na nosie, łokciach i kolanach.

Nie przejął się bólem. Strach sprawił, że dźwignął się szybko na nogi. Odepchnął się od ściany, która powiększyła wgłębienie w jego głowie, i zaczął się obracać, skacząc wzrokiem od drzwi do drzwi, od kuchni do schodów, od schodów do salonu.

Nagle zamarł i wstrzymał oddech, nasłuchując przez głośny szum deszczu skrzeku krótkofalówek, przekrzykiwania się mundurowych i warkotu silników wysokopiętnych.

Cisza.

Postanowił sprawdzić kuchnię. Przywarł do ściany przy futrynie i zajrzał do środka. Pusto. Przewrócone krzesło. Na popękanej dębowej podłodze śliski karmazynowy bajzel. Poczul, jak ściska mu

się żołądek, a krtań wzbiera żółcią.

Chryste, nie, co on jej zrobił?

Naprzeciwko kuchni salon. Otwarte drzwi. Nieodparte uczucie, że coś jest w środku. Sofa. Pióropusz ciemnych włosów. Spokój.

Diaz wziął trzy boleśnie głębokie oddechy. Kątem oka obserwując szczyt schodów, podszedł ostrożnie do drzwi i wychylił lekko głowę, żeby zorientować się w sytuacji.

Pusto, poza nią.

– Cholera – mruknął. Stał tyłem do holu, wytyczając słuch. – Green?

Brak odpowiedzi.

– Ali? – wrzasnął na tyle głośno, że sam się wystraszył swojego głosu.

Nic. Cisza.

Wypuścił powietrze z płuc, pozbywając się adrenaliny. Ponownie sprawdził schody. Skrzywił się z bólu rozsadzającego sklepienie czaszki. Zaciśnął palce w pięści i skinął głową w daremnej próbie dodania sobie otuchy, powiedział:

– Już dobrze. Jestem tutaj – po czym wszedł do pokoju.

W salonie było zimno. Zimno, pusto i cicho. Grał telewizor, ale nie odbierał zwykłego programu; to było coś innego i Diaz od razu wiedział co, gdy tylko spojrzął na ekran. Obraz o dużej rozdzielczości ukazywał wnętrze klatki i konstabla, z którym właśnie się rozstał, nadal stukającego w ekran telefonu, przypuszczalnie w poszukiwaniu numeru, którego nie posiadał.

W pokoju panował też mrok. Oba okna – jedno od frontu, drugie z boku – miały zaciągnięte zasłony. Lampy były wyłączone, w kominku nie płonął ogień i wszystko spowijał cień: ciężkie regały zawalone książkami, różnymi drobiazgami i papierami; narożne stoliki zastawione pokraccznymi figurkami; długą, niską kanapę; fotele z bocznymi oparciami na głowę i stolik do kawy, na którym stały dwa pełne kubki i leżał samotny telefon. Ten cień spowijał wszystko z wyjątkiem ekranu telewizora i rzucanego przez niego snopu światła

pełnego tańczących drobin kurzu, który odbijał się jako dwa maleńkie, srebrne punkciki w oczach Ali Green.

Te oczy były otwarte, lecz mętne, niewidzące. Siedziała z bezwładnie rozchyłonymi nogami, ręce spoczywały przy bokach, palce były zakrzywione do wnętrza zwróconych ku górze dłoni, włosy leżały rozsypane na oparciu kanapy po tym, jak się na niej osunęła. Miała też otwarte usta. Gdy Diaz, nie powstrzymując przekleństwa, przykucnął między jej kolanami, zobaczył ślinę zebraną wokół języka i usłyszał bulgotanie dochodzące z jej gardła przy każdym płytkim, niepewnym oddechu.

– Ali – wyszeptał, w jednej chwili uświadamiając sobie boleśnie potrzebę zachowania ciszy, by móc usłyszeć choćby najlżejszy dźwięk, jaki z siebie wyda, na wypadek gdyby miał być ostatni. – Słyszysz mnie?

Położył rękę na jej ramieniu i poczuł drżenie, którego nie widział, coś jak wibracje wydobywające się gdzieś z głębi niej, ale nie odpowiedziała, nawet nie mrugnęła.

Nachylił się zatem bliżej, by przyłożyć usta do jej ucha, ale powstrzymała go krew. Cienka strużka ściekała z wolna między małżowiną a stawem żuchwy – swoją drogą cóż za delikatne uszka, zauważył, i uroczo spiczaste, jak u elfa – i dalej po szyi aż do kołnierzyka koszuli, żeby wykwitnąć na podszewce marynarki.

Przełknął z bólem powietrze, odchylił się na piętach, po czym wyjął telefon z kieszeni i najspokojniej, jak mógł, powiedział:

– Już dobrze, już dobrze, Ali, nic ci nie będzie – jakby naprawdę w to wierzył.

Odblokował komórkę, wklepał numer, żeby wezwać pomoc, po czym spojrzał w jej oczy i ku swemu zdziwieniu zauważył, że przeszywa go pełnym skupienia wzrokiem. Poruszała ustami, jakby chciała coś powiedzieć, więc odsunął telefon od ucha i skinąwszy głową, dodał:

– Wszystko w porządku – dla otuchy kładąc rękę na jej kolanie.

– Z... – wyszeptała. – Z...

– Już dobrze – powtórzył, kręcąc głową i zarazem potakując. W telefonie odezwał się czyjś głos, lecz on dalej ją uspokajał: – Pomoc jest w drodze. Leż spokojnie, nic ci nie będzie. Znajdziemy go.

Przyłożył komórkę do ucha i usłyszał:

– Sierżancie?

W tej samej chwili Ali Green wychrypiała:

– Za to... – a potem po policzku pociekła jej samotna łza.

Oddech uwiązał mu w gardle i zanim zamknęła oczy, zobaczył, jak jeden z tych srebrnych punkcików zasnuwa się cieniem.

Nie był w stanie wydusić z siebie niczego oprócz:

– Jest za mną, prawda?

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dwa miesiące później

Zabawne, jak umysł potrafi nas zaskakiwać, no nie? Weźmy mój, dla przykładu. Po trzydziestu czterech wspólnie spędzonych latach mam chyba prawo myśleć, że znam go dość dobrze. Skoro już spędziliśmy ze sobą dzieciństwo, kiedy wbijano mi różne rzeczy do głowy, i całe moje dorosłe życie, kiedy wychodziłam ze skóry, żeby sprostać jego wyzwaniom, to wręcz powinnam. A jednak oto stanęłam przed niespodziewanym dylematem.

Pomimo plusku wody i głuchego dudnienia dobiegającego z łazienki słyszałam, że dzwoni mój telefon, i wiedziałam, że skoro dzwoni o szóstej nad ranem, to pewnie sprawa jest na tyle pilna, że powinnam odebrać. Szkopuł w tym, że nie wiedziałam, gdzie go zostawiłam.

Normalnie, jak każdy człowiek, wyczołgałabym się z łóżka, dałabym sobie chwilę na dojście do siebie i poczekała, aż świat przestanie wirować, i założywszy, że telefon jest w torbie, a torba w salonie, poszłabym sprawdzić. Gdyby go tam nie było i przestałby tarabanić, zadzwoniłabym z telefonu stacjonarnego i prędzej czy później bym go namierzyła, żeby oddzwonić i wysłuchać złych wieści. Potem wlałabym w siebie litr kawy w płonnej nadziei, że dzięki temu będę mogła w miarę bezpiecznie prowadzić, ubrałabym się w pośpiechu i ruszyła w drogę.

Normalnie tak bym zrobiła, ale nie dzisiaj. Po pierwsze dziś, w przeciwieństwie do innych poranków, leżałam pod pościelą kompletnie naga, a obraz w jedynym oku, które z bólem zdołałam otworzyć, był tak rozmazany, że nie potrafiłam zlokalizować swojego ubrania. Biorąc pod uwagę możliwość krępującego spotkania z tajemniczą postacią okupującą prysznic, oznaczało to, że

musiałabym owinąć się gigantyczną kołdrą i kluczyć niepewnie, próbując poznać układ domu, który nie był moim domem, jak sobie mgliście uświadamiałam.

Telefon już nie dzwonił, za to snop światła przenikający przez cienkie żaluzje rozsadzał mi czaszkę niczym sztylet. Nagle prysznic ucichł, a serce zaczęło mi walić, jakby chciało połamać żebra. Jedyne, co mogłam zrobić, to nakryć głowę kołdrą i udawać, że mnie tu nie ma.

Nie wiem, jak długo czekałam. Słyszałam kroki na podeście, skrzypienie schodów, różne odgłosy – dzwonienie, łomot, pobrząkiwanie – dobiegające z kuchni. Ponownie rozległ się dzwonek mojego telefonu. Cholera! A potem na schodach znów zadudniły kroki, telefon dzwonił coraz głośniejsze, i po chwili, o mój Boże, ktoś wszedł z nim do pokoju.

– Hmm.

Zamarłam.

– Mogłabym przysiąc, że chwilę temu jeszcze tu była – powiedziała jakaś kobieta głosem jakby znajomym. – Gdzie ona się podziała?

Oślupiałam kompletnie skołowana. Telefon nadal dzwonił. Usłyszałam jakiś odgłos – czyżby kubek odstawiany na stolik? Ktoś usiadł na skraju łóżka, materac zapadł się, tak że o mało nie zsunęłam się w tamtą stronę.

– Żyjesz?

Wzięłam trzy oddechy, po czym skinęłam głową.

– Potakujesz?

Zaprzeciłam ruchem głowy i usłyszałam chichot.

– Przyniosłam ci kawę. Och, i dzwoni twój telefon.

– Wiem – wychrypiałam. – Dziękuję.

– Zostawię go tutaj. Jesteś głodna?

Nie byłam pewna. Przerazenie łatwo pomylić z głodem, prawda?

– Chyba tak.

– Łazienka jest wolna. – Poklepała mnie przez kołdrę po biodrze. – Pójdę sobie, żebyś mogła w spokoju odebrać. – Potem wstała i odeszła.

Odrzuciłam kołdrę na bok i otworzyłam oczy, mruganiem rozpraszając oślepiające światło. Na stoliku nocnym dostrzegłam zielony kubek, nad którym unosiła się para, a także krem do twarzy, herbatniki oraz chusteczki higieniczne. Nieco dalej z boku leżała książka z biblioteki. Moja torba z kolei leżała na podłodze obok łóżka i uporczywie brzęczała.

Schyliłam się z sykiem, czując w plecach ostry ból, i wygrzebałam telefon. Błagałam, żeby przestał dzwonić, ale ktoś był niezmordowany i najwyraźniej bardzo zdeterminowany, żeby ze mną porozmawiać. Tym kimś okazał się Kevin. Odebrałam.

– Kevin. – Westchnęłam.

– Ali – rzucił Kevin – tu Kevin. – To już wiedziałam. – Gdzie jesteś?

Cholera wie!

– Jak to gdzie jestem? Leżę w łóżku. Jest kurewsko wczesnie. O co chodzi?

– Jest szósta osiemnaście – uściślił. – Słońce weszło ponad godzinę temu, a ty powinnaś tu być od dwudziestu minut.

Z cichego muczenia w tle wywnioskowałam, że najpewniej dramatyzuje.

– Słyszę krowy. – Ziewnęłam i zajrzałam do szufladki stolika nocnego. Pełno w niej było gumek do włosów i starych cukierków, a także długopisów w pastelowych kolorach, plastrów mocujących i rozlicznych ładowarek.

– Jestem na łące – odpowiedział.

– Fantastycznie, ale pomyliły ci się poniedziałki. Wracam dopiero w przyszłym tygodniu. – Podniosłam książkę. Tytuł brzmiał „Grzeczna dziewczynka”. Wzdrygnęłam się.

– Chyba jednak nie.

– Wydaje mi się, że wiem lepiej. – Roześmiałam się. Śmiech przyprawił mnie o pulsujący ból w okolicy czoła. W ustach zaś czułam niesmak, jakby coś tam zdechło. – W piątek byłam u lekarza. Jestem jeszcze na zwolnieniu, leżę w łóżku i dzięki tobie znowu pęka mi głowa. Mam dzisiaj milion spraw do załatwienia i żadna nie dotyczy

zwierząt hodowlanych. Poza tym strasznie chce mi się siku, więc jeśli zaraz nie powiesz: „Przepraszam, Ali, zapo...”, nie, raczej: „Przepraszam, pani sierżant, proszę zapomnieć, że dzwoniłem. Życzę zdrowia i miłego weekendu”, to przysięgam na Boga, że cię dorwę i spuszczę ci solidne baty. Za tydzień. – Jako zakładki używała karty bibliotecznej... wystawionej na nazwisko Edith Macfarlane. A niech mnie, znałam ją.

– Przepraszam, naprawdę – powiedział, chichocząc ironicznie, a moje serce prawie stanęło. – Główny inspektor jest innego zdania. Myślałem, że już do ciebie dzwonił, ale cóż, wcale mnie to nie dziwi. Tak czy siak, sprawa jest jakby dla ciebie.

Czekał chyba wieczność, aż go zapytam, co ma na myśli, ale dość oczywiste było, że nie spodoba mi się jego odpowiedź, więc nie pytałam. Poza tym cały czas wstrzymywałam oddech, usiłując nie zmoczyć łóżka.

W końcu oznajmił:

– Znaleźliśmy Johna Fairey a.

I wypuściłam powietrze.

W łazience nadal było ciepło, lustro i okna wciąż zasnuwała para przypominająca o niedawnej bytności Edith. Na dnie wanny zalegał osad po jej kąpieli; był tak śliski, że nogi rozjechały mi się na wszystkie strony, gdy weszłam do środka i odkręciłam prysznic. Oparłam się o kafelki, zaciskając zęby pod naprzemiennymi strugami lodowatej i wrzącej wody, dopóki nie osiągnęła przyjemnej ciału temperatury. Wyszorowałam się mydłem Edith i wreszcie poczułam, że ściskający mnie węzeł paniki zaczyna się rozsypywać. Natarłam głowę szamponem Edith, a potem splukałam pojedyncze pasma jej włosów, które uczepiły się moich palców, kiedy sięgnęłam po jej odżywkę. Użyłabym też jej peelingu do twarzy, ale w tubce została tylko resztką. Dlatego, spędziwszy pod prysznicem zaledwie pięć minut, zakręciłam wodę i wytarłam się jej wciąż wilgotnym ręcznikiem.

Na szczęście miałam swoje ubranie, chociaż było pomięte i cuchnęło barem, a majtki właściwie nie nadawały się już do noszenia. Usłyszałam, że Edith kręci się na dole, więc wysunęłam górną szufladę komody, unikając swojego odbicia w lustrze, i zaczęłam grzebać w kłębowisku luźno zwiniętych damskich fig, upchniętych za starannie poskładaną jedwabną konfekcją. Wyciągnęłam jedną parę. Z Hello Kitty. Trudno, niech będą.

Wszystko inne musiało jeszcze dać radę. Stanik miał już za sobą trzy wyjścia, a czarne przykrótkie dzinsy chyba z sześć. Jasnożółty top odsłaniający ramiona co prawda nie był przeпоcony pod pachami, ale śmierdział wódką i perfumami, chociaż dezodorant i świeże powietrze zapewne rozwiązałyby ten problem. Dobrze, że przynajmniej byłam na tyle przezorna, żeby włożyć wygodne buty, bo miałam ochotę rzucić się sprintem do drzwi i stąd uciec.

Tylko dokąd?

Ostrożnie rozchyliłam żaluzje, osłaniając oczy drugą dłonią, i spojrzałam przez palce na okolicę. W zasadzie nie było na co patrzeć – szereg klockowatych domów po drugiej stronie ulicy, podjazdy obstawione niemieckimi oraz szwedzkimi samochodami w odcieniach czerni i szarości, łącznie z tym parkującym bezpośrednio pod oknem. Mój wóz był jasnoczerwony, więc od razu zauważyłam, że tam nie stoi. Gdzie więc był, do cholery? I gdzie, do diabła, byłam ja?

Edith o wiele łatwiej było zlokalizować. Siedziała przy stole kuchennym i powitała mnie krótkim „hej” oraz uśmiechem. Nic się za tym nie kryło – ot, zwykła poranna dawka uprzejmości.

Ewidentnie nasłuchiwała, czy schodzę; przyszykowała mi filiżankę świeżej kawy i miskę płatków ryżowych, które jeszcze strzelały i pykały, czy co tam zwykle robią.

– Zrobiłam ci śniadanie.

Usiadłam naprzeciwko niej, dziękując w duchu za swoją karnację; mam w połowie środkowoazjatyckie geny, więc nie opalam się na czerwono, i co ważniejsze, czerwienię się też ledwo zauważalnie.

– Dzień dobry – przywitałam się, próbując zapanować nad głosem, i oczywiście osiągnęłam efekt zgoła przeciwny. – Dzięki.

– Dobrze spałaś?

Moje wnętrzości skrzyły się z przerażenia. To podchwytliwe pytanie? Wiedziała, że nie pamiętam niczego z zeszłej nocy?

– Jak niemowlę – odparłam. – A ty?

Kolejny neutralny uśmiech.

– Nie najgorzej, zważywszy na okoliczności. Znalazłaś swój ręcznik? Och.

– Tak – skłamałam i zdradziłam się, kręcąc głową. – Dziękuję.

Patrzyłam z ustami pełnymi płatków, jak czyta „The Independent”, żałując, że w tle nie gra telewizor czy choćby radio, które mogłoby zagłuszyć moje odgłosy chrupania i przeżuwania. Wysiłki podejmowane przez Edith w tymże samym kierunku zdawały się przynosić znacznie lepsze efekty.

Była już ubrana. Miała na sobie czarny, szyty na miarę żakiet zapinany na pięć guzików i pasującą do niego spódnicę tuż za kolana. Siedziała z wyciągniętymi pod stołem nogami, jej kostki – smukłe i lekko opalone – spoczywały wygodnie skrzyżowane zaraz obok moich. Kasztanowe włosy przetykane czarnymi pasemkami były związane w luźny kucyk. Promienie słońca, rozpraszane przez kwiaty i stare, zabytkowe butelki na parapecie, igrały kolorami tęczy na trójkątnych partiach jej szyi, osiadając w zagłębieniu obojczyka, który wyzierał spod bluzki. Jej krągłe piersi...

– Wszystko w porządku? – spytała, choć zabrzmiało to, jak: „Zainteresowana?”.

Zaskoczona podniosłam wzrok. Czułam, że się rumienię.

– Hmm?

Złożyła gazetę i odrzuciła ją na bok, potem przysunęła bliżej kawę i dosypała cukru z cukiernicy stojącej pośrodku stołu.

– Nie wyglądasz najlepiej – stwierdziła, celując we mnie łyżeczką i zataczając nią kółka jak czarodziejską różdżką. – Chyba nie zwymiotujesz?

Właśnie dotarło do mnie, że mam buzię pełną letniego mleka i rozmiękłych płatków ryżowych, które w rozkojarzeniu zapomniałam przełknąć. Zrobiłam to teraz.

– Nie, czuję się świetnie – odpowiedziałam beznamiętnie.

Parsknęła cynicznie.

– Czyżby? – spytała, mieszając kawę. – Widywałam cię w lepszym stanie. – Podniosła kubek do ust, dmuchnęła ceremonialnie na gorący napój i upiła łyk. – Jesteś zła?

Odłożyłam łyżkę do miski z niedojedzonymi płatkami i odsunęłam ją od siebie, bo nagle straciłam apetyt.

– Oczywiście, że nie! – Przerazona, owszem. Skołowana, speszona i głęboko zawstydzona, jak najbardziej, ale nie zła.

– To dobrze, bo... wiesz...

To nie znaczy, że chcę o tym rozmawiać.

– Wiem.

– To nie tak, że...

– Rozumiem.

– Chodzi mi o to, że wczoraj naprawdę świetnie się bawiłam, ale...

Zachłysnęłam się kawą.

– Ale teraz muszę iść do pracy. – Uśmiechnęłam się.

Odwzajemniła uśmiech i zamyśliła się, wbijając wzrok w stół. W końcu skinęła głową i oświadczyła:

– Taa, ja też.

– Nie wiem tylko, gdzie mam samochód.

– Ach. – Zachichotała. – Zostawiłaś go pod pubem, pamiętasz?

Nie.

– Podrzucę cię – zaproponowała. – Uwiniesz się w pięć minut?

Potwierdziłam ruchem głowy. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wypaliłam bez namysłu:

– Pożyczyłam twoje majtki. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Prychnęła i spojrzała na mnie z ukosa.

– Nie, skąd! – skwitowała ze śmiechem. – W każdym razie... życzę ci miłego dnia. Uważaj na siebie i nie pracuj za ciężko.

– Och, nie mam takiego zamiaru. – Roześmiałam się, czując dreszcz ulgi i wdzięczność za zmianę tematu. Gdyby to mnie ktoś tak parsknął w twarz, pewnie uznałabym, że to niestosowne i trochę niepokojące. Na szczęście Edith albo tego nie zauważyła, albo miała na tyle przyzwoitości, żeby nie karcić mnie spojrzeniem. – Tylko... – próbowałam, coś wymyślić – ...wygarnę szefowi, że niepotrzebnie mnie ściąga, i wrócę do domu. Zdążę na „Ostre cięcie”.

– Dobry plan – stwierdziła, lecz zaraz dodała, chichocząc pod nosem: – Wiesz, co byłoby lepsze?

– Nie, co?

– „Ostre rżnięcie”.

He, he.

Wiedziałam, że do lunchu będę jak nowa. Chłód poranka raz-dwa przywróci mi trzeźwość umysłu i pomoże ustalić priorytety. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Okazało się jednak, że gdy wysiadłam z auta, było już gorąco jak w piekle. Stałam na wypalonym słońcem piachu i wyciągając na wierzch odznakę zawieszoną na szyi, wkroczyłam do świata przemocy i grozy. Na to, co tam zastałam, nie przygotowały mnie nawet najbardziej odrażające z moich rozlicznych koszmarów.

Była szósta pięćdziesiąt dziewięć. Ja nazywam się Alisha Green, a to, na ile mogę sobie wierzyć, jest cała prawda o Ericie Shaw.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wiewiórka przeskoczyła niepewnie po gałęzi nad moją głową, wodząc szarym aksamitnym noskiem po obrzeżach cieni rzuconych przez liście i obwąchując podejrzliwie wdzierające się pod koronę promienie słoneczne. Wysoko w górze, w zielonej gęstwinie, samotny dziki gołąb zatrzepotał skrzydłami, strząsając resztki snu z pomiętych piór. Wyglądał, jakby miał za sobą ciężką noc.

Ja wyglądałam gorzej, jeśli wierzyć mojemu odbiciu w szybie samochodu. Przez całą drogę jechałam ze spuszczonej oknami, więc moje niedosuszone włosy przypominały natapirowane ptasie gniazdo. Zsunęłam gumkę z nadgarstka i zebrałam całe to kłębowisko w niedbały, wilgotny kok przy samej szyi. Nawet jeśli nie poprawiło to mojego wyglądu, to może przynajmniej gołębiowi nie będzie się chciało tam zamieszkać.

Oparłam stopę o wypłowiałą od słońca drewnianą ławeczkę i pochyliłam się, żeby zasznurować mocniej but. Tuż obok dwie wygłodniałe osy krążyły nad koszem z odpadkami, zachowując jednak wobec siebie pełen szacunku dystans, gdy na zmianę nurkowały do środka po małe co nieco. Trzecia w tym czasie badała lepki brzeg puszek po coli, ciśniętej bezmyślnie w trawę niespełna metr dalej; srebrzyste krawędzie przecinające jej zmiażdżony korpus rzucały tysiące roziskrzonych kryształków światła na tabliczkę ostrzegawczą przyklejoną do kosza: „Zakaz śmiecenia pod karą grzywny w wysokości dwóch i pół tysiąca funtów”. Kwintesencja absurdu obowiązkowej opłaty w imię ekologicznej poprawności zaklęta w lśniącym czerwono aluminiowym pojemniku.

Podniosłam puszkę i zrobiłam z nią to, co należy. Osa ani drgnęła.

Właśnie o takim spokoju marzyłam: promienie porannego słońca łaskoczące moją twarz; leniwe chlupotanie wody objającej się

o usłane kamykami brzegi rzeki; ciche kwakanie kaczątek, nieustannie odrywanych od zmudnego podążania za mamą; odległy szum ulicy, słyszalny na tyle, by zniwelować wrażenie całkowitego odosobnienia, lecz bez zakłócania błogiej, idyllicznej ciszy tego...

– Hej! Pocahontas! Tutaj!

A, racja. Kevin.

Wciągnęłam w płuca haust powietrza zaprawionego pyłkami kwiatów i wonią krowich placków.

Geoff Green – żaden mój krewny – powitał mnie obojętnym skinieniem głowy, gdy precyzyjnie przycisnęłam się między alfą a sąsiednim wozem patrolowym. Widywałam tego przysadzistego konstabla wystarczająco często, żeby wiedzieć, jak się nazywa, ale jego zmijowate spojrzenie i lekceważąca postawa zawsze skutecznie zniechęcały mnie do tego, by poznać go bliżej. Może był wiecznie niezadowolony, a może po prostu nie przepadał za mną, tak samo jak ja za nim. Nie potrafiłam stwierdzić z całą pewnością. Zresztą szczególnie mnie to obchodziło.

Geoffowi powierzono dodatkowe zabezpieczenie wewnętrznego fragmentu terenu. Ewidentnie działał w pośpiechu: biało-niebieska taśma ostrzegawcza dzieląca na pół pole piknikowe zwisała luźno między palikami wbitymi krzywo i w nieregularnych odstępach w piaszczysty grunt. Całe to przedsięwzięcie zdawało się też poniekąd zbędne, ponieważ droga dojazdowa była zablokowana przez radiowozy już u wlotu, niecały kilometr dalej, kolejni policjanci strzegli wjazdu na parking dodatkowo ogrodzonego taśmą, a czwarty kordon ludzi otaczał coś, co najwyraźniej stanowiło obiekt zbiorowej uwagi – spalony wrak samochodu porzucony na skraju polany.

Gdybym znała Geoffa lepiej, mogłabym mu zarzucić, że wzniósł tę barykadę tylko po to, by wyglądało, że robi coś ważnego. Jednak przez sześć lat nie odbyliśmy ani jednej towarzyskiej rozmowy i żadne z nas nie czuło potrzeby, żeby to zmieniać. Zachowałam więc swoje podejrzenia dla siebie i również skinęłam głową, przechodząc pod

taśmą, którą uniósł tak, że pewnie nadziałabym się na nią szyją, gdybym się w porę nie schyliła.

Z kolei Kevin McManus, jakby dla zachowania równowagi we wszechświecie, i zupełnie przecząc ponuremu wrażeniu, jakie robił przez telefon, był chodzącym radosnym promyczkiem. Przedzierał się przez labirynt żółtych plastikowych znaczników i wydzielonych za pomocą palików poetek piachu, szeleszcząc sterylnym kombinezonem, błyskając w uśmiechu białymi zębami i rozkładając szeroko ręce, jakby chciał mnie przytulić.

– Wiesz, przez chwilę myślałem, że zostawisz mnie na lodzie – rzucił radośnie. Jego głos brzmiał głucho i niemal ginął w harmidrze skrzeku krótkofalówek, trajkotu techników kryminalistycznych oraz terkotu prądnicy.

– Daruj sobie. Trafiłeś dziś na szczyt mojej czarnej listy – ostrzegłam.

– Oho, ktoś tu wstał lewą nogą. – Wbrew ograniczeniom anatomicznym i zapewne przypuszczając, że żartuję, uśmiechnął się tak szeroko, że jego oczy niemal zniknęły z twarzy. – Słuchaj, nie zabijaj posłańca, okej? Wiesz, że nie wykopałbym cię z łóżka, gdyby...

Zakrzusiałam się własną śliną.

– To znaczy... No wiesz, nie wyciągałbym cię z...

– Gdzie on jest?

– Kto?

Na Boga, Kevin.

– No pomyśl, okej? Nie ma pośpiechu, mam cały dzień.

– John – oświadczył wreszcie bez śladu zażenowania, jakiego można by się spodziewać po kimś, kto palnął głupotę. Zwyczajnie przeczesał dłonią swoją ciemną, szorstką czuprynę i podrapał się po łysym placku na szczycie głowy, pamiętając po niedawnym uderzeniu kolbą rewolweru.

– On, yyy... jest w wozie – odparł. – Tak sądzę.

– Tak sądzisz?

– Cóż, to... – Spojrzał przez ramię na szczątki auta i jakby westchnął.

– A co z konstablem Keithem? Coś wiadomo? – John Fairey nie był sam, kiedy pozornie rozpląnął się w powietrzu; po świeżo upieczonym detektywie, którego wziął ze sobą do pomocy, także zaginął wszelki ślad.

Kevin wzruszył tylko ramionami i obdarzył mnie pełnym współczucia uśmiechem.

– Przyniosę ci kombinezon – oświadczył.

– Gdzie Mal?

– Gdzie co? – Kevin rzucił mi pod nogi parę niezwykle seksownych białych gumowców, a następnie wręczył papierowy kombinezon, który wydobył ze stojącej nieopodal furgonetki ekipy techników. Chwilę wcześniej próbował flirtować z Sandrą, dyżurną patolog, ale akurat rozmawiała przez telefon i przegoniła go poirytowanym spojrzeniem. Uśmiech, który dotychczas nie schodził mu z ust, zniknął w jednej sekundzie.

– Mal – powtórzyłam. – Mal Lowry. Powinien tu być.

Kevin zmrużył oczy i skinął głową, posyłając mi spojrzenie, które zdawało się mówić: „Bez jaj, Sherlocku”.

– Tak, wiem – skwitował. – Wszyscy mamy jakieś problemy osobiste, prawda?

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi; wiedziałam tylko, że jego odpowiedź nie wyjaśniała, gdzie teraz podziewa się główny inspektor. Rozłożyłam kombinezon płasko na ziemi i wsunęłam stopy w otwory nogawek.

– Wiesz, czego jeszcze nie widzę? – Podciągnęłam strój do pasa i nagle zdałam sobie sprawę, że jest tyłem do przodu.

– Czego?

– Zwłok. Nie ma ich w samochodzie. Gdzie są? – Przekręciłam go tylko raz czy dwa razy? Teraz miałam wrażenie, że jest do góry nogami.

– Właśnie do tego zmierzałam. – Kevin przyglądał się z zaciekawieniem, jak zmagam się z kombinezonem, daremnie

próbując przełożyć go za plecami bez odwracania.

– Pomóc ci?

– Mógłbyś? – Trudno zliczyć, ile już razy w mojej dotychczasowej karierze musiałam wciskać się w te cholerstwa, ale tak się składa, że jest to jedna z tych czynności – dziwne, że zwykle związanych z czymś do ubrania – w których pomimo niewątpliwej praktyki nigdy nie nabiorę wprawy. Nigdy nie dam rady zawiązać sobie z tyłu fartucha i nigdy nie zdołam się ubrać w jednoczęściowy ochronny kombinezon bez pomocy drugiej osoby. Taka prawda.

– Nie przejmuj się Lowrym – powiedział, co było dziwne, bo nawet nie zamierzałam. – Po prostu ciesz się ciszą i spokojem, dopóki możesz. – Złapał mnie za ramiona i odwrócił tyłem do siebie, po czym zrolował kombinezon i przykucnął za mną, klepiąc mnie na zmianę w nogi, żebym je podniosła i opuściła. – Wybacz obmacywanie.

– Tylko się nie zapędzaj – powiedziałam ze śmiechem. – Geoff patrzy.

Konstabl odwrócił wzrok jak gdyby nigdy nic, a Kevin podciągnął mi kombinezon na biodra.

– Chyba na ciebie leci – stwierdził.

Stłumiłam chichot.

– Wiesz, ilekroć się widzimy, aż go świerzbi, by pociągnąć mnie za warkoczyki.

– Chłopcy zawsze dokuczają dziewczynkom, które im się podobają – przyznał, po czym wstał, przekładając moje ręce przez odpowiednie otwory i narzucając mi na ramiona górną część kombinezonu. – Poradzisz sobie sama z zamkiem czy też ci pomóc?

Posłałam mu karcące spojrzenie i odparłam:

– Ha, ha, bardzo śmieszne – siłując się jednocześnie z suwakiem. Kevin udawał, że nie widzi, jak drżą mi palce. – Kto nas zawiadomił?

– Tradycyjnie. Jakiś facet na spacerze. – Podał mi maskę ochronną zakrywającą całą twarz. – Podobno jego pies wciąż ujadał, więc poszedł sprawdzić. Ogląda dużo seriali kryminalnych.

– Facet czy pies?

- Nie jestem pewien.
 - O której to było?
 - Piąta trzydzieści pięć.
 - Gdzie jest teraz?
 - Odesłałem go do domu. Jeśli będzie nam potrzebny, ściągniemy go po południu.
 - Rozmawiałeś z nim osobiście?
 - Tak.
 - Jakie sprawiał wrażenie?
 - Uczciwego.
- Pokiwałam głową i włożyłam maskę na twarz, a Kevin zrobił to samo.
- Ogej – wymamrotałam, machając do Sandry, a ona pokazała mi uniesione kciuki. – Łudźmy na do ogiem.

Nie miałam wątpliwości, że jest to mondeo mojego byłego partnera. Spędziłam w nim wiele godzin, wbijając wzrok w szybę albo trzymając się kurczowo siedzenia, bądź też odruchowo naciskając prawą stopą nieistniejący pedał gazu. Siedziałam w środku, kiedy zawadził o pacholek, wyginając nadkole, i stałam tak jak teraz, gdy w przyływie złości wywołanej jakimś upokorzeniem wgniół przedni błotnik kopniakiem. Mojego fotela już nie było, pozostał jedynie odkształcony metalowy stelaż. Nie było też wytartego dywanika – w zasadzie nie było niczego poza wypatroszoną karoserią. Ale te wgniecenia były jak odciski palców.

Wóz nie był już niebieski. Raczej pomarańczowo-czarno-brunatny, sama rdza, sadza i śmierć. Siedział smutno na ramie zagłębionej w piachu, jedno z tylnych drzwi zwisały smętnie na wykrzywionych zawiasach. Cały dach był zapadnięty, a tył tak zwichrowany, że kłapa bagażnika stała niemal na sztorc, otwarta na oścież niczym rozdziawione z przerażenia usta. Mogłam tylko przypuszczać, że wewnątrz znajdują się szczątki moich dwóch byłych kolegów.

Kość to kość, właściwie trudno ją z czymś pomylić. Pewnie mogłabym sobie wmówić, że to kawałki koralowca albo – na upartego – kamyki, ale nawet nie próbowałam. To były drobne fragmenty zwęglonych kości oblepione posklejaniem w bryłki popiołem. Na moje oko – oko kompletnego laika – mogły należeć zarówno do człowieka, jak i do zwierzęcia. Owszem, czytam książki i znam wszystkie fachowe terminy. Szwy czaszkowe. Spojenie łonowe. Wyrostek sutkowaty, który zawsze przywodzi mi na myśl nie to, co trzeba. Mogłabym nawet wyjaśnić, co każdy z nich znaczy, i opowiedzieć, jak na podstawie szkieletu ustalić czyjś wzrost albo wyczytać płeć i rasę z czaszki. Ale nie jestem ekspertem, więc moja opinia nie jest warta trudu jej sformułowania i nie miałabym bladego pojęcia, jak się zabrać za te puzzle, które miałam przed sobą. Dlatego czując gdzieś w głębi, że patrzę na miejsce ostatniego spoczynku inspektora Johna Faireya i konstabla Juliana Keitha, zwalczyłam pokusę, żeby zanurzyć rękę w prochach, wyłowić z nich jakiś szary, zwapniony odłamek i krzyknąć „aha!”, i oddaliłam się od wozu.

– Okej, zacznijmy od rzeczy najbardziej oczywistych – powiedziała, gdy zdjęłam maskę i wreszcie mogłam normalnie oddychać. Wskazałam placyk u mych stóp pokryty kępkami szerniałej trawy, jeden z kilkunastu, które zauważyłam, pozostałych po beztroskim wakacyjnym grillowaniu. – Wygląda to tak, jakby wypalone ślady były wszędzie, tylko nie pod samochodem. Kto szuka miejsca zbrodni?

Kevin przeniósł wzrok na samochód i z powrotem na mnie, po czym podrapał się z tyłu głowy.

– Jeszcze się tym nie zająłem – oświadczył, co jak musiałam przyznać, było trafną, choć niewyczerpującą odpowiedzią. – Byłem sam i miałem ręce pełne roboty. Nawet nie wypilem porannej herbaty.

Miałam zwolnienie do poniedziałku. Nawet nie zamierzałam czynić sobie wyrzutów, że zjadłam śniadanie.

– Świetnie się spisałeś – pochwaliłam go, chociaż wiedziałam, że Sandra pewnie zjawiała się przed nim i wzięła sprawy w swoje ręce. – Nie mamy tu całego samochodu. Brakuje zderzaków, opon, wszystkich plastikowych i gumowych elementów, które się stopiły. Wokół wraku nie ma odłamków. Nie widać też śladów wleczenia, mamy za to ślady błota i oleju ciągnące się przynajmniej do końca drogi. Widzisz? – Wskazałam palcem grube grudki piachu i gliny z odcisniętymi śladami szerokich opon, które prowadziły do i od forda mondeo, a potem zawijały na asfalcie przy wjeździe na teren piknikowy. – Najpewniej ktoś go tu przetransportował ciągnikiem. Ładowarką, dźwigiem czy jak go tam zwą.

Kevin przytaknął.

– Co było miłe ze strony tego kogoś.

– Ha! Pytanie brzmi: kto to zrobił i dlaczego teraz? Minęły dwa miesiące.

Zastanawiał się przez chwilę i wreszcie, podrapawszy się po głowie, spytał:

– Czy ta data jest z jakiegoś powodu szczególna?

– Nie wydaje mi się.

Od razu wiedziałam, dokąd zmierza.

– Wiesz, gdyby to był film, to powiedziałbym, że „klient wysłała nam wiadomość”, ale... to nie jest film, prawda?

– Dla ciebie może jest – stwierdziłam. – Ale nie dla tego, kto podrzucił tu ten wrak. Mamy wygodny ślad z okruszków, tylko że to po prostu ślady ubłoconych opon, a tych nie upozorujesz. Jeśli prowadzą do miejsca, w którym auto spłonęło, to nie stało się tak celowo. Przy okazji, nigdy więcej nie mów „klient”. To brzmi idiotycznie.

– W porządku.

– Trochę słaba ta teoria, prawda?

– Trochę.

– To może pojedę sprawdzić ten trop i pozwolę ci się pouganiać za Sandrą?

– Och, daj spokój!

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie, to ty daj spokój. Byłam zmęczona, skacowana, spragniona i naprawdę skołowana, a przecież nawet nie powinno mnie być w pracy – ani dziś, ani w ogóle w tym tygodniu. Pomyślałam więc, że miła, spokojna przejażdżka po okolicy dobrze mi zrobi. Szczerze mówiąc, uważałam to za stratę czasu; ilość błota, jaką można wepchać w bieżnik, jest skończona, więc zakładałam, że trop szybko się urwie, a wtedy będę mogła wyskoczyć do pobliskiej wioski i kupić sobie trochę słodzonych napojów, i może nawet – w przyływie wielkoduszności – coś dla Kevina.

Właściwie Kevin za bardzo nie oponował. Najwyraźniej podobało mu się to, że był jedynym i zarazem najstarszym rangą detektywem na miejscu, i obnosił się z tym jak paw z ogonem. Miał jeszcze może godzinę, żeby się tym delektować, więc chętnie sprawiłam mu tę przyjemność. Ewidentnie sprawiłam ją także Geoffowi, bo tym razem, gdy chciałam przejść, uniósł taśmę wysoko nad moją głowę.

Ślad był banalnie łatwy do tropienia: grudki ziemi, piachu i gliny, kępki chwastów wyrwane z pobocza przez koła pojazdu, który wyraźnie nie mieścił się na jednopasmowej drodze. I w dodatku miał wyciek. Nie wiedziałam, czy to olej, czy płyn hydrauliczny, w każdym razie plamy – każdej wielkości mojej pięści – pięknie połyskiwały w słońcu i pojawiały się mniej więcej co dziesięć metrów.

Nie śpieszyło mi się. Nawet nie dotykałam pedału gazu, po prostu wrzuciłam dwójkę, zwolniłam sprzęgło i pozwoliłam, by auto toczyło się swoim tempem. Taki to właśnie był poranek. Policjanci blokujący drogę zjechali leniwie na bok, żeby mnie przepuścić. Gdy ich mijałam, pomachaliśmy sobie, wymieniając się uśmiechami, i wreszcie byłam wolna. Skręciłam w prawo w wąski boczny trakt prowadzący do wioski, i już wiedziałam, że mogę zapomnieć o wycieczce na zakupy,

bo ślady błota i oleju ciągnęły się także po drugiej stronie szosy. Podążałam ich tropem jeszcze przez kilka kilometrów, aż wreszcie zawinęły się po łuku w lewo, znikając za metalową bramą blokującą wjazd na szeroką betonową drogę.

Zatrzymałam się i westchnęłam, zastanawiając się, co teraz. Wiedziałam dokładnie, co powinnam zrobić, ale w ustach czułam suchość i potworny niesmak, a skronie zaczęły mi niebezpiecznie pulsować. Zresztą i tak straciłam zasięg w telefonie, a do najbliższej miejscowości miałam tylko półtora kilometra, więc pomyślałam „pieprzyć to”, i tak właśnie zrobiłam.

Dzięki Bogu, w wiosce znalazłam kiosk z gazetami, który był otwarty, choć nie wyglądał zachęcająco. Tęgi jegomość o rumianych policzkach, wciśnięty w tweedową marynarkę, otaksował mnie wzrokiem zza lady. Czułam, jak jego spojrzenie przewierca mi czaszkę, gdy sięgnęłam do lodówki, pewnie starszej ode mnie, i wyjęłam z niej trzy puszki chłodnawej coli. Zmusiłam się, żeby na niego nie patrzeć, przeglądając zawartość zakurzonych półek zawałonych konserwami i zabawkami sprzed dekady w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym wrzucić na ząb o tej porze, i ku mojemu zadowoleniu znalazłam opakowanie nurofenu, który – o dziwo – nie był przeterminowany. To powinno wystarczyć, ale na wszelki wypadek wzięłam też garść batoników Twix i loda Magnum o smaku miętowym, i rzuciwszy to wszystko na ladę, wreszcie obdarzyłam faceta uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Skinął nieznacznie głową i rejestrując sprzedaż w kasie, rzucił kurtuazyjnie:

– Jak się pani miewa, pani władzo?

Włosy zjeżyły mi się na karku, a oddech uwiązał w gardle. Instynktownie obejrzałam się przez ramię, omiatając wzrokiem pusty sklep. Znałam go skądś? Powinnam kojarzyć jego twarz? Może on kojarzył moją?

– Słucham?

Milczał przez chwilę, po czym uderzył w klawisz na kasie, wywołując tym łoskot przypominający huk pioruna. Kwota zamigotała na zielono na małym zewnętrznym wyświetlaczu.

– Jak się pani miewa? – powtórzył.

Wpatrywałam się w niego, może trochę za długo. Jego lewa powieka w końcu zaczęła drgać.

– Dobrze – odparłam. – Dziękuję. Przepraszam, czy my się znamy?

Zmrużył oczy w przebłysku jakiejś nieodgadnionej myśli i odparł:

– Nie wydaje mi się. Sześć osiemdziesiąt pięć.

Co znaczy sześć osiemdziesiąt pięć?

Moje myśli zaczęły błędzić, ogarnęła mnie panika. Tego się nie spodziewałam.

– Sześć osiem... – Nagle dostrzegłam kwotę na ekranie: sześć funtów i osiemdziesiąt pięć pensów. Ciąg cyferek ułożonych równo w linii i świecących na zielono. Racja.

– Racja. – Pokiwałam głową i otrząsnąwszy się z roztargnienia, sięgnęłam po portfel. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że wciąż mam na szyi smyczkę. Wybuchnęłam śmiechem tak gwałtownym, że pewnie wyszłam na jeszcze większą dziwaczkę. – Racja - powtórzyłam, podnosząc z pokorą odznakę, kiedy wręczałam sprzedawcy dziesięciofuntowy banknot. – Boże, przez chwilę myślałam, że gdzieś się spotkaliśmy. Przepraszam, jeszcze nie do końca się obudziłam. – Uśmiechnęłam się, próbując zamaskować fakt, że jestem o krok od załamania nerwowego.

Sklepikarz wyraźnie się rozluźnił, ale nie odwzajemnił mojego uśmiechu.

– To najlepsza pora dnia – skomentował, wydając resztę.

Podjęłam temat:

– Muszę przyznać, że jest tu bardzo spokojnie. Podejrzewam, że nieczęsto zdarza się wam wzywać policję?

Przyglądał mi się z ciekawością, jego przekrwione oczy mignęły błękitem. Jestem pewna, że wiedział równie dobrze jak ja, że znam odpowiedź. Mimo to sprawił mi tę przyjemność i odparł:

– Właściwie to tak. Rzadko dochodzi do nieporozumień, których nie jesteśmy w stanie sami rozwiązać. Podobno nocą dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy, ale o dwudziestej trzeciej gasną latarnie, więc niczego nie widać.

Staralam się ukryć dreszcz, który przebiegł mi po plecach, i spytałam:

– A jak jest za dnia?

Wzruszył tylko ramionami. Wiedziałam, że nie powie mi nic konkretnego, uznałam jednak, że jeśli pociągnę go jeszcze za język, to może przynajmniej oszczędzi mi trochę czasu.

– Może będzie mi pan w stanie pomóc – zaczęłam, niezrażona jego pustym wyrazem twarzy. – Mniej więcej półtora kilometra stąd w prawo odbija betonowa droga zagrodzona bramą. Wie pan, co się za nią kryje?

Zamyślił się na chwilę. Pewnie doszedł do wniosku, że nie ma tam nic, czego nie znalazłabym na mapie, więc odparł:

– Dawne lotnisko.

– Już nim nie jest?

– Od zakończenia wojny. Kiedyś była tam baza bombowców.

– Więc co jest tam teraz?

– Pole pszenicy i jęczmienia.

– Wie pan, do kogo należy?

– Do Gilesa.

Czekałam, aż się uśmiechnie, ale jego twarz pozostała nieprzenikniona.

– Giles jest farmerem?

– Zgadza się.

– Farmer Giles.

Pokiwał wolno głową.

– Nikt go tak jeszcze nie nazywał. Zabawne – powiedział, lecz nadal się nie uśmiechnął.

Uznałam, że to dobry moment, żeby się pożegnać.

Farmer Giles miał idealne wyczucie czasu. Wiedziałam, że upiorny sklepikarz zadzwoni do niego, gdy tylko zamkną się za mną drzwi, więc oszczędziłam sobie trudu i po prostu przyczałam się przy wjeździe na dawne lotnisko, czekając, aż się zjawi. Zajechał pod bramę nowiutkim range roverem, akurat gdy kończyłam obgryzać czekoladę z patyka po lodzie.

– Pan Giles, prawda? – spytałam, wysiadając z auta, gdy i on wysiadł. – Dziękuję za szybkie przybycie. Jestem sierżant Green. Myślę, że mógłby mi pan pomóc.

– Giles Wynne-Parker – przywitał się, wyciągając rękę. – Co mogę dla pani zrobić? – Nienaganna dykcja. Równiutko przystrzyżone włosy siwiejące przy skroniach. Wydatny podbródek zwieńczony dołkiem.

Wyrzuciłam patyczek, by uścisnąć mu dłoń, a on spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

– Ups. Pewnie jest na to jakiś paragraf – powiedziałam.

Wpatrywałam się w niego w milczeniu wystarczająco długo, by zrozumiał, że żarty się skończyły. W końcu wskazałam ślady oleju na ziemi i dodałam:

– Zdaje się, że pański ciągnik wymaga naprawy.

Giles westchnął i skinął głową, spuszcżając wzrok na podejrzenie niezabłocone trapery.

– Tak, wiem – przyznał z uśmiechem pełnym rezygnacji. – To płyn hamulcowy. Mam ciekący zacisk.

– Na pana miejscu zrobiłabym z tym porządek, zanim zostawi pan więcej takich anonimowych pamiątek – powiedziałam, pochylając głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. – Ale dziękuję za zwrot naszego wozu. Zastanawialiśmy się, gdzie się podział.

Poderwał gwałtownie głowę, wbijając we mnie wzrok czarnych źrenic, nagle jeszcze szerszych niż przed chwilą.

– Waszego wozu?

– Och tak, to wóz policyjny – wyjaśniłam ze śmiechem. – Ale nie to jest najgorsze.

– Niech to diabli – rzucił. – Jestem w dużych opałach?

Zadumałam się nad jego słowami, pozwalając, żeby przez głowę przemknęły mu straszne myśli. W końcu odparłam:

– Tym się na razie nie martwmy. To znaczy, owszem. Szczerze mówiąc, postąpił pan niezbyt mądrze, porzucając ten wóz tuż obok znaku zakazu wyrzucania śmieci. Wie pan, mogliśmy to potraktować jako zniewagę. Poza tym dzisiaj miałam nie pracować, więc mam do pana osobisty żal, że nie poczekał pan z tym do poniedziałku, teraz jednak najbardziej zależy mi na tym, żeby zabrał mnie pan tam, gdzie go znalazł, bo brakuje kilku części i przypuszczalnie popełniono tam morderstwo.

Krew odpłynęła mu z twarzy szybciej niż siki spuszczone w pisuarze.

– Morderstwo?

– Dlaczego zwlekał pan z tym dwa miesiące?

– Dwa miesiące?

– Tyle go szukaliśmy.

– Ja... – Pokręcił głową, a jego szeroko otwarte oczy zdradzały zdenerwowanie. – Nie było nas, wyjechaliśmy na Florydę. Wróciliśmy dopiero przed dwoma tygodniami, a ja rzadko tędy jeżdżę. Brama główna znajduje się na drugim końcu pasa startowego. Tutaj niczego nie ma. Przyjechałem tu tylko dlatego, że uciekło nam kilka kur. Ja...

– Dlaczego nie zadzwonił pan na policję?

– Dla... – Westchnął ciężko i znowu pokręcił głową. – Szczerze?

Czekałam, aż mi powie, że i tak nie zadalibyśmy sobie trudu, żeby tu przyjechać, że władze nie zaprzętałyby sobie głowy usuwaniem spalonego wraku z prywatnej posiadłości. I pewnie miałby rację, jednak nie zrobił tego; po prostu wzruszył ramionami i rzucił zdawkowe:

– Nie wiem.

– W porządku – powiedziałam. – Spokojnie. Proszę się nie denerwować. Może po prostu pokaże mi pan to miejsce?

Potrzebował chwili, żeby zaczerpnąć powietrza, lecz w końcu skinął głową i odparł:

– Jasne. – Następnie wyjął z kieszeni ciężki pęk kluczy, otworzył zamek bramy i uchyliwszy ją, oznajmił: – Nie musimy nigdzie jechać. To właściwie tutaj.

Znajdowało się tuż za bramą, na prawo od pasa. Było to niewielkie poletko suchej, gliniastej ziemi, osłonięte od drogi trawiastym poboczem, zaś od reszty gospodarstwa kępami drzew i przerośniętych krzewów jeżyn. Czarny placyk upstrzony poskręcany, stopionymi bryłkami, których wzajemne położenie pozwalało się tylko domyślać, czym kiedyś były – tu zderzak, tam opona.

Grunt był twardy i suchy, ale nie dwa miesiące temu. Do miejsca po wraku prowadziły ślady kół aż do dzisiejszego poranka utrwalone w ziemi, teraz jednak skruszone i zmiażdżone przez ciągnik Gilesa, którego ciężkie opony pokryły je jodełkową mozaiką. Cmoknęłam cicho z dezaprobatą, chociaż właściwie nie miało to większego znaczenia; ewidentnie było to miejsce zbrodni, nieważne, jak bardzo je zdeptał.

Co więcej, Giles podjechał prosto do wraku i wrócił tą samą drogą, nie krążył wokół wypalonego placu, a to, jak sobie uświadomiłam po dokładniejszej inspekcji, mogła być naprawdę świetna wiadomość. Odwróciłam się do niego; stał niezgrabnie przy range roverze, skubiąc skórki wokół paznokcia. Pokazałam palcem na samochód i spytałam:

– Giles, czy wjeżdżał pan tu swoim wozem?

Zrobił kilka kroków w moją stronę i pokręcił głową.

– Nie. Czemu pani pyta?

Wskazałam fragment ziemi między wypalonym śladem a drogą.

– Nie podjechał pan do auta, żeby się przyjrzeć?

– Nie, absolutnie.

Podziękowałam mu skinieniem głowy i powróciłam wzrokiem do miejsca, w którym drugi zestaw wyżłobionych śladów oddzielał się od pozostałych i zawijał tuż przy poboczu, po czym urywał się nagle kilka metrów dalej. W miarę oddalania ślady kół były coraz lepiej widoczne, a tam, gdzie się kończyły, wręcz bardzo wyraźne.

Były naprawdę doskonale zachowane. Wzór bieżnika odcisnął się w miękkiej glinie i utrwał, wystawiony na działanie bezlitosnego słońca podczas fali upałów, którą Brytyjczycy już po kilku dniach przeklinali, a za którą ja teraz po cichu dziękowałam Bogu.

– Czyli twierdzi pan, że nie ma powodu, dla którego ktoś miałby tu parkować? – krzyknęłam w jego kierunku.

Pokręcił głową.

Przytaknęłam i wyjęłam komórkę. Nadal brak zasięgu. Zgrzytnęłam zębami, czując kłujący ból w biodrze, i dołączyłam do Gilesa.

– Jeszcze jedno – zwróciłam się do niego. – Ma pan przy sobie działający telefon? Muszę zadzwonić.

Zaczął mamrotać i gmerać w kieszeni, a ja tymczasem przyjrzałam się temu, co miałam przed sobą. Nie znałam okoliczności. Nie wiedziałam, czy John i Julian właśnie tutaj zginęli, a jeśli tak, to czy przyjechali tu dobrowolnie. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał, że to dość dziwne miejsce na spotkanie, zwłaszcza z kimś, kto wyprawił ich na tamten świat.

Bo owszem, nawet nie znając biegu wypadków, dobrze wiedziałam, kto za tym stoi.

Tak jakby.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie pamiętam, jak się nazywa ani jak wygląda. Ilekroć ktoś przywołuje jego nazwisko lub pokazuje jego zdjęcie, za każdym razem jest tak samo: po kilku minutach zapominam.

Właściwie przestałam się tym przejmować. Przecież jego zdjęcie to tylko portret pamięciowy, i tak naprawdę nikt nie wie, jak się nazywa; przybierał wiele nazwisk, po prostu wybrali jedno i tego się trzymają, chociaż wiedzą, że ukradł je zmarłemu niemowlęciu. Ja nazywam go po prostu tamtym mężczyzną. tamtym mężczyzną, który mnie skrzywdził. tamtym mężczyzną, który pozbawił mnie wspomnień, nadziei i przyszłości. tamtym mężczyzną, który prawie mnie zabił gołymi rękami.

Ale dziurawa pamięć to nie wszystko. Przytrafiają mi się także upadki. Czasami miewam problemy z chodzeniem, bo nerwy w prawej nodze są zrośnięte czy naderwane, czy... jakoś tak. Mam to gdzieś zapisane. Tak czy owak, bywa, że jestem na ulicy lub w supermarkecie – nigdy tam, gdzie można miękko wylądować, w ogrodzie albo dmuchanym zamku – i bach! Składam się jak scyzoryk. Raz doświadczyłam tego, prowadząc samochód. Nie mogłam dosięgnąć pedału hamulca i musiałam skręcić gwałtownie w żywopłot, żeby nie wjechać w rowerzystę. Nikomu o tym nie powiedziałam, żeby nie odebrano mi prawa jazdy, ale czasami się boję.

Często czuję się tak, jakbym nie była do końca sobą, jakbym wyszła z siebie i nie wróciła dokładnie w to samo miejsce. Zupełnie jakby łączność między moim ciałem a zmysłami była lekko przesunięta w czasie, jakbym miała gorączkę, tylko – przez większość czasu – bez zimnych potów i mdłości. To doprawdy surrealistyczne uczucie i zarazem trochę przerażające, a gdy mnie dopada, nierzadko

towarzyszy mu lekkie oszołomienie, jak wówczas, gdy coś człowieka przestraszy. Niegdyś sporo płaciłam, żeby tak się czuć wieczorami. Żałuję, że to już nie zależy ode mnie.

Ale nie mam tak każdego dnia. Są dni, kiedy chodzę normalnie, wszystko chwytam i potrafię się zaśmiać, kiedy trzeba. Poza tym wiele rzeczy pamiętam. Na ogół pamiętam swoje imię, które pada częściej, niż można by przypuszczać, jeśli nie musiało się go nigdy zapisywać na ręce.

Pamiętam, że lubiłam brokuły, a teraz sam ich widok wywołuje u mnie odruch wymiotny.

Pamiętam dzień mojego ślubu. Stałam przed lustrem w idiotycznej sukni, w której wyglądałam jak beza, i zastanawiałam się, jakim cudem dałam mu się na to namówić. Pamiętam też, jak trzymałam w ręku wyrok rozwodowy i aż dygotałam pod brzemieniem odzyskanej nagle wolności.

Pamiętam, jak w słoneczne dni spacerowałam po parku, obserwując cudze dzieci zjeżdżające ze ślizgawki lub bujające się na drewnianych konikach na sprężynach. Pamiętam, jak bardzo nie chciałam stać w tłumie rodziców przyglądających się z boku z dumą, zniecierpliwieniem, nadopiekuńczą obawą bądź zwykłą obojętnością; pragnęłam zdobyć się na odwagę i wrócić na plac zabaw, gdy wszyscy sobie pójdą, i też się pobujać.

Pamiętam nasze rodzinne wakacje we Francji. Na termometrze było trzydzieści osiem stopni Celsjusza! Miałam osiem lat i paradowałam w dziecięcym bikini, pochłaniając taśmowo lody Calippo. Moja siostra, Reena, lat trzynaście, ubrana od stóp do głów na czarno, opróżniała ze wstrętem kolejne filiżanki gorzkiej kawy, próbując zaimponować czyszcicielowi basenów, który jeździł sportowym motocyklem Suzuki 750. Pamiętam, jak zaproponował, że podwiezie ją na plażę na tylnym siodełku, a tata, ledwie to usłyszał, od razu zrobił się siny na twarzy. Pamiętam narastający ryk syren krótko po tym, jak odjechał bez niej i zginął pod kołami ciężarówki.

Pamiętam mój pierwszy dzień w szkole, jak płakałam za mamą,

podczas gdy reszta dzieciaków gapiła się na mnie w osłupieniu, i ostatni dzień w liceum, kiedy dostałam wyniki egzaminu końcowego i zastanawiałam się, jak przekazać złe wieści rodzicom.

Pamiętam wszystkie ważne dni w mojej policyjnej karierze: mój pierwszy dzień szkolenia, mój pierwszy patrol w ramach stażu, moje pierwsze zwłoki i moje pierwsze aresztowanie zawstydzonego nastolatka, przyłapanego na kradzieży w sklepie, który nie uciekał, nie stawiał oporu, nawet się nie wyklócał, tylko siedział ze smutną miną z tyłu radiowozu, płacząc nad swoim losem, świadomy kłopotów, w jakie się wpakował. Pamiętam mój pierwszy dzień w stopniu detektywa, moją pierwszą odprawę w centrum koordynacyjnym i moją pierwszą autopsję. Najlepiej jednak pamiętam dzień, w którym byłam pewna, że umrę.

Była dziesiąta dwadzieścia pięć, wtorkowy poranek, dziewięć tygodni temu. Dwadzieścia sześć stopni Celsjusza i lało jak z cebra. Stałam na parkingu na tyłach komendy policji, patrząc, jak deszcz odbija się od asfaltowej nawierzchni i przesiąka przez moje płócienne buty. Miałam na sobie starą, dwudziestoletnią kurtkę przeciwdeszczową z GAP-a, pod którą w tej duchocie byłam tak samo mokra jak na zewnątrz. Coś tu się nie zgadzało.

Cztery razy czytałam wyniki badań DNA i nadal nic z tego nie rozumiałam. Ofiarą był Mark Boon, dwudziestopięcioletni przestępca seksualny. Nie żył od tygodnia, miał skręcony kark i twarz pociętą nożem, jakby na dobitkę. Jego mieszkanie, ponura, prawie nieumeblowana kłitka w bloku komunalnym na północ od miasta, było istną kopalnią śladów – płynów ustrojowych, włosów, włókien i odcisków palców. Ale to wszystko nie miało sensu.

Spał na kanapie, wskazywały na to plamy na prowizorycznym posłaniu. Choć rzekomo nikt z nim nie mieszkał, łazienka była zawalona damskimi fatałaszkami i kosmetykami, a sypialnia zalatywała perfumami.

Z materiału biologicznego znalezionego w mieszkaniu

wyodrębniono trzy wyraźne profile DNA. Jeden, rzecz jasna, należał do Marka Boona, i trzeba przyznać, że źródła jego pochodzenia były dość obrzydliwe: krople krwi na listwie przypodłogowej, resztki wymiocin na dywanie, skamieniałe chusteczki higieniczne pod łóżkiem.

Drugi należał do dwudziestoletniej Eriki Shaw, wtedy zaginionej od trzech miesięcy, lecz jak najbardziej żywej. Widziałam ją na własne oczy dwa dni przed zabójstwem Boona, w domu tamtego mężczyzny, którego wówczas – pomimo poszlak łączących go z innym zaginięciem – uważałam za ledwie aroganckiego dupka.

Zdawało się, że Erica spała w głównej sypialni – świadczyły o tym włosy i inne ślady na prześcieradle i poduszce oraz porozrzucana po całym pokoju bielizna. Nic nie wskazywało na to, że dzieliła łożę z Markiem czy z kimkolwiek innym, ani że, co ważniejsze, dotykała czegokolwiek poza swoimi rzeczami. I to właśnie wzbudziło moje podejrzenia.

Trzeci profil należał do przyjaciółki Eriki. Sarah Abbott zaginęła tego samego ranka i od tamtego czasu nie dawała znaku życia. Za łóżkiem Boona znaleziono zmięte stringi z jej DNA, a w łazience szczotkę z kosmykami jej włosów. Mimo to odciski Sarah zabezpieczono tylko na zapalniczce z jej inicjałami i paczce papierosów, których – co raczej dziwne – nikt inny nie dotykał, choć nie wiadomo, jak długo leżały na środku tego starego, obdrapanego stolika z imitacji sosny.

– Sranie w banię – powiedziałam sama do siebie.

– Co takiego?

Kevin wyłonił się z budynku po wizycie w toalecie, która jak zwykle z niewiadomych powodów zajęła mu mnóstwo czasu, i teraz stał za mną wystarczająco daleko, żebym nie miała żadnego pożytku z jego parasolki.

– Mamy uwierzyć w to, że Erica skumała się z gwałcicielem i mieszkała z nim przez trzy miesiące, a potem go zabiła? I co jeszcze? Że uciekła razem z Sarah? A może Sarah też z nimi mieszkała, ale

Boon coś jej zrobił i dlatego teraz nie żyje? Zabiła go w samoobronie? Tylko gdzie jest w takim razie? Nie rozumiem. Dlaczego teraz?

Kevin spojrzał na mnie z ukosa, po czym powiedział bardzo powoli:

– Cóż, właśnie tego musimy się dowiedzieć, prawda? Od tego są detektywi.

Zignorowałam tę uwagę, przynajmniej na razie, bo to akurat o nim było wiadomo, że nie grzeszy inteligencją.

– Nie w tym rzecz – skomentowałam. – To jawne bzdury. Po pierwsze, Sarah Abbott nigdy tam nie mieszkała. Kilka kosmyków włosów i paczka fajek to żaden dowód. Mogły się wziąć skądkolwiek. Możliwe, że raz kiedyś tam była, ale skoro tak, to gdzie się podziewa? Nigdzie jej nie ma. Jeśli Boon ją zabił, to musiał to zrobić w lutym. Tyko dlaczego Erica z nim została? Wiemy, że nie była przetrzymywana wbrew swojej woli. Czy wobec tego razem zaplanowali morderstwo Sarah, czy może po prostu postanowiła dalej z nim mieszkać, jakby nic się nie stało? I dlaczego te papierosy nadal leżały na stoliku?

Rozmyślał nad tym przez długą chwilę, aż wreszcie odparł ze wzruszeniem ramion:

– Nie wiem.

– Możemy kontynuować w samochodzie? Jestem przemoczona.

Po twarzy Kevina przemknął szelmowski grymas, ale podążył za mną do focusa.

– Jest jeszcze jedno miejsce, w którym, jak wiemy, przebywała – ciągnęłam dalej. – I zupełnym przypadkiem jest to dom mężczyzny, którego osobiście przesłuchiwałam, bo podejrzewaliśmy, że to on jest zabójcą. No więc powiedz, czy to wszystko wydaje ci się sensowne.

– Niezbyt. Raczej trochę... – Urwał i wzruszył ponownie ramionami.

– Naciągane?

Przytaknął.

– Otóż to. Sranie w banię.

– To jaką wersję przyjmujemy?

Dobre pytanie.

– Cholera wie, ale ktoś bierze nas za idiotów, próbując wcisnąć nam bajeczkę, która nijak się nie klei. Bezdyskusyjne jest jedynie to, że Erica Shaw żyje, a przynajmniej żyła jeszcze tydzień temu, a wiemy to tylko dlatego, że ją widziałam.

Dotarło to do mnie dopiero po fakcie; nie prowadziłam nawet jej sprawy. Zgłosiłam to, ale kiedy już zdobyliśmy nakaz rewizji i wraz z Lowrym, Diazem oraz Faireyem popędziliśmy dwoma wozami do lasu na południu hrabstwa, gdzie przeszukaliśmy każdy centymetr tamtego domu i przesłuchaliśmy tamtego mężczyznę, który był nam wówczas znany jako Thomas Reed, podejrzany nader przekonująco zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział, a trop ostygł.

– No więc – zaczął Kevin, tłumiąc ziewnięcie – co teraz?

– Jak to co? Zaczniemy od nowa, od ostatniego miejsca, w którym widziano Ericę żywą – oznajmiłam.

– Dom Reeda?

Skinęłam głową.

– Pasuje? – spytałam.

– Wydaje się logiczne – stwierdził, po czym dodał: – Możemy wstąpić po drodze do McDonalda?

– Ale ty pła... – Moją puentę przerwało nagłe pukanie do okna. Kevin aż podskoczył na siedzeniu. Spuściłam nieco szybę i posłałam Diazowi ironiczny uśmiech. – Przez ciebie jedno z nas prawie wyskoczyło przez dach – powiedziałam.

Diaz parsknął śmiechem.

– Wybacz, Kevin. Ali, nie widziałaś dziś przypadkiem Johna Faireya? Wczoraj miał jechać z nowym podwładnym przepytac dziwki i jeszcze nie zameldował się z powrotem w jednostce. Mają wyłączone telefony i ewidentnie nikt nie miał z nimi kontaktu od lunchu. Wiesz, gdzie się mogą podziewać?

Znając Johna, pewnie utknęli w jakimś pubie, ale krew mimo wszystko zmroziła mi się w żyłach.

– Nie możecie namierzyć jego wozu?

– A jak ci się wydaje?

Przeniosłam wzrok na Kevina. Trudno powiedzieć, czy myślał to samo co ja, ale wyglądał bardzo niewyraźnie.

– Chodzi o Ericę, prawda?

– Czytałaś raport – przypomniał mi Diaz. – Nie trzyma się kupy, no nie?

– Właśnie w tej sprawie miałam dzwonić do Lowry’ego – skłamałam, ale w dobrej wierze. – Wybieram się do domu Reeda, żeby go przesłuchać. Może do czegoś się dokopujemy.

Skinął głową.

– Wielkie umysły myślą podobnie – skomentował. – Będziemy gotowi za dwadzieścia minut.

W porządku.

– Spotkamy się na miejscu – oświadczyłam. – Muszę nakarmić Kevina.

Diaz poklepał dach wozu i chciał wrócić tą samą drogą, którą przyszedł, przez wyjście pożarowe, ale drzwi były zamknięte. Zaklął pod nosem i popędził za róg budynku, znikając nam z oczu. Kevin skwitował to śmiechem.

– Sięgnij do torby na tylnym siedzeniu – poinstruowałam Kevina, gdy byliśmy kilka kilometrów od celu. – Jest tam mój notes... a w nim numer do Reeda.

Kevin wytarł tłuste palce w papierową serwetkę i wydobyl notatnik.

– Mam wybrać?

– Tak, proszę. Sprowokujemy go. Zadzwoń z mojej komórki, jest podłączona do zestawu głośnomówiącego.

Podsunał mi telefon, żebym wprowadziła kod odblokowujący, a potem wstukał numer. Nagle w połowie sygnału głośnik warknął głosem tamtego mężczyzny, strasząc nas przy tym:

– Jestem tu! A ty gdzie jesteś?

Chwila wahania. Nie mógł wiedzieć, że do niego jadę, prawda?

– Wi...witam – wyjąkałam, próbując ukryć konsternację. – Ja...
Wszystko w porządku?

– Kto mówi? – spytał.

Ten głos. Pamiętam ten głos, głęboki i ciemny, niczym rzeka czekolady. Jakbym się pochyliła nad przepaścią. To nie mnie spodziewał się usłyszeć, jednak dzięki temu wcale się nie uspokoiliam.

– Przepraszam – odezwałam się. – Tu Ali Green. Jeśli zadzwoniłam w nieodpowiednim momencie... – Poczułam, jak Kevin prostuje się na siedzeniu, i spojrzałam na niego z tak samo zdziwionym wyrazem twarzy.

– Sierżant Green – powiedział tamten mężczyzna. – Nie. Doskonale wycucie czasu. Mam tak gówniany dzień, że nie może go pani już bardziej zepsuć.

Zaśmiałam się sztucznie.

– No cóż. Nie taki był mój zamiar – stwierdziłam. – Miałam jednak nadzieję, że pana złapię.

– Coś takiego – odpowiedział.

Zabrzmiało to obojętnie, niemal lekceważąco.

Kevin zarechotał, więc skarciłam go spojrzeniem. A potem postawiłam wszystko na jedną kartę i oznajmiłam:

– Jadę do pana. Musimy omówić kilka rzeczy. – Na drugim końcu zapadła cisza, więc dodałam: – I zanim się pan zdenerwuje, pragnę wyjaśnić, że nie chodzi wyłącznie o pana.

Długa pauza, a potem krótkie:

– Nie rozumiem.

Byłam pewna, że załamał mu się głos, ledwie słyszalnie, ale jednak. Coś było nie tak.

– Tak, ja też nie rozumiem, i jest bardzo prawdopodobne, że przesadzam. Myślałam jednak o tym bezustannie i jest to wyjątkowo irytujące, ale niewykluczone, że możemy sobie pomóc. – Byliśmy dziesięć minut od celu. – Będę u pana za dwadzieścia minut. Okej?

Znów nieskończenie długa cisza. I nagle:

– Miałem właśnie wyjść.

– Niech pan zaczeka – powiedziałam może trochę zbyt stanowczo.

Najwyraźniej jednak poskutkowało, bo natychmiast przyjął bardziej

pojednawczy ton.

– Och, oczywiście, zaczekam – odparł z udawanym chichotem. – Będę tutaj. Muszę tylko naprawić jedną rzecz na tyłach domu, więc jeśli nie uporam się z tym przed pani przyjazdem, to proszę po prostu wejść i się rozgościć.

Kevin wykrzywił twarz w manierycznym grymasie niedowierzania i wymówił bezgłośnie „Co, do cholery?”.

– Mam lepszy pomysł – skontrowałam, próbując zachować powagę. – Może wstąpię po drodze na kawę i spotkamy się za godzinę?

– Tak, to lepszy pomysł – przyznał. Byłam pewna, że mnie przejrzał i wiedział, że kłamię, ale co z tego. I tak byśmy się pogubili w tej plątaniu wzajemnych podejrzeń. – Może mi pani powiedzieć, o co właściwie cho... – Urwał tak nagle, że przez chwilę się zastanawiałam, czy nie zerwało połączenia, ale w głośniku nadal słyszałam jego oddech. Szybki i spazmatyczny. Albo się ze sobą zabawiał, albo trząsł się z nerwów.

– Jest pan sam? – spytałam.

– Tak.

– I na pewno wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – wychrypiał, z trudem składając słowa, zupełnie jakby zobaczył ducha. – Przepraszam, właśnie się ubieram. Niewiele brakowało, żebym się uduślił.

– Rozumiem. – Wcisnęłam pedał gazu w podłogę. – W takim razie rozłączę się, zanim zrobi pan sobie krzywdę. Ale jeśli chodzi o pańskie pytanie, to powiem, że musimy koniecznie porozmawiać o Ericie Shaw.

– Na Boga! – jęknął. – Pani Green, powiedziałem wam wszystko, co wiem. Naprawdę nie sędzę, żebym był w stanie jeszcze jakoś pomóc.

– To tylko rutynowe pytania – wyjaśniłam. – Musimy mieć pewność, że nic nam nie umknęło. Do zobaczenia za godzinę.

– Dobrze – powiedział. – Za godzinę. – I rozłączył się, zanim zdążyłam się pożegnać.

Kevin otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale go ubiegłam:

– Jadę najszybciej, jak się da.

Bez względu na to, co spodziewałam się zastać na miejscu, byłam kompletnie nieprzygotowana na to, co się wydarzyło. Poprosiłam przez radio o pilne wsparcie; zadzwoniłam do Diaza, który był już w drodze z głównym inspektorem i uzbrojoną brygadą. Wiedziałam, że powinnam poczekać. Ale nie czekałam.

Zatrzymałam się tylko na chwilę przed ciężką żelazną bramą, za którą trakt wiódł przez las do oddalonego o niecały kilometr domu tamtego mężczyzny. Kevin wyskoczył z toczącego się jeszcze wozu, otworzył bramę i ledwo wgramolił się z powrotem do auta, znów jechałam. Skronie mi pulsowały, wzrok miałam skupiony jak jastrząb. Trochę poblady Kevin siedział cicho obok, uczepony rączki nad głową.

Gdy dotarłam na skraj drzew i wchodząc w poślizg, znalazłam się na szerokim zwirowanym podejździe, rozpętała się strzelanina. I to Erica Shaw trzymała broń.

Nie pamiętam zbyt wiele z tego, co stało się później. Pamiętam, jak patrzyłam w lufę rewolweru. Pamiętam, jak leżałam na ziemi, a szpony Eriki wbijały się w mój policzek. Pamiętam, jak deszcz uderzał o żwir i odbijał się drobnymi kroplami, czerwonymi od krwi młodej kobiety. Pamiętam tamtego mężczyznę; był słaby, ale zachował kontrolę i jednym spojrzeniem zdecydował o losie Eriki. Pamiętam także wpatrzoną we mnie twarz Elego Diaza, jego krew na moich kolanach i jego osuwające się ciało, które spoczęło bez życia u moich stóp.

Pamiętam tę krew. Mnóstwo krwi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Główny inspektor Malcolm Lowry zaginął. Nikt nie chciał tego przyznać, ale wszyscy tak myśleli. Po śmierci Elego przeżył załamanie, którego każdy z nas spodziewał się po nim już miesiąc temu, kiedy jego żona wystąpiła o rozwód. W ciągu kilku godzin trafił do szpitala z powodu bólu w klatce piersiowej, w tym samym dniu wyszedł, a już dzień później zaszył się w domku kempingowym na wybrzeżu Walii, ignorując wszystkie oferty pomocy i prośby, żeby wrócił do szpitala. Po tygodniu przestał odbierać telefony, a po dwóch urwał się z nim wszelki kontakt.

Dowiedziałam się tego wszystkiego od Jennifer Riley, gdy stałam z szeroko otwartymi oczami w centrum operacyjnym i próbowałam się zorientować w całym tym zamieszaniu, kto tu tak naprawdę dowodzi. Poznałam Jenny w trakcie policyjnego szkolenia; zawsze była o kilka kroków przede mną i zawsze sprawiała wrażenie, jakby bardziej niż ja nadawała się do takiej pracy, która wymaga większej empatii i wrażliwości. I teraz dawała temu wyraz, ściskając mnie mocno i powtarzając, jak bardzo się cieszy, że wróciłam, i jak bardzo za mną tęskniła, i w ogóle jak się mam, i jak jej przykro zarówno jako mojej przyjaciółce, a także, jak się właśnie okazało, przełożonej, że rzuciła mnie od razu na głęboką wodę bez wprowadzenia w sprawę, bez przygotowania i mówiąc wprost, bez jakiegokolwiek informacji, o co tu, do cholery, chodzi.

– Przepraszam – powtórzyła raz jeszcze, odklejając od mojego policzka swój długi miedziany włos. – Wiem, do dupy. Szczerze mówiąc, wszystko jest do dupy. Zajmuję się tym dopiero od tygodnia. Popatrz tylko na ten bajzel. Cała ta sprawa od początku przypomina jedno wielkie szambo. Bez urazy.

Przesunęłam wzrokiem po galerii białych tablic ustawionych

wzdłuż ściany pod oknami. Na każdej widniały chaotycznie rozmieszczone zdjęcia, nazwiska i daty, ale z tego, co zauważyłam, nie wnosiły nic konkretnego.

Jedną tablicę zajmowały zdjęcia z policyjnej kartoteki przedstawiające godne pożałowania, uszargane prostytutki Kerry Farrow i Samanthę Halloran, które dotarły na samo dno swojej profesji, za to na sam szczyt narkotykowego uzależnienia, i które zaginęły w odstępie kilku tygodni. Razem z Faireyem, z którym wyjątkowo nie potrafiłam się dogadać, pracowałam akurat nad sprawą Kerry, kiedy przydzielono mnie do poszukiwań Eriki Shaw.

Uwieczniona na zdjęciu Erica o pełnej, nadąsanej i okolonej burzą długich, ciemnych loków twarzy, dzieliła tablicę ze swoją najlepszą przyjaciółką Sarah Abbott i koleżanką ze szkolnej ławki Caroline Grey – obie były wysokimi, szczupłymi blondynkami o wydatnych kościach policzkowych i obie zaginęły w odstępie kilku dni i kilku kilometrów od siebie – a także z Rachel Murray, która przekornie w chwili swojej śmierci wcale nie była zaginiona. Poniżej kolumna portretów: dziewczęta w podobnym wieku o lśniących włosach, błyszczących oczach i idealnie białych uśmiechach promieniujących radością ze szkolnych fotografii i zdjęć do portfolio. Przy każdym nazwa miasta: Reading. Bristol. Portsmouth. Guildford. Bradford. Chelmsford. Dużo tych „fordów”, zauważyłam, wzdrygając się na widok fotki białego transita obok podobizny tamtego mężczyzny na trzeciej tablicy.

Jego twarz nic mi nie mówiła, tak samo jak widniejące pod nią pół tuzina ujęć metalowej klatki, która jak już wiedziałam, była ukryta pod jego garażem. Nikt jednak nie miał wątpliwości, że kimkolwiek jest i gdziekolwiek teraz przebywa, to on stoi za zaginięciem tych dziewczyn.

Na czwartej tablicy – Mark Boon. Straszdyło o włosach w kolorze dyni i obłąkanym szyderczym spojrzeniu. Pod spodem ta sama twarz, z rozciętym policzkiem i przekrwionymi oczami, patrząca w górę ciemnym, niewidzącym wzrokiem, chociaż leżąca pozycja ciała stanowczo sugerowała, że powinna patrzeć w dół.

I w końcu wyciągnięte z akt osobowych zdjęcia Faireya i Keitha, a poniżej jedynie wielki czarny znak zapytania zakreślony dla emfazy w kółko.

– Streścisz mi sprawę? – spytałam.

Jenny skinęła głową.

– Ale najpierw zrobię nam kawę, dobrze?

– Opowiedz mi, co dziś widziałaś – rzuciła, upijając łyk z kubka z nadrukiem: widzisz moją minę, a jednak nadal przynudzasz.

Mój kubek gdzieś się zapodział, więc dała mi taki z napisem: jeszcze żyję. Rozśmieszyło mnie to, ale nie było zabawne.

– To na pewno samochód Johna – stwierdziłam. – Nie mam pojęcia, czyje to szczątki. Bagażnik jest pełen zwapnionych i pokruszonych kości. Czy należą do dwóch osób i czy w ogóle da się je złożyć w całość, Bóg jeden wie. Tak czy owak, to z pewnością było celowe podpalenie, powiedziałabym, że przy użyciu znacznej ilości substancji łatwopalnej. Nie wiem, jakiej potrzeba temperatury, żeby stopić stal i skremować zwłoki, to nie moja działka, ale to musiało być cholernie duże ognisko. Cała karoseria była powyginana. No i wiesz, ktokolwiek tam spłonął, był zamknięty w bagażniku. Tak to wygląda.

Pogrążona w myślach Jenny pokiwała głową, a jej oczy pociemniały. Łyknęłam kawy. Miała za mało cukru i za dużo mleka, chociaż byłam pewna, że przyrządzała ją tak jak zwykle.

– Znaleźliśmy też ślady opon – oznajmiłam, odblokowując telefon i pokazując jej zdjęcie. – Tam gdzie spłonął samochód. Właściciel ziemi twierdzi, że nie on je tam zostawił, ale są wyraźne. Na tyle wyraźne, że powinno dać się ustalić przynajmniej markę i rozmiar. Sandra dała je do zbadania Jimowi. Może na coś trafimy.

– A co podpowiada ci intuicja?

– Nie wiem. – Moja intuicja nie wróciła chyba jeszcze z OIOM-u, pomyślałam. – Jak to możliwe, że nie byliśmy w stanie namierzyć Johna i Juliana?

– Ależ namierzyliśmy ich – oświadczyła. – Samochód nie był

wyposażony w lokalizator, ale gdy tylko zrozumieliśmy, że zaginęli, namierzyliśmy ich komórki. Byli w tamtym domu w przeddzień... – Uciekła wzrokiem na ułamek sekundy. Jej oddech nieznacznie zadrżał. – W przeddzień tego, co się stało. W każdym razie ostatni sygnał pochodził właśnie stamtąd i został wysłany o piątej po południu. Wiedzieliśmy o tym, zanim to wszystko się wydarzyło, tak myślę.

Niewykluczone.

– Nie pamiętam – odparłam i na tym poprzestałam.

– Nie pamiętasz. – Pokiwała głową. – Cóż, to kolejna rzecz, która mąci nam obraz sytuacji. Byli tam, ale o ile nam wiadomo, wrócili. Tylko że... nikt ich więcej nie widział.

Nie do końca wiedziałam, o co tu chodzi ani dlaczego potwierdziło to tylko moje przypuszczenia, ale tak właśnie było. Przyjrzałam się jeszcze raz portretowi pamięciowemu. Nie mógł być bardziej przeciętny. Twarz jak każda inna. Dwoje oczu, dwoje uszu, nos, usta. Podbródek. Trochę włosów.

– Jakim cudem nie mamy lepszej podobizny? – spytałam. – To przecież może być każdy.

Jenny skinęła głową i odstawiła kubek na dzielący nas stół. W jej oczach znów zamigotały iskierki triumfu – na to pytanie potrafiła odpowiedzieć. Otworzyła laptop, wstukała hasło dostępu, weszła do jakiegoś folderu i odwróciła komputer tak, żebyśmy obie widziały ekran.

– Mamy prawo jazdy – odparła, wyświetlając zeskanowany dokument ze zdjęciem. – Dwa odzyskane przez nas pojazdy są zarejestrowane na tego faceta. To Thomas Reed. Wygląda znajomo?

Roześmiałam się. Mężczyzna miał długą brodę i długie do ramion opadające po obu stronach włosy, które przesłaniały jego ciemne oczy.

– Jezus – odparłam krótko.

– No nie? – Przeskoczyła do zdjęcia paszportu wydanego na to samo nazwisko i z tą samą fotografią. – Gdybym była wierząca, uznałabym, że to cud, bo ten Thomas Reed od dawna już nie żyje. Zmarł w tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątym roku na krztusiec. W przeciwieństwie do... – kolejny slajd, inne prawo jazdy, ta sama twarz – ...Jamesa Faulknera, który utonął w wieku trzech lat. – Klik. Kolejny paszport. – James jest właścicielem tego domu i przyległego dwudziestoczterohektarowego terenu.

– Jakież rachunki bankowe?

– Jeszcze do nich nie dotarliśmy. I żadna z tych osób nie odprowadza podatków. W skarbowce nie mają żadnego płatnika zameldowanego pod tym adresem. Co więcej, nasz podejrzany posiadał klucze do co najmniej ośmiu innych nieruchomości.

– Więc co, zajmuje się wynajmem domów?

Wzruszyła ramionami.

– W tej chwili nie mamy żadnego tropu pieniędzy. Żadnej hipoteki, żadnych rat za samochód, żadnych kart kredytowych... Gdyby dokonywał jakichś transakcji, to mielibyśmy szansę na coś wpaść. W ostateczności możemy sprawdzić numery seryjne wszystkich sprzętów w domu i liczyć, że nie płacił gotówką...

Posłałam jej spojrzenie, które jak miałam nadzieję, wyrażało: „Możemy nie mieć wyboru”.

– Wiem – rzuciła i jednym haustem dopiła resztkę kawy.

– Co z DNA?

– Och, mamy go od cholery. Nie mamy tylko z czym go porównać. Niestety Rzeźnik z Breckland nie figuruje w naszej bazie.

– Kto?

– Tak go nazwały media.

Ech.

– Niech się pieprzą.

– Tak im powiedziałam.

Ponownie omiotłam wzrokiem tablice.

– Czyli, nie licząc Eriki, ile z nich na pewno tam było? – spytałam.

– Jedna – odparła. – Kerry Farrow.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Kerry – powtórzyłam. Byłam tam, patrzyłam tamtemu mężczyźnie

w oczy, kiedy przysięgał, że w życiu jej nie widział, kiedy zuchwale podważał nasze dowody i kiedy słusznie założył, że ciało, które znaleźliśmy, nie należało do niej. – Gdzie? W... tamtej klatce?

Znowu skinęła głową i przechyliwszy ją na bok, wbiła wzrok w zdjęcia klatki, zapewne również dlatego, żeby uniknąć mojego spojrzenia.

– Tak, i tylko tam – uściśliła. – W przeciwieństwie do Eriki, której DNA znaleźliśmy w całym domu. W klatce i we wszystkich pomieszczeniach, łącznie z główną sypialnią.

W tej samej chwili w mojej głowie rozbrzmiał głos; był niewyraźny i pozbawiony płci, i za nic w świecie nie potrafiłam go z nikim skojarzyć. „Nie wrócę do klatki”, krzyczał.

Jenny zobaczyła, że się trzęsę, i spytała:

– Dobrze się czujesz?

Ani trochę. Ilekroć próbowałam myśleć, czułam się tak, jakbym patrzyła w czarną pustkę. Zdążyłam już zapomnieć nazwiska, które dopiero co mi podała, a wszystko inne, o czym mówiła wcześniej, z wyjątkiem tej części o DNA, było zaledwie nikłym echem.

– Kerry – powiedziałam wyłącznie po to, żeby nie zgubić wątku. – Kerry tam była.

– To nie twoja wina – stwierdziła.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, lecz nawet gdybym wiedziała, to pewnie i tak bym jej nie uwierzyła. Nie mogłam się teraz na tym skupiać.

– A co z Samantha?

– Nic. Zero śladów. W furgonetce też niczego nie znaleźliśmy. Jedynie resztki wybielacza.

Wróciłam pamięcią do pierwszego spotkania z tamtym mężczyzną. Byłam tam, sprawdzałam wnętrze tego transita. Cuchnęło potem i jakąś chemiczną substancją. Stało tam pudło pełne grubych, szarych wełnianych koców, wystarczająco duże, żeby ukryć w nim ciało.

– Czy na pace transita były jakieś rzeczy? – rzuciłam w zadumie.

– Nie, wydaje mi się, że była pusta. Czemu pytasz?

– Jeśli w wykazie jest pudło z kocami, to trzeba pobrać z nich próbki.

Zanotowała to.

– Czy Samanthę i Kerry coś łączy? – spytałam. – Znaczy się, poza ich profesją.

– Jeszcze tego nie ustaliliśmy. Mamy za to nagranie z monitoringu dowodzące, że Reed, czy jak mu tam, znajdował się w pobliżu miejsca, w którym po raz ostatni widziano Kerry, a w lochu pod jego domem znaleźliśmy jej DNA. To go wystarczająco pogrąża. W tej chwili wszelkie powiązania z Samanthą to bonus.

– Bonus?

Jenny podniosła rękę w obronnym geście i dodała:

– Tak, wiem, co chcesz powiedzieć. Ale na razie nie mamy nic w sprawie Samanthy. Jest szansa, że wpadniemy na jakiś trop, jeśli znajdziemy Reeda i zacznie mówić. To jedyny sposób, bo wszyscy inni milczą.

Próbowałam przyjrzeć się temu na chłodno, pozbyć się uczucia, że to wszystko klei się jeszcze mniej niż w chwili, gdy tu przyszłam. Co powiedziała Jenny? Że DNA Eriki było w całym domu? To nie pasowało do tego, co sądziłam, że wiem na jej temat. Tylko co tak naprawdę wiedziałam? Że była niewinną ofiarą, uprowadzoną dziewczyną? Nie mogłam być tego pewna, no nie? Przecież wypadła z jego domu i zaczęła strzelać. Tylko do czego? Do kogo?

– Jenny – zwróciłam się do niej, choć bałam się zadać pytanie, które chodziło mi po głowie. – Chyba nie myślisz, że Erica i tamten mężczyzna są w zмовie?

Jenny spojrzała na mnie, jakbym spadła z księżyca.

– Cholera wie – odparła. – Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że ukrywają się razem, bo jeśli nie, to szanse na to, że go wyśledzimy, są równie nikłe, jak na złapanie Kuby Rozpruwacza. Ten człowiek to duch. Nie wiemy, kogo szukamy. Może być wszędzie, a wszyscy, którzy widzieli jego twarz, albo nie żyją, albo znajdują się w tym pokoju.

A ja niczego nie pamiętałam.

– Jeszcze Kevin – przypomniałam. – Kevin również go widział.

Spuściła wzrok na biurko i ciężko westchnęła.

– Tak, cóż, Kevin też oberwał w głowę, prawda?

– Chcesz więc powiedzieć, że nie mamy absolutnie nic? – spytałam, czując niepokojące mrowienie frustracji.

Jenny, z całkowicie obojętną miną, upiła łyk kawy.

– Mamy cztery zaginione kobiety, których sprawy, jak sądzimy, są ze sobą powiązane – oświadczyła. – Mamy jedną ofiarę postrzału, prawdopodobnie dwóch martwych detektywów, piwnicę, furgonetkę, kupę kluczy i mężczyznę, który nie istnieje. Więc tak na dobrą sprawę nie mamy, kurwa, nic. Jesteśmy w punkcie wyjścia.

Przeniosłam wzrok na tablicę i zdjęcie przedstawiające kolekcję kluczy rozłożonych równiutko na stole na kształt kwadratu. Wszystkie z wyjątkiem dwóch opatrzone były żółtymi, ręcznie ponumerowanymi brelokami.

– Chryste – pomyślałam na głos. – Wspomniałaś o co najmniej ośmiu innych nieruchomościach.

Jenny skinęła głową, pociągnęła nosem i zmarszczyła brwi.

– Tak, wiem – odparła. – To oznacza co najmniej osiem innych klatek, do których nie prowadzi żaden trop.

Obie się wzdrygnęłyśmy i połączyłyśmy w milczeniu. I wtedy znów ogarnęło mnie to dziwne uczucie, jakby coś mi umknęło.

– Moment – rzuciłam nagle. – A co ze świadkiem?

Patrzyła na mnie przez chwilę pustym wzrokiem, po czym uniosła pytająco brwi i kręcąc głową, wzruszyła ramionami.

– Jakim świadkiem?

– Z kobietą, którą przesłuchiwał John. Tą, która rzekomo była z Reedem w noc zaginięcia Kerry. Powiedział nam o niej za pierwszym razem, gdy przyjechaliśmy go przesłuchać.

Po twarzy Jenny przemknął wyraz niepokoju, chociaż starała się to ukryć. Wciągnęła powoli powietrze i pochyliła się nad biurkiem, marszcząc czoło.

– Ali – podjęła. – O czym ty mówisz?

Zalała mnie fala gorąca; wstyd zmieszał się z paniką i frustracją, gdy próbowałam sobie przypomnieć.

– John – powtórzyłam – rozmawiał z kobietą o imieniu Anna, a może Annie... Była świadkiem. Albo jeśli wolisz, alibi. Nie wiedziałaś?

Jenny pokręciła przecząco głową.

– Kiedy?

– Nie było mnie przy tym, ale chyba po pierwszym przesłuchaniu – odpowiedziałam. – Sprawdź. Na pewno jest w aktach.

– Nie – zaprzeczyła. – Nie jest. Nie ma o tym żadnej wzmianki. Co ty... Ali. Spójrz na mnie.

Podniosłam wzrok i spojrzałam jej w oczy. Były szmaragdowe, roziskrzane od adrenaliny. Nagle poczułam senność i ból w nodze.

– Ali – zwróciła się do mnie ponownie. – O czym ty mówisz?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Annie była pijana, tak jak wczoraj, lecz tak jak wczoraj nie zamierzała dopuścić, żeby było to jakąś przeszkodą. Do końca dnia zostało jeszcze sporo godzin, ale i tak za mało. Wlokący się pociąg, jadący okrężną trasą autobus i przeciążona firma taksówkowa bez wątpienia zadbałyby o to, żeby dotarła do domu, gdy będzie już ciemno.

Zmierzch kiedyś już ją ubiegł, a było to dwa tygodnie temu, kiedy wróciła późno ze zmiany. Wioska zbyt szybko pogrążyła się w mroku – za dużo drzew, za mało latarni. Tu, z dala od miasta, ciszy nie mącił żaden hałas. Nad ulicami tylko cień i niebo. Zaparkowała kilka domów od swojego, oświetlając przednimi lampami drogę, parkany, potencjalne kryjówki między żywopłotami, i siedziała tak przez kwadrans, dopóki się nie upewniła, że nic na nią nie czyha. W każdym razie nic, co porusza się na dwóch nogach. Później wprowadziła wóz na podjazd i oświetliła frontową część budynku, penetrując ciemne okna jasnymi snopami w poszukiwaniu ludzkich sylwetek. Gdy wreszcie weszła do środka i włączyła wszystkie światła, głowę rozsadzał jej pulsujący ból wywołany napięciem w ramionach. Nie spała całą noc.

Annie wiedziała, że dziś się to nie powtórzy. Była tego pewna, gdy zatoczyła się na swoje przedpotopowe renault i upuściła kluczyki. Zaśmiała się ochryple pod nosem, próbując skupić na nich wzrok i je podnieść. Zaciągnęła się mocno papierosem, po czym schyliła się zwinnie i zgarnęła je z ziemi czubkiem palca.

– Widzisz? – powiedziała na głos do wyimaginowanego towarzysza, który dodawał jej otuchy, gdy była sama. – Wcale nie jestem pijana.

Ostrożnie obróciła kluczyki w dłoni i odnalazła ten do drzwi. Prześlizgnął się jej między palcami, ustawiając pod dziwnym kątem,

tak że nie mogła trafić do zamka. Im bardziej manewrowała nadgarstkiem, tym bardziej kluczyk się odchyłał, aż w końcu wylądował na wierzchu dłoni.

– Och, na litość... – Westchnęła i ponownie je upuściła.

Włosy zjeżyły jej się na karku. Nie pamiętała zbyt wiele, zwłaszcza ostatnio, ale sceny z tych wszystkich filmów nie dały o sobie zapomnieć: ogarnięte paniką kobiety z wielkimi, nastroszonymi fryzurami rodem z lat osiemdziesiątych upuszczały kluczyki, a wtedy rzucał się na nie zabójca.

Serce zaczęło pulsować jej w gardle, dławiąc oddech. Ciało przeszył mrowiący dreszcz niepokoju. Przez głowę przemknęło naraz tysiąc myśli. Ktoś się za nią czaił.

Odwróciła się gwałtownie z wrzaskiem, który najpierw ją wystraszył, a potem zawstydził, kiedy się okazało, że nikogo tam nie ma. Poczula, że schodzi z niej adrenalina. Odetchnąwszy, pokręciła głową i powiedziała do siebie:

– Do kurwy nędzy, Annie! – po czym schyliła się po kluczyki.

Zdołała włożyć jeden do zamka, niestety nie ten właściwy, więc spróbowała ponownie, tym razem z powodzeniem, chociaż kosztem lakieru, który obłupiała, dźgając kluczem wokół klamki.

Wreszcie otworzyła drzwi i obejrzała się jeszcze raz przezornie przez ramię, zanim cisnęła torbę na siedzenie, a niedopałek na ziemię, i wgramoliła się do auta.

Powieki miała ciężkie, ale teraz się tym nie przejmowała. Zatrzasnęła drzwi, odszukała kluczyk do stacyjki i jakoś zdołała odpalić silnik.

– Spokojnie. Wszystko jest w porządku – powiedziała, lecz gdy spojrzała na lusterko wsteczne, zrozumiała, że nic nie jest w porządku.

Było tak przekrzywione, że widziała w nim tylko zniszczoną i zmechaconą podsufitkę. Podniosła odruchowo rękę, żeby je poprawić, i nagle zamarła. To też знаła z filmów i natychmiast poczuła dreszcz strachu pełznący po plecach, przekonana, że ostatnią

rzeczą, jaką zobaczy, gdy wyprostuje lusterko, będzie para oczu wpatrujących się w nią z tylnego siedzenia.

Nie zważając więc na to, że w głowie wszystko jej wirowało, zacisnęła powieki i wydukała:

– Proszę. Proszę, nie.

Ruch na trasie za miastem był niewielki, ale Annie wolała, żeby był większy, bo za sobą miała radiowóz, a przed nią nie jechał żaden samochód, który nadawałby tempo, droga zaś była kręta i obowiązywało na niej ograniczenie do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, co wydawało się dość łagodne, zważywszy na liczbę ostrych zakrętów, jednak Annie nie chciała jechać zbyt wolno, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Przez ciągłe pilnowanie prędkości i spoglądanie w lusterko jeszcze mocniej ścisnęła kierownicę, wchodziła raptownie w zakręty, a na prostych odcinkach co chwila korygowała tor jazdy. Ilekroć próbowała rozluźnić dłonie i patrzeć w dal, zamiast wbijać wzrok w szosę tuż przed sobą, albo przyśpieszała, albo zwalniała, zależnie od tego, co akurat było gorszym wyborem.

Wyłączyła radio, by móc lepiej się skupić, w efekcie czego wykonała gwałtowny skręt, i teraz bała się nawet wyłączyć ogrzewanie, które z niewiadomych powodów było włączone, więc jednocześnie gotowała się w środku z gorąca i drżała skąpana w zimnym pocie.

Zanosilo się na to, że będzie chora.

Wreszcie po tych torturach, które zdawały się trwać wiele godzin, chociaż wiedziała, że tak naprawdę przejechała raptem osiem kilometrów, przez ciemne chmury paniki, które spowiły jej głowę, przedarł się jasny jak słońce promyk nadziei: niewielka stacja benzynowa koncernu Gulf, obok której codziennie przejeżdżała, ale nigdy nie miała potrzeby się zatrzymywać, z wyjątkiem tego jednego razu, gdy działający po sąsiedzku warsztat samochodowy wystawił na sprzedaż stary kabriolet bmw. Samochód, który stał na popękany betonowym podjeździe, okazał się jednak kupą złomu.

Annie spojrzała w lusterko, włączyła kierunkowskaz i wykonała manewr – wszystko w tym samym czasie – nie zwalniając przy tym ani na jotę, tak że wpadła na tenże podjazd z prędkością siedemdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę, zanim nadepnęła na hamulec, obracając renault o dwadzieścia stopni i parkując trzy metry za pompami benzynowymi. Nie obejrzała się za siebie, tylko zwróciła oczy ku drodze, obserwując przejeżdżający radiowóz, który nagle zahamował. Najadła się strachu, chociaż kierowca na nią nie patrzył. Mimo to chwyciła za klamkę, gotowa wyskoczyć z wozu i ulotnić się jak kamfora, gdyby jednak zawrócił.

Ale nie zawrócił.

Annie poczekała chwilę, zanim wysiadła z auta, i pochwyciwszy spojrzenie pracownika stacji przyglądającego się jej badawczo przez okno, jakby nigdy nic, przynajmniej w swoim przekonaniu, ruszyła do sklepu. Jednak gdy zanurzyła się w chłód klimatyzacji i poczuła lśniące na czole lodowate kropelki potu, natychmiast się zorientowała, że mężczyzna nie dał się nabrać i widzi, że jest kłębkim nerwów. Dlatego nie ufając własnemu głosowi, tak jak i reszcie ciała, nawet nie próbowała się odezwać. Po prostu skinęła uprzejmie głową, posłała mu krzywy uśmiech i bez słowa zapłaciła za cornetto i paczkę chipsów.

Jakiś czas później – nie wiedziała dokładnie kiedy, ale stopa bolała ją już od ciągłego muskania pedału gazu, a oczy mało nie wyszły z orbit od wyteżania wzroku – dotarła do domu. W każdym razie na właściwą ulicę i pobocze naprzeciwko podjazdu. Jeśli idzie o dom, to już inna sprawa. Im bardziej się do niego zbliżała, tym dalej jej było do poczucia bezpieczeństwa, jakie powinien dawać. Zupełnie jak w tym słynnym ujęciu ze „Szczęk”, gdy twarz szeryfa Brody’ego przybliżyła się, nabierając ostrości, podczas gdy tło się oddala i rozmywa, przygotowując widza o mdlące przerażenie. To tak zwany efekt *dolly zoom*, a osiąga się go poprzez najazd kamery na filmowany

obiekt i jednoczesny odjazd zoomem. Najazd, odjazd.

Najazd, odjazd. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Annie, uspokój się, kurwa.

Oddychała głęboko i ściskając kierownicę, słuchała tykania chłodzącego się silnika. Próbowwała się roześmiać, rozważając zmianę nazwiska na Dolly Zoom.

Mogłabym pod nim występować jako striptizerka, pomyślała, gdybym nie miała już czego szukać w pracy.

W końcu jej serce i oddech zwolniły do w miarę rozsądnego tempa. Opuściła szybę, zapaliła papierosa i spopielila go do samego filtra, wpatrując się na zmianę w każde z okien. Potem poprzyglądała się jeszcze trochę, dopóki nie stwierdziła z satysfakcją, że to tylko dom, jej dom, pusty, znajomy, bezpieczny.

Ha! Bezpieczny. Akurat!

Wyciągnęła rękę i odwróciła lusterko wsteczne, żeby się w nim przejrzeć. Westchnęła na widok rozmazanej maskary i podkreślonych czernią zmarszczek wokół zmęczonych, przekrwionych oczu, które straciły wszelki blask i zdradzającą inteligencję bystrość spojrzenia, odróżniając ją od tych wszystkich ładnych, acz bezmyślnych dziewczyn ze szkoły. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie wygrzebać chusteczek z dna torby i nie zmyć tego bajzlu z twarzy, uznała jednak, że owszem, być może jest wystarczająco trzeźwa, żeby to zauważyć, ale wciąż zbyt pijana, by się tym przejąć. Pacnęła więc lusterko, ustawiając je z powrotem we właściwej pozycji, po czym chwyciła torbę, wzięła głęboki, spokojny oddech i otworzyła drzwi.

Do domu miała niecałe dwadzieścia metrów. Dobyła już klucz, który ściskała między kciukiem a palcem wskazującym, mając nadzieję, że wejdzie gładko w zamek i nie wypadnie jej z rąk. W głębi duszy wiedziała, że teraz, w blasku popołudniowego słońca, nikt jej nie podejrze. Po prostu nie była pewna, czy zniesie kolejny zastrzyk adrenaliny – tę czystą dawkę irracjonalnego lęku, że coś czyha za jej plecami, który niechybnie towarzyszyłby upuszczeniu kluczy.

I tak oto ząbkowana końcówka zgrzytnęła radośnie w zamku, klucz bez trudu przekręcił się w drzwiach, a drzwi lekko się uchyliły. Annie pchnęła je dłonią i gdy weszła do środka, natychmiast zamknęła, nie oglądając się za siebie. Cokolwiek czaiło się na zewnątrz, zostało właśnie tam.

Jednak świadomość tego faktu nie przyniosła jej ulgi.

W domu panował chłód, przynajmniej na dole; okna od strony południowej zaciemiały żywopłoty i obsypane kwieciami drzewa. Na górze, gdzie ukośny sufit sypialni przylegał do dachu, na pewno można się było ugotować, zwłaszcza w tym jednym miejscu pod świetlikiem, w którym z uwielbieniem wylegiwał się kot sąsiadów. Ale kota dawno już nie widziała, a ponieważ alkohol przestawał działać, upał przyprawiał ją o ból głowy, więc cisnęła torbę na podłogę obok kanapy i po prostu stała przez chwilę w chłodnym półmroku, rozcierając wstrząsane dreszczem ramiona i próbując rozgryźć, co się zmieniło. Na minutę, może trzy lub cztery zdołała zapomnieć o ściskającym ją w dołku uczuciu niepokoju, katalogując zawartość salonu: dekoracyjne lampy z efektem popękanego lustra, raczej absorbujące niż odbijające przydymiony kolor kwitnącej magnolii na ścianach; telewizor sterczący na źle spasowanej szafce ze sklejki imitującej mahoń, przesłonięty częściowo przez stertę nieobejrzanych filmów; witrynę pełną porcelanowych figurek, pieczołowicie gromadzonych w dzieciństwie, a teraz stanowiących jedynie pretensjonalną pamiątkę odległej przeszłości. Popielniczkę, która zdawała się samoistnie napełniać i opróżniać. Wygniecioną sofę, która nie powinna być wygnieciona, gdy chwiejnym krokiem wracała po całym dniu z pracy. Nikłą słodką woń, którą czasem tu wyczuwała, a czasem nie, i nie miała pojęcia, skąd się bierze. Tykanie zegara. Tykanie. Tykanie. Tykanie zegara...

Annie zapatrzyła się na wskazówkę sekundową, która robiła to, co powinna robić wskazówka sekundowa, i co więcej, robiła to we właściwym tempie. Była pewna, była pewna na sto procent, że nie wymieniała baterii w tym zegarze. Nieważne, ile wypięła ani ile minut

czy godzin upłynęło od tego momentu, była absolutnie pewna, że ten zegar nie powinien chodzić. I choć nie ośmieliła się spojrzeć na zegarek, który nosiła na ręce, była też pewna, że nie powinien wskazywać właściwej godziny. A jednak.

To musiało dać się jakoś wyjaśnić, prawda? Bądź co bądź, po jednym czy sześciu drinkach nie mogła pamiętać wszystkiego, co robiła. Na ogół zwyczajnie nie chciała pamiętać, ale w tym konkretnym przypadku była gotowa zrobić wyjątek. Wpatrywała się więc w zegar, obgryzając paznokiec, i wytężała ten swój zawiany rozumek, i wreszcie doszła do wniosku, że ostatnio żyje w dużym stresie. To dlatego tak często zagląda do kieliszka, prawda? To przez stres? Nie chodziło o jakąś wewnętrzną potrzebę, uzależnienie czy nawyk. Za tym wszystkim stał stres. A stres robi różne rzeczy z człowiekiem, z jego umysłem, percepcją i pamięcią. Takie wyjaśnienie, nawet jak dla Annie, było bardziej sensowne niż to, że ktoś... że ktokolwiek... że tamten mężczyzna zakradł się do jej domu i wymienił baterie w zegarze. Prawda?

– Kretynka – powiedziała na głos, do siebie, bo mimo iż próbowała wmówić sobie coś innego, wiedziała, że w domu nikogo nie ma i nie było. I choć czuła, że coś jest nie tak, to z pewnością nie było to.

Dźwięk własnego głosu, który odbił się echem w pokoju, uspokoił Annie. Natychmiast opuściła rękę, oderwała wzrok od wskazówki zegara i pomyślała, że chętnie napiłaby się herbaty. Udała się więc do małej, wąskiej kuchni, do której wchodziło się prosto z salonu, i nalawszy wody, włączyła czajnik. Wtem jej uwagę przykuł kubek stojący do góry dnem na ociekaczu, ten z wyszczerbionym brzegiem, o który rozcięła sobie skórę na palcu, gdy ostatnio go myła. Ten sam, z którego zwykle piła jej matka, gdy przyjeżdżała z wizytą i zostawała na weekend. Ten, którego Annie nie potrafiła wyrzucić. Ten, którego przenigdy nie używała, a teraz stał do góry dnem na ociekaczu, skąd kilkanaście małych plamek po wodzie wyznaczyło schnącą ścieżkę do zlewu.

Annie wstrzymała oddech, czekając, aż jej serce znów zacznie bić.

A gdy wreszcie się doczekała, osunęła się na podłogę przy ścianie, wcisnęła głęboko w kąt, przyciągnęła kolana do piersi i nasłuchując bulgotania czajnika, zalała się łzami.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Michelin Agilis – powiedział Kevin.

– Kto?

– A-dzi-lis. A-dżaj-lis.

– Co?

– To rodzaj opony. Dwieściepiętnastka, standardowa w fordzie transicie – wyjaśnił.

Właśnie na taką odpowiedź liczyłam i jednocześnie się jej obawiałam. Tak więc dopiłam już piątą tego popołudnia kawę, potarłam skronie w daremnej próbie uśmierzenia bólu, zostawiłam na biurku otwarte akta sprawy i po cichu udałam się z Kevinem na parking policyjny.

W garażu, w którym trzymano skonfiskowane auta, było chłodno. Świetlówki – niczym sztylety – kłuły mnie w oczy ostrym światłem, dlatego włożyłam okulary przeciwsłoneczne, cierpliwie znosząc ironiczne aluzje do „Kryminalnych zagadek Miami” w wykonaniu Kevina oraz bladego, lecz przystojnego faceta o szorstkim typie urody, który nas wpuścił i wpisał do rejestru. Na imię miał Paul, ale mogę się mylić.

Paul skierował nas do zatoczki mniej więcej pośrodku hangaru, więc wymknęłam się spod ognia przytyków i ruszyłam stanowczym krokiem we wskazanym kierunku, zostawiając Kevina w połowie żartu o moim udziale w castingu do kolejnej części „Kac Vegas”. To, że przyjął, iż o piątej po południu wciąż mam kaca, mogło tłumaczyć, dlaczego jeszcze nie awansował.

Na moje oko panujący w garażu chaos rządził się mimo wszystko pewną logiką. Pojazdy, które dotarły tu o własnych siłach – te nieubezpieczone i nieuczciwie zdobyte – stały w szeregu na drugim brzegu morza sfatygowanych wraków, zmiażdżonych, spalonych

i rozprutych siłą. W swoim czasie jakiś obojętny, znużony operator wózka widłowego upchnie między nie mondeo Faireya – ot, kolejny nagrobek, nic niezwykłego. Chwilowo jednak tylko jedna rzecz tutaj nie dawała mi spokoju.

Obyło się bez dramatycznej odsłony; transit jako największy pojazd w magazynie górował nad zdewastowanymi sąsiadami, więc nie musiałam się wysilać, żeby go dostrzec. Stał zaparkowany tyłem do mnie; wysokie białe podwójne drzwi były otwarte na oścież, jakby czekały na gości. Już raz przyjął ich zaproszenie i z zupełną obojętnością patrzyłam wtedy na pasy mocujące, widoczne pod dachem haki, umytą węzłem matę podłogową oraz białe, winylowe obicia ścian. Pamiętam, że furgonetka nie wzbudziła moich podejrzeń; wyglądała jak każda inna, z tym wyjątkiem, że była lśniaco czysta. Teraz jednak tak bardzo raziła stereotypowością, że zaczęłam się zastanawiać, czy po prostu podświadomie nie uznałam wówczas, że byłoby to w zbyt jaskrawy sposób oczywiste.

A może chodziło o kontekst. Tu, w tym miejscu i w tym świetle, wiedząc to, co wiem, z każdym krokiem, który przybliżał mnie do celu, coraz bardziej się trzęsłam.

Transit nie lśnił już czystością. Aż do klamek był oblepiony zaschniętym błotem, które częściowo popękało i odpadło, tworząc na posadzce brązowy, pylisty okrąg. Brakowało lusterek i powietrza w przednich oponach, zaś każdy bok był poznaczony bryzgami ziemi, zmłóconymi chwastami i głębokimi rysami w metalu, w które powbijały się drzazgi i kawałki kory. Przód natomiast nie przypominał już przodu furgonetki, tylko raczej odwzorowanie pnia.

Pojazd uderzył w drzewo lewą stroną, przedni zderzak był wgnieciony na kształt pofalowanego półokręgu aż do podstawy strzaskanej szyby, drzwi po tej stronie były pogiete i zwisały luźno na zawiasach, a zwichrowane koło tkwiło wciśnięte w nadkole. Maski sterczą zgięta w pół, biała farba popękała i oblażała, odsłaniając błyszczące ostre krawędzie niczym ostrza noży. Przyglądałam się im przez chwilę, próbując coś poczuć, cokolwiek, ale widok ten nie

wzbudził we mnie żadnych emocji. Metal to metal.

Co innego wewnątrz wozu. Drzwi od strony kierowcy nadal działały. Gdy je otworzyłam, przesunęły się z oporem, dopóki nie zahaczyły o odstający przedni błotnik. I wtedy ujrzałam ciąg dalszy destrukcji: deska rozdzielcza po stronie pasażera wbiła się w fotel i przygwoździła go na amen do przegrody.

Moją uwagę przykuło jednak drugie, kompletnie nieuszkodzone siedzenie, to, z którego Erica zdołała zbiec i porzuciwszy w lesie wrak furgonetki, jakimś cudem niepostrzeżenie wymknęła się strzelcom i psom policyjnym, nie mówiąc o śmigłowcu. To samo siedzenie, na którym tamten mężczyzna spędził zapewne długie godziny, śledząc, obserwując i czekając, aż nadarzy się sposobność, by tak samo niepostrzeżenie porwać Kerry, Samanthę i Bóg wie, kogo jeszcze.

Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że czuję jego zapach przebijający spod oleju i błota, ale wiedziałam, że to tylko złudzenie. Jak dla mnie on nie miał zapachu. Pamiętałam tylko zapach jego domu – tę drażniącą moje nozdrza mieszaninę woni smażonego mięsa, cytrusowego wybielacza i krwi.

– Miała szczęście.

Omiał nie wyskoczyłam ze skóry na słowa Kevina. Nie słyszałam, jak się skrada; właściwie to zapomniałam, że tu jest.

– Kurwa, przestań mnie tak straszyć – warknęłam.

– Wybacz. Nie chciałem – powiedział, ale wiedziałam, że to nieprawda.

Pozwoliłam, żeby naruszył moją prywatną przestrzeń i zajrzał do auta. Nie dbałam o to, że jego łokieć wbija mi się w żebra; byłam zbyt pochłonięta widokiem siedzenia przesiąkniętego potem tamtego mężczyzny. Mój umysł, niczym lampa ultrafioletowa w reklamie środka bakteriobójczego, rozświetlał tłuste odciski jego palców, pozostawione na kierownicy i drążku zmiany biegów, na przyciskach i przełącznikach, na osłonie przeciwsłonecznej i klamce, na hamulcu ręcznym i...

– Chodziło mi tylko o to, że mogła nie wyjść z tego cało – wyjaśnił.

Ocknęłam się gwałtownie z zadumy i otrząsnęłam z dreszczu, który przebiegł mi nagle po plecach.

– Nie wiemy, czy nie jest ciężko ranna – oznajmiłam i pogrążyłam się w wymownym milczeniu.

– Wiedzielibyśmy, prawda? Gdyby zgłosiła się do szpitala?

Zareagowałam na jego optymizm wzruszeniem ramion. To była czysta loteria. Wiedział równie dobrze jak ja, że szukanie jej pod prawdziwym nazwiskiem byłoby stratą czasu.

Oczywiście nie siedziałam Kevinowi w głowie, więc nie mogłam wiedzieć, co myśli, ale jego słowa sprawiły, że w mojej głowie pojawiła się wizja, a może wspomnienie – nie byłam pewna. Erica ścisnęła w dłoni broń, i nie była to bynajmniej atrapa, wiatrówka czy straszak, tylko prawdziwa broń palna. Widziałam, jak z niej strzela i jak z ręki tamtego mężczyzny tryska krew. Widziałam, jak się odwraca z wycelowaną we mnie lufą, której ziejący czernią tunel odbierał wszelką nadzieję. Widziałam, jak się nade mną pochyła, gdy leżąc na ziemi, trzymałam ją za gardło, a jej ogarnięte desperacją szpony szarpały mój policzek. Widziałam, jak tamten mężczyzna ją odciąga, a Erica znów kieruje broń w moją stronę, lecz tym razem nie celuje w moją twarz, tylko gdzieś obok. Jej oczy zdradzały przerażenie, ból i świadomość, że jest zbyt młoda, zbyt naiwna, zbyt ludzka, żeby mogła to wszystko znieść. Otworzyła usta i zaczęła coś mówić, ale nie mogłam jej zrozumieć. Docierała do mnie tylko plątanina słów – było ich za dużo na przeprosiny, za mało na wyjaśnienia. Nie mogłam sobie przypomnieć, co powiedziała, a każdy wysiłek, jaki w tym kierunku podejmowałam, sprawiał mi ból.

A potem widziałam, jak wsiada do furgonetki, przekręca kluczyk w stacyjce i odjeżdża, przecinając pole i znikając wśród drzew, chociaż mogłam to sobie zmyślić, tak jak teraz, kiedy wyobraziłam sobie, jak wydostaje się z tego dymiącego, pokiereszowanego wraku, jak odruchowo się kuli, jak uginają się pod nią kolana. Widziałam, jak chwyta się rozczapierzonymi palcami furgonetki, próbując dźwignąć się z ziemi, a lejąca się krew niczym woal zasnuwa jej czoło i oczy.

Słyszałam, jak krzyczy, widziałam, jak ociera twarz rękawem. Jak zgina się w pół, zatacza i wymiotuje pod własne nogi. A potem usłyszałam odgłos silników, ujadanie psa, narastający terkot i szum wirników, i zobaczyłam, jak biegnie niepewnie i chwiejnie, modląc się w duchu, żeby nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Widziałam, jak daje nura do rzeki, wciągając ze szlochem hausty powietrza, jak młóci wodę rękami i w końcu wypelza na brzeg, grzęznąc po uda w błocie. Czułam w nosie woń adrenaliny przepływającej przez jej żyły, słyszałam ponaglące odgłosy pościgu wypełniające jej uszy i krzyknęłam: „Erica, biegnij ile sił w nogach, po prostu biegnij, kochanie, i nie oglądaj się za siebie!”.

– Ali? Dobrze się czujesz?

Uświadomiłam sobie, że trzęsie mi się noga, oczy zaś pieką przeokrutnie, a potem dostrzegłam zmartwioną minę Kevina i już nie było odwrotu. Grube jak groch łzy spłynęły mi po policzkach, zanim zdążyłam je powstrzymać. Udawałam jednak, że nic się nie dzieje.

– Tak – odparłam. – A co? Czemu pytasz?

Widziałam, że nie wie, co powiedzieć. Wykręcał ręce przy bokach, na przemian otwierał i zamykał usta; przez chwilę wyglądał, jakby znów chciał mnie przytulić. Jeśli mam być szczerą – i odrobinę wredna – z przyjemnością patrzyłam, jak się miota. Gdyby jednak faktycznie chciał mnie przytulić, pewnie bym mu pozwoliła.

Ale nie chciał. Też dobrze. Wykrzywiłam więc twarz w grymasie konsternacji i spytałam:

– A ty dobrze się czujesz?

– Ja...

No dalej, McManus, dasz radę.

– Taa. – Wzruszył ramionami. – Tylko... – Obejrzał się ostentacyjnie przez ramię. – Wiesz, trochę się wydarłaś. – Ruchem głowy wskazał drzwi do dyżurki i stojącego za nimi Paula.

Serce mi zamarło, ale robiłam, co mogłam, by nie okazać przerażenia. Ile z tego wszystkiego powiedziałam na głos? I dlaczego nie potrafię sobie na to odpowiedzieć?

Owszem, dziury w mojej pamięci były frustrujące, ale dopiero w tym momencie zdjął mnie autentyczny strach. Teraz to mnie zabrakło słów, ale niech mnie diabli, jeśli miałam się zdradzić albo stać jak ten kołek w płocie. Tak więc pomimo przerażenia i konsternacji, jakie nagle mnie ogarnęły, pokręciłam głową i bezczelnie zaprzeczyłam:

– Ja nic nie słyszałam.

– Krzyczałaś, że...

– Nic nie słyszałam – powtórzyłam, przykuwając go spojrzeniem nieruchomych oczu, przez co nie dość, że brzmiałam jak obłąkana, to pewnie jeszcze tak wyglądałam. – Wydawało ci się.

Przez chwilę stał w milczącym osłupieniu, ale jak można się było spodziewać, wreszcie to do niego dotarło. Zmarszczył czoło i pokiwał spuszczoną głową, połykując wieńczącą ją łysiną, po czym rzekł:

– No dobrze. – Spojrzał na mnie i znów pokiwał głową, zapewne do siebie, potem obrócił się zwinnie na pięcie i dodał: – Jeśli jesteś pewna, że nic ci nie jest, to powinniśmy się chyba zbierać.

Teraz, gdy stał do mnie tyłem, poczułam, jak wraca mi pewność siebie, wypierając drżenie rąk i dygotanie prawego kolana, więc powiedziałam dobitnie:

– Nic mi nie jest. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

– Jasne. Przyjąłem – odparł i ruszył do drzwi.

– Aha, Kevin?

Widziałam, że nie chce się zatrzymywać; jego noga zawisała w pół kroku, jakby się wahała, czy iść dalej, czy zostać, lecz wreszcie się cofnęła, przywracając Kevinowi utraconą na chwilę równowagę. Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, lecz teraz jego twarz znaczyły smutek i znużenie.

– Tak?

– Opony się zgadzają.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiedziałam, że uraziłam Kevina tym, jak go zbyłam. Powinnam z nim porozmawiać – to także wiedziałam. On też tam był, tamtego dnia; leżał zwinięty w kłębek i krwawił, kiedy walczyłam z Ericą i przegrałam, a potem popełniłam błąd, który niemal przypłaciłam życiem. Wiedziałam, że czuje się za to odpowiedzialny, wini się za swoją niemoc, za to, że nie był w stanie mnie „ochronić”. Myślał, że śpię, ale słyszałam, jak stojąc przy moim łóżku, zwierza się Lowry’emu, a ten mu mówi, że ma się, kurde, nie wygłupiać. Słyszałam, jak moja siostra go zapewnia, że nie wątpi, iż zrobił wszystko, co mógł. Słyszałam nawet, jak pociesza go Eva Diaz. Właściwie teraz, gdy o tym pomyślałam, to... nie jestem pewna, ale chyba nie odstępował mnie na krok.

Oczywiście, to nie była jego wina; to była nasza wina. Zwyczajnie nie mieliśmy pojęcia, w co się pakujemy. Po prostu uderzyliśmy, przekonani o tym, jacy jesteśmy sprytni, a potem w bardzo bolesny sposób zostaliśmy wyprowadzeni z błędu. Nie byliśmy ani sprytni, ani nieomylni, ani niezwyciężeni. Jedyne trafne określenie to...

– Tępe osły. – Kevin cisnął telefon na biurko, a potem rzucił się szczupakiem, desperacko próbując go złapać, zanim uderzy o podłogę, w efekcie czego wylał kawę i przewrócił kosz, ale uratował komórkę od zguby, dając popis zonglerki.

– Nie pomogli? – Zakręciłam się ponownie na obrotowym krześle, unosząc przy tym nogi i patrząc, jak cały pokój wiruje razem ze mną: biurko-Kevin-zegar-drzwi-biurka-lodówka-okno-Peter-drzwi-kubek-Kevin-zegar-coś-ktoś-okno-plakat-drzwi-Kevin-dinks do spinania papierów. Lubię się kręcić. Nie czułam się przez to ani lepiej, ani gorzej. Głowa pękała mi tak samo jak wcześniej.

– Czy komuś działa sieć? – Jenny Riley stała w progu swojego

gabinetu, jej twarz była ściągnięta ze zmęczenia, a włosy z jednej strony głowy sterczały splątane i nastroszone.

– Nie – rozbrzmiał chór męskich głosów.

– Ktoś dzwonił do informatyków?

– Robią aktualizację systemu. – Kevin pomachał jej przed oczami komórką, niejako powołując się na swoje źródło. – Podobno była zapowiadana.

– Do kurwy nędzy – westchnęła i zniknęła z powrotem w gabinecie. Po chwili jednak znów się wyłoniła z pytaniem: – Doszliście do czegoś w sprawie tych opon?

– No cóż, pasują do furgonetki – odparłam.

Przywołała naszą dwójkę do siebie i zajęła miejsce za wysypiskiem śmieci, w które przemieniło się jej biurko, zachęcając gestem, byśmy również usiedli.

– Ale?

– Ale to wszystko. Mieliśmy właśnie wytyczyć możliwe trasy wiodące z domu tamtego mężczyzny do miejsca zbrodni i sprawdzić, czy nie zarejestrowały jej jakieś kamery ANPR.

Jeśli nie wiecie, to chodzi o system automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych. Takie urządzenia rozpoznają numery rejestracyjne przejeżdżających pojazdów i jeśli kogoś szukamy – z różnych powodów – lokalizują go w czasie rzeczywistym. Mamy je w naszych wozach patrolowych, ale są też rozmieszczone w różnych strategicznych punktach na terenie całego hrabstwa. Spijcie mnie, a zdradzę wam kilka miejsc, których lepiej unikać.

Żartuję, nigdy bym tego nie zrobiła.

– Nie zaszkodzi spróbować – stwierdziła po krótkim namyśle Jenny.

– Choć z drugiej strony, gdy tylko zaginął John, przeszukaliśmy bazy z całego hrabstwa i na nic nie trafiliśmy. Czy któreś z was potrafi obsługiwać ViPER?

Nie pamiętam, co oznacza ten skrót, ale mówiła o programie, którego używamy do przeglądania bazy ANPR.

Pokręciłam przecząco głową.

– Ali – oświadczył uczynnie Kevin.

– Naprawdę nie mam o tym pojęcia – zapewniłam go. – To znaczy owszem, przesłam jednodniowe szkolenie, ale to było, bo ja wiem, jakieś pięć lat te...

– W porządku – powiedziała Jenny, ucinając moje tłumaczenia. – Ktoś się tym zajmie rano. Ale na razie możemy śmiało założyć, że to ta sama furgonetka, więc zbytnio się na niej nie skupiajcie. Co jeszcze macie?

– Cóż... – Zawiesiłam głos, schylając się po plik kartek, które Kevin stracił z biurka, gdy zakładał nogę na nogę. – Myślę, że to samo dotyczy stacji paliw. To znaczy można śmiało założyć, że do podpalenia użyto dużej ilości benzyny albo ropy, niestety w żadnym raporcie nie ma wzmianki o tym, by na terenie posiadłości należącej do tamtego mężczyzny zabezpieczono jakiegokolwiek zbiorniki z paliwem, nie zauważyliśmy też niczego takiego podczas naszych wizyt, więc to zrozumiałe, że musiał je gdzieś kupić. Prawdopodobnie już po tym, jak ich zabił, bo cokolwiek się wydarzyło i cokolwiek robili na tamtym lotnisku, nie wydaje się, żeby było to wcześniej zaplanowane.

– Chyba że trzymał paliwo gdzie indziej – zauważyła. – Pamiętajcie, że nie wiemy nic o innych posiadłościach i nie mamy innych ciał. Może je też spalił?

Rozważałam to przez chwilę, tak jak i dziesięć minut temu, gdy naszła mnie ta sama myśl.

– Nie wiem – stwierdziłam zgodnie z prawdą. – Nie sądzę, żeby tak było. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego... ot, zwykłe przeczucie... I wiem, co chcesz powiedzieć, ale myślę, że chodziło o coś innego. Musiał się pozbyć dwóch gliniarzy i wozu policyjnego, i...

Jakieś odległe wspomnienie próbowało się przedrzeć do mojej świadomości. Nóż? Zabójczy i lśniący, niczym ostre krawędzie zmasakrowanego wraku furgonetki. I jeszcze ten specyficzny zapach, stale obecny w jego domu – zapach smażonego mięsa.

– Okej – powiedziała Jenny, i wtedy uświadomiłam sobie, że

urwałam w pół zdania. Kevin tymczasem patrzył na mnie z ukosa, próbując ukryć posępną minę. – No więc co sugerujesz?

– Wybacz. Pomyślałam po prostu, że jeśli dotrzemy do kamery przemysłowej, która zarejestrowała, jak kupuje duże ilości benzyny i napełnia nią kanistry, to po pierwsze, będziemy mieć dowód, a po drugie, będziemy mieć jego zdjęcie z monitoringu, co w porównaniu z tym, czym teraz dysponujemy, z pewnością będzie bardziej pomocne w znalezieniu win...

– Trzeba będzie przejrzeć setki godzin materiału – wtrącił Kevin – zakładając, że takie nagranie w ogóle istnieje.

Ta uwaga trochę mnie zaskoczyła i sprawiła, że Jenny uniosła brew. Pamiętałam ten subtelny gest sprzed lat. Co zabawne, reagowała w ten sposób tylko na mężczyzn.

– Owszem – zgodziłam się, lecz zaraz dodałam: – choć niekoniecznie. Wiemy, kiedy John i Julian na pewno jeszcze żyli. Wiemy też, że szukamy dużej białej furgonetki, którą widać z odległości kilometra. W grę wchodzi stosunkowo niewielka liczba stacji, na których mógł tankować, począwszy od tej zlokalizowanej najbliżej miejsca, w którym spłonęło auto. Nie fatygowałyby się zbyt daleko po benzynę, zwłaszcza jeśli tego nie planował. Jeśli zarejestrował go ANPR, będziemy znali dokładną trasę i czas zdarzenia, a to pozwoli nam zawęzić przedział mniej więcej do jednej godziny.

Kevin pociągnął nosem i wzruszył nieznacznie ramionami. Postanowiłam to zignorować.

Jenny pokiwała głową i powiedziała:

– W porządku. Przygotuj jutro listę stacji. Jeśli wyszukiwanie w bazie nic nie da, po prostu wyznacz najkrótszą trasę z jego domu do lotniska, a ja zlecę komuś resztę. Ściągnęłam do pomocy dodatkowych ludzi. Przejrzą jeszcze raz zeznania świadków, ponownie ich przesłuchają, w ogóle co tylko będzie trzeba. Odwalą czarną robotę. Pomogą odrobić część zaległości. Znajdę kogoś, kto przekopie się przez wszystkie wskazówki. Jeśli chodzi o Johna i Juliana, to chyba wszyscy

się zgodzimy, że to, co się stało, i kto za tym stoi, jest dość oczywiste, dlatego nie chcę, żebyście paprali się z czymś, czym może się zająć ktoś inny. Zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu, więc nie ma sensu, żebyście teraz siedzieli beczynnienie, gapiąc się w ekran. Musimy zidentyfikować szczątki i jeśli znajdziemy coś na monitoringu, to świetnie; będzie to kolejny szczegół w sprawie Reeda. Tymczasem jednak muszę was prosić, abyście skupili się na głównych tropach w śledztwie, począwszy od przyjaciółki Eriki, córki Abbottów.

Zerknęłam na Kevina, licząc, że pośle mi porozumiewawcze spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Czy jej zdaniem zabójstwo dwóch policjantów to szczegół?”. Ale nie zrobił tego; pokiwał tylko z wolną głową i dalej milczał, a mnie zrobiło się głupio, bo wzięłam ją za bezduszną sukę.

Zastanawiałam się, jak zareagować, gdy nagle rzuciła:

– Posłuchaj, Ali, wiem, co myślisz. To trudne. Ty i John nie zawsze się ze sobą dogadywaliście. Ja też za nim nie przepadałam i pod wieloma względami czuję się winna, bo nigdy nie kryłam, co o nim sądzę. Co prawda jego śmierć nie zmienia faktu, że był palantem, ale był też gliniarzem, na dobrą sprawę wcale nie takim złym, tylko bucowatym, przede wszystkim jednak był naszym kolegą, a także mężem i ojcem, i nikt z nas nie chciał, żeby to go spotkało. Nie zasłużył na taki koniec, choć był kurewsko irytujący, niemniej jednak nie rozwiążemy tej sprawy, dopóki się nie dowiemy, kim jest Reed, a żeby to zrobić, musimy się najpierw uporać z całym tym szajsem. – Wykonała zamaszysty gest ręką w stronę walającej się przed nią sterty papierów i zrzędała jej mina, jakby dopiero teraz ujrzała ogrom tego bajzlu. – No więc... – Westchnęła. – Właśnie tym się zajmiemy. Dobrze?

Żałowałam, że nie mogę podzielać jej optymizmu, nawet jeśli był wymuszony. Ale i tak przytaknęłam.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w biurko w milczeniu, aż w końcu Jenny przeczesła włosy dłonią i oznajmiła:

– Chrzanić to! Chodźmy do domu.

Kevin nadal milczał, gdy zbieraliśmy nasze rzeczy, wrzucając je bezładnie do toreb, i gdy dyskretnie notowałam długopisem: „stacje paliw” na wewnętrznej stronie nadgarstka, poniżej ku pamięci wcześniej tam zapisanej i rozmazanej już oraz wyblakłej informacji: „Jen p.o. inspek ra”.

Począł, aż wyjdziemy na zewnątrz, po czym odwrócił się do mnie zniechęcony ze słowami:

– Ali, mogę cię o coś...

Wpadłam na niego centralnie. Torba zsunęła mi się z ramienia i upadła na ziemię, a cała jej zawartość rozsypała się po parkingu.

– Kurwa, wybacz – rzucił zakłopotany i pochyliwszy się, zaczął zgarniać mój dobytek z powrotem do środka.

– O co chodzi, Kevin?

Wyprostował się, a potem znów troszkę pochylił, próbując zrównać się ze mną wzrokiem. Wyglądał przez to co najmniej tak samo głupio, jak pewnie się czuł.

– Mogę cię o coś zapytać?

Skinęłam głową.

– Pytanie nic nie kosztuje.

Znów bawił się palcami, przeskakując nerwowo wzrokiem między moimi oczami a jakimś nieokreślonym punktem na moim czole.

– Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała – zaczął. – Ale czy ty na pewno dobrze się czujesz?

Twarz mi płonęła, żołądek zaś zwinął się w supeł, ale poza tym i całą resztą czułam się całkiem dobrze, i to samo mu powiedziałam.

– Tylko że... – Urwał, zapewne licząc na to, że go uciszę, zanim powie coś, czego później pożałuje, ale ja cierpliwie czekałam, aż odzyska głos. A gdy już go odzyskał, rzucił szorstko: – Ali, ciągle odpływasz myślami. Poza tym wcześniej dałaś mi puszkę coli, a pół godziny później powiedziałaś, że przyniosłaś mi napój, ale nie możesz go znaleźć. Martwię się o ciebie. Nie jestem pewien, czy powinnaś być...

– Lekarz dał mi zielone światło – oświadczyłam, siląc się na ton świadczący o mojej niechęci do tej rozmowy. – Mogę wracać do pracy.

– Och, daj spokój – jęknął. – Oboje wiemy, że to bujda. Powiedz mi, tylko szczerze, jak często chodziłaś do lekarza i mówiłaś mu akurat to, co chciał usłyszeć? Któregoś razu przyszłaś do pracy ze złamaną ręką. Nie mogłaś nawet podnieść kubka, pamiętasz?

Pamiętałam. Wspięłam się wtedy na obrotowe krzesło, próbując odzyskać papierowy samolocik zaklinowany między panelami sufitowymi. Rentgen wykazał złamanie dwóch kości śródrečza, ale powiedziałam Timowi Hopgoodowi, że to tylko stłuczenie, i pozwolił mi wrócić nazajutrz do pracy. No tak, to było trochę głupie. Bolało jak cholera. Teraz jednak musiałam dokonać wyboru. Mogłam dać za wygraną, przyznać się do tego, co Kevin i tak zdążył już zauważyć. Mogłam się roześmiać i nakłamać, że po prostu jeszcze się w tym wszystkim nie odnalazłam, od rana boli mnie głowa, coś tam, coś tam, no i mam kaca, ha, ha, ha. Albo mogłam przenieść ciężar ciała na zdrową nogę, stanąć z uniesioną głową i się odgryźć. Przypuścić kontratak: „Jak tam twoja głowa, Kevin? Co z tym wgnieceniem w czaszce? Pleciesz trzy po trzy, Kevin. Pamięć znów płata ci figle? Dlaczego nazywasz mnie Helen? Jesteś jakiś blady. Może usiądziesz?”.

Uwierzcie, jeśli chcę, potrafię być jędzą. Po namyśle odparłam jednak:

– Jestem zmęczona – odnosząc się raczej do jego zmartwionej miny niż agresji w głosie. – Oboje jesteście zmęczeni. To był długi dzień.

Wytrzymałam jeszcze przez chwilę pod ciężarem jego spojrzenia, zanim westchnął i odwrócił się, kiwając głową w stronę zachodzącego słońca.

– Jak chcesz – mruknął. – Lepiej wypocznij. – Obdarzył mnie zdawkowym uśmiechem i ruszył do samochodu.

Patrzyłam, jak wytacza się z parkingu i odjeżdża, więcej się na mnie nie oglądając. Poczekalam, aż wyjedzie za bramę, po czym wypuściłam z drzeniem powietrze i potrząsnęłam głową, próbując ochłonać i przypomnieć sobie, co zrobiłam z kluczami do wozu.

Dojeżdżając do domu, zwróciłam uwagę na samochód. Zwykle czarne audi, jak milion innych. Kiedy wjechałam na podjazd, zwolniło do żółtego tempa i zatrzymało się przy krawężniku prawie dwa domy dalej. Zamknęłam drzwi i zaczęłam się bawić kluczami. Staralam się dostrzec jak najwięcej szczegółów, nie gapiąc się zbyt ostentacyjnie na tajemnicze auto, ale poza numerem rejestracyjnym, który nabazgrałam pośpiesznie w wyjętym ukradkiem notesie, niewiele udało mi się ustalić. Dręczyło mnie to. Nie wiem, co to było – może audi wydało mi się znajome, a może po prostu odezwał się instynkt gliniarza – ale coś nie dawało mi spokoju.

Zdjęłam z kółka na klucze mały gumowy brelok w kształcie samochodu, który przypominał mi o tym, że wychodząc, zamknęłam dom, i zawiesiłam go na gwoździu przy drzwiach, po czym wślizgnęłam się do środka, ledwie zerkając przez ramię.

Zsunęłam buty ze stóp i cisnęłam torbę na podłogę w salonie. Podniosłam z wycieraczki przesyłki reklamowe i wyrzuciłam je prosto do kosza. Nalałam wody i włączyłam czajnik. Spojrzałam przez firanę, czy audi nadal tam stoi, i owszem, stało. Wyłowiłam czysty kubek ze zmywarki i nasypałam czubatą łyżeczkę kawy rozpuszczalnej. Potem wlałam z westchnieniem resztkę mleka i leniwie wymieszałam z kawą na pastę, czekając, aż woda się zagotuje. Niemal wyskoczyłam ze skóry, gdy nagle z holu dobiegło trzykrotne pukanie do drzwi.

Przez chwilę stałam nieruchomo jak skała, za to moje tętno i myśli pędziły jak sto koni. Woda się zagotowała, brązowe mleko skapywało z łyżeczki na podłogę. Wreszcie oprzytomniałam; uznałam, że po prostu prześladowuje mnie widmo dzisiejszych wydarzeń i niepotrzebnie panikuję. Pewnie zamówiłam coś przez internet albo...

Ponownie trzy stuknięcia, tym razem szybsze i cichsze – jakby mniej pewne.

Zignorowałam ostatni dzwonek alarmowy, który wciąż jeszcze brzęczał mi w głowie, i odłożywszy łyżeczkę do kubka, poszłam otworzyć.

– Nie mów, że tylko żartowałam – rzuciła z wyrzutem Edith, krzywiąc się na widok mojej zdziwionej miny i butelki prosecco, którą trzymała w ręce. – Boże, ale mi głupio.

Mogłam się tylko domyślać, o co jej chodzi, ale bez względu na to, czy żartowałam, czy mówiłam poważnie, ucieszyła mnie jej wizyta, bo nagle poczułam, że koniecznie muszę się napić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Annie starała się nie panikować i wódka poniekąd jej w tym pomagała, jednak wcale nie pomagała w ustaleniu, co powinna zrobić.

Nie była idiotką; gdzieś w głębi wiedziała, że komputerowy portret przestępcy, który widziała w telewizji i który widniał na tych wszystkich plakatach, choć śmiesznie ogólny, przedstawiał mężczyznę, który przedstawił jej się jako James. Wiedziała, że to ten sam mężczyzna, którego poznała, leżąc na ścieżce przy rzece, podczas gdy zmarły już Mark Boon siłą próbował ściągnąć jej z bioder rozpięte spodnie. Wiedziała, że to ten sam mężczyzna, któremu była wystarczająco wdzięczna, by nie odmówić, kiedy zwrócił się do niej o pomoc. Ten sam mężczyzna, o którego detektyw Fairey tak dziwnie i delikatnie ją wypytywał, niczego przy tym nie notując. Ten sam, który się nią zaopiekował, gdy się pochorowała. Ten sam, obok którego leżała, daremnie modląc się o to, żeby jej dotknął. Ten sam, któremu ufała na tyle, by podarować mu klucze do swojego domu. Ten sam, przy którym po raz pierwszy w życiu poczuła, że nie jest tylko zwykłą Annie Przeciętą.

Gdy Fairey zapukał do jej drzwi, pytając o tego mężczyznę, powiedziała mu prawdę... no, mniej więcej. A jednak dowody znalezione w tamtym domu w głębi lasu opowiadały zupełnie inną historię, z którą nie potrafiła się pogodzić nawet teraz, gdy siedziała wpatrzona w zdjęcie spalonego samochodu, a w głowie rozbrzmiewały jej słowa prezentera:

– Szczątki nie zostały jeszcze formalnie zidentyfikowane, ale poinformowano już rodziny zaginionych funkcjonariuszy.

Annie wzdrygnęła się i ścisnęła szklanekę tak mocno, że myślała, iż pęknie jej w dłoni. Papieros w popielniczce sam się wypalił. Świat zawirował jej w głowie. John Fairey. Był całkiem w porządku.

Wyrozumiały. Taktowny. Nie oceniał jej, w każdym razie nie robił tego otwarcie. I najwyraźniej z jakiegoś powodu nie zdradził nikomu jej nazwiska.

Ale to wszystko zmieniało, prawda? Tyle razy wracała o zmroku do domu, oczekując, że z cienia wyłoni się zabójca, że uciszy ją brutalnie i z całą pewnością definitywnie, i nic. Aż do tego wieczoru, kiedy wszystko stanęło na głowie. Ten... ten kubek, który teraz gapił się na nią ze stolika do kawy w nieoświetlonym salonie, gdzie kiedyś tamten mężczyzna postawił inny kubek – ten z różowymi szlaczkami, pomyślała. Siedziała wtedy w tym fotelu i starała się nie rumienić, kiedy z nią beztrąsko flirtował z kanapy naprzeciwko; pamiętała jego twarz, widziała ją wyraźnie, jakby wciąż tkwiła w tym samym miejscu, tuż poniżej oprawionego w ramkę zdjęcia jej matki jako chudej dziewczynki sprzed epoki kolorowych klisz, marszczącej z dezaprobatą brwi tak samo, jak bez wątplenia robiłaby to teraz z za grobu.

Annie sądziła, że wie wystarczająco dużo, by mieć pewność, że wyczyścił ten kubek z wszelkich śladów mogących stanowić użyteczny dowód. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ten kubek tam stoi i jest realny, a to znaczyło, że on też jest realny, podobnie jak to nieustające uczucie mrowienia na karku. To dręczące wrażenie, że czai się gdzieś w pobliżu, że ją obserwuje. To nie był jedynie wytwór jej wyobraźni. tamten mężczyzna tu był.

Gdy z ekranu telewizora zniknął numer infolinii, a zdjęcia Johna Faireya, Juliana Keitha i ich spalonego do szczytu samochodu policyjnego zastąpił materiał ukazujący policjantów przeczesujących miejsce masowej strzelaniny gdzieś na środkowym zachodzie Ameryki, Annie wyciszyła odbiornik, wychyliła duszkiem wódkę i zapatrzyła się na szklanę, która zadygotała, zawirowała na stole i wreszcie znieruchomiała tam, gdzie ją niemal rzuciła. Sięgnęła ręką za poduszkę, na której siedziała, i wydobyła wciśnięty tam telefon; odsłuchiwała wiadomość nagrany na poczcie głosowej nakazującą, żeby

stawiała się rano o dziewiątej w komendzie. Słuchała jej już cztery razy, niestety za każdym razem treść i przesłanie brzmiały tak samo.

Już odbywała takie spotkania. Stawała przed szefem, pochylała z pokorą głowę i obiecywała, że będzie uczęszczać na inne spotkania, te z dwunastoma krokami i sponsorami, na których każdy przyznaje, że ma problem. Była nawet na kilku, choć zazwyczaj tylko mówiła, że była. Tym razem jednak wiedziała, że chodzi o zupełnie inny „mityng”, podczas którego będzie jedynie potakiwać głową w milczeniu, przyzna, że dawano jej wiele szans na poprawę, i umówi się na dogodny termin, aby opróżnić zawartość swojego biurka.

Annie wiedziała też, co ma robić. W tej kryzysowej sytuacji, kiedy stanęła przed perspektywą utraty pracy i środków na jedzenie czy spłatę kredytu, świadoma obecności zabójcy krążącego gdzieś w polu widzenia, który ją prześladował, grożąc i przypominając, że nigdy się nie uwolni od piętna współudziału, zostały jej tylko dwa wyjścia: mogła zwinąć się w kłębek i umrzeć albo wyjawić dochodzeniówce wszystko, co wie. A Annie była za młoda, by umrzeć.

Miała dwie paczki papierosów, dwa litry mleka, trzy czwarte butelki wódki i zablokowane klinem frontowe drzwi. Przez najbliższe dwanaście godzin nie zamierzała się nigdzie ruszać.

Ale jutro rano, jutro o dziesiątej, złoży wizytę pełniącej obowiązki głównego inspektora Jennifer Riley z wydziału zabójstw i wyzna jej całą prawdę. I niech się dzieje, co chce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie spałam, leżałam cicho i nieruchomo, wsłuchując się w tykanie zegara i obserwując drżące we śnie powieki Edith. W pokoju panował gorąc, jej gładka jak ciecz skóra połyskiwała w promieniach wschodzącego słońca przenikających przez żaluzje. Chciałam jej dotknąć, ale nie ośmieliłam się jej budzić.

Poruszyła się nieznacznie i przysunęła, przerzucając rękę przez moją talię i wsuwając swoje stopy między moje. Nadal jej nie dotknęłam.

Wreszcie otworzyła oczy i z uśmiechem powiedziała:

– Hej – zakładając mi włosy za ucho.

Pragnęłam odwzajemnić ten gest, ale nie mogłam.

Nawet gdy przysypiała z zadowoleniem, leniwie głaszcząc moje ciało, nawet kiedy przez biodro przebiegł mi dreszcz goniący opuszki jej palców, po prostu nie mogłam oderwać wzroku od jej twarzy, chłonąc każdy najmniejszy jej detal: samotny pieg z prawej strony podbródka, trzy zagojone dziurki w uchu nad fantazyjnym kolczykiem w kształcie kwiatka z różowych kryształków, przyprószone siwizną włosy przy samej głowie.

Gdybym przyglądała się jej wystarczająco długo, pomyślałam, gdyby choć jeden z tych szczegółów zapadł mi w pamięć – niechby to nawet był luźny włoszek zwisający z łuku jej brwi, mogący spaść lada chwila, łaskocząc ją w nos – to przynajmniej miałabym jedno nowe miłe wspomnienie.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Westchnęłam smutno za utraconą chwilą, gdy Edith uniosła powieki i ze śmiechem na ustach przewróciła ciemnobrązowymi oczami.

Dzwoniła Jenny i od razu przeszła do sedna.

– Znaleźliśmy Mała Lowry’ego – oświadczyła.

Ton jej głosu zdradził mojemu żołądkowi, że nie ma dobrych wieści, starałam się jednak nie tracić optymizmu tak długo, jak się dało.

– Super – zaszczebiotałam, łaskocząc Edith w stopę paluchem. – Co u niego? Wszystko dobrze? Jak urlop?

Zamilkła, tak jak się spodziewałam, a po chwili usłyszałam:

– Nie wyszedł mu na zdrowie.

Niby oczekiwałam czegoś złowieszczonego, ale nie do tego stopnia.

– Rozumiem – odparłam.

– Łódź rybacka natknęła się na jego ciało w niedzielę mniej więcej osiem kilometrów od Three Cliffs Bay. Prawdopodobnie dryfował tam już od chwili ostatniego kontaktu.

Nie wiedziałam, co to znaczy ani co o tym myśleć. W głębi duszy czułam, że nie chcę wiedzieć.

– Mamy pewność, że to on? – spytałam z nadzieją.

Edith zmrużyła oczy i patrzyła na mnie z głębokim niepokojem. Po chwili spytała bezgłośnie: „Wszystko gra?” i znowu zagryzła wargę, gdy nie doczekała się żadnej reakcji.

– Zidentyfikowaliśmy go na podstawie uzębienia – oznajmiła Jenny zdecydowanym, profesjonalnym tonem. Ciekawe, czy ja też tak brzmiałam. – Porównaliśmy również tatuaże, a raczej to, co z nich zostało. To na pewno on.

Dopiero wtedy ogarnął mnie smutek. Nie mogłam udawać, że Lowry był mi szczególnie bliski; owszem, był moim kolegą z pracy i może raz czy dwa razy spotkaliśmy się w pubie, ale współpracowaliśmy bliżej tylko przez dwa tygodnie. Nie znałam imion jego żony i dzieci, na dobrą sprawę nie wiedziałam nawet, czy w ogóle je miał. Może mieszkał z kotami albo z chłopakiem. Nie miałam bladego pojęcia, uświadomiłam to sobie właśnie teraz, leżąc w łóżku i patrząc jakby przez Edith na zdjęcie, które formowało się w mojej głowie – nabrzmiałe, zzieleniałe zwłoki, palce i twarz nadgryzione przez potwory czyhające w zimnych, burych płyciznach północnego Atlantyku. A jednak poczułam na twarzy to, co Edith na pewno

wyraźnie widziała, bo dotknęła czule mojego ramienia i uśmiechnęła się do mnie pocieszająco.

– Jak zginął? – wymamrotałam.

– Jeszcze nie wiemy. On, hm... – Zawiesiła głos. Wiedziałam, że chce być delikatna, ale jakoś nie mogłam się zdobyć, żeby jej powiedzieć, że nie musi. W końcu taka już była. Czuła i tkliwa. – Wiesz, śruby motorówek i inne takie.

– Chcesz powiedzieć, że jest poszatkowany? – spytałam. Edith zmarszczyła nos i zabrała rękę, lecz zaraz, zdjęta skruchą, ponownie mnie objęła. Ujęłam jej dłoń, ścisnęłam lekko palce i uśmiechnęłam się.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi – przyznała Jenny.

– Ja też – odparłam, choć w głębi duszy jednak dobrze wiedziałam.

Przepisałam wszystkie notatki z ręki na karteczki samoprzylepne, zanim weszłam pod prysznic i wraz z tuszem zmyłam z siebie zapach perfum Edith. Teraz siedziałam, wpatrując się tępo w tapetę na pulpicie laptopa. Był to widok na Rzym z dachu Ołtarza Ojczyzny, a w rogu my, ja i moja siostra, przytulone i chichoczące jak dziełatki.

Przez cały weekend tylko chodziłyśmy i chodziłyśmy, i chodziłyśmy; pokonałyśmy chyba z tysiąc schodów w górę i w dół, wspinając się na wzgórze Pincio, Palatyn i szczyt Koloseum. Tak jak po każdych udanych wakacjach, gdy wróciłyśmy do domu, potrzebowałyśmy urlopu.

Przejrzenie wszystkich zdjęć zajęło mi dwa tygodnie. Zmiana tapety w komputerze była ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam dzień przed tym, jak o mało nie zginęłam. Wtedy wydawało się to takie ważne.

Mniejsza z tym. Stacje paliw. Według Google'a najwyżej siedem, wzdłuż i w pobliżu najbardziej logicznej trasy wiodącej z domu tamtego mężczyzny do miejsca, w którym zabił Faireya i Keitha. Bo zakładałam, że to właśnie zrobił, tam, na skraju lotniska, gdzie... Gdzie co? Gdzie na nich czekał, bo wiedział, że się zjawią? Czy może gdzie sam się z nimi umówił?

Te dwie możliwości zdawały się mieć z pozoru bardzo odmienne konotacje. Jeśli przyjąć tę pierwszą, to pewnie zdobyli informacje, które wiązały go bezpośrednio z tamtym miejscem, i on o tym wiedział. Być może nawet sam im je podsunął.

Tylko jeśli to on im je podsunął, to raczej nie mogły dotyczyć jego osoby, prawda? W końcu nie był aresztowany i sam tam pojechał. I chyba nie był na tyle bezczelny, żeby podpalić dwóch policjantów w tym samym miejscu, w którym zakopał Sarah Abbott?

Jeśli zatem chodziło o coś innego – jeśli zaoferował, że im pokaże... że da im coś znacznie lepszego – to co to mogło być? Co mogło skłonić Johna Faireya do odbycia tego potajemnego spotkania? Co mogło być ważniejsze niż złapanie seryjnego zabójcy?

(Lowry. Martwy).

To po prostu nie miało sensu, a im dłużej nad tym dumałam, tym większy miałam mętlik w głowie, więc po prostu skopiowałam adresy stacji paliw i wydrukowałam ich listę. Po namyśle na górze strony dopisałam jeszcze zielonym długopisem: „Lotnisko – georadar?”, w razie gdyby ktoś uznał, że warto przeszukać ten teren pod kątem zakopanych zwłok. Zważywszy jednak na fakt, że na posesji tamtego mężczyzny niczego nie odkryto, nie spodziewałam się, żeby komukolwiek chciało się fatygować.

Edith przyniosła mi kubek kawy oraz croissanta z masłem i dżemem i postawiła je delikatnie na stole obok laptopa. Potem odgarnęła mi włosy na bok i pocałowała w kark. Nie podobało mi się, nie w tej chwili, chociaż wiedziałam, że po prostu chciała być miła.

– Poradzisz sobie beze mnie? – spytała szeptem.

Przytaknęłam. Obracałam w głowie słowa: „Tak. Dziękuję za troskę. I tak za chwilę idę. Miłego dnia w pracy. Odezwę się wkrótce”, ale jakoś nie potrafiłam ich z siebie wydusić. Nie chciałam być miła, nie chciałam poprawiać jej nastroju; czułam się pusta w środku, odrętwiała, a jednocześnie nie czułam nic. Chciałam po prostu zostać sama.

Ścisnęła mnie lekko za ramię i nagle poczułam niepokój, który

przykuł mnie do siedzenia, dopóki nie wyszła po cichu z domu. Siedziałam, nasłuchując, jak trzaska drzwiami samochodu, odpala silnik, dodaje gazu i odjeżdża z niskim pomrukiem. Następnie zamknęłam laptopa, odgryzłam kęs rogalika, łyknęłam kawy, puściłam bąka, którego wstrzymywałam od momentu, gdy Edith zeszła na dół, i trochę popłakałam.

Gdy przyjechałam na komendę, zastałam Jenny w gabinecie. Wpatrywała się tępo w monitor komputera z takim samym oszołomieniem, jakie zapewne malowało się także na mojej twarzy. Nie podniosła wzroku, gdy zapukałam, weszłam do środka i zamknąwszy za sobą drzwi, usiadłam na jednym z krzeseł przy biurku naprzeciwko niej. Nie odezwała się nawet słowem – po prostu siedziała z rękoma opartymi na kolanach; oddech miała spokojny, skronie zdradzały wolny, miarowy puls. Dopiero po minucie lub dwóch poruszyła się na siedzeniu, pociągnęła sucho nosem i obróciła ekran w moją stronę.

Dała mi chwilę, bym oceniła to, na co patrzę, po czym przekazała mi mysz i odchyliła się w fotelu, wplatając ręce we włosy.

To był... Cóż. To chyba był Mal Lowry, chociaż, jak ostrzegła mnie Jenny przez telefon, nigdy bym go nie poznała.

Na ekranie widniało zdjęcie wykonane z góry, obejmujące całą postać leżącą na plecach na stalowym stole sekcyjnym; jaskrawe światło lamp ukazywało wszystkie przerażające szczegóły odcinające się zielonkawą szarością na tle lśniących białych płytek podłogowych.

Twarz Lowry'ego, jak i reszta jego ciała, była groteskowo napuchnięta i dziwnie niekompletna. Brakowało nosa, oczu i warg; w ich miejscu widniały niegdyś zapewne sine, a teraz po prostu bezbarwne poszarpane dziury. Nie miał palców u rąk, a także u lewej stopy; nie wiem, jak było z prawą, bo noga kończyła się w kolanie. Między udami też nie było nic, była tam raczej wielka wyrwa okolona luźnymi płatami szerniałej skóry, sięgająca niemal do pasa, nie wiem, jak głęboko.

Oczywiście nie pierwszy raz widziałam coś takiego. Ludzie ciągle gdzieś się topią; niektórzy wypływają po kilku dniach, inni po kilku miesiącach. Część z nich, siłą rzeczy, nigdy nie wypływa, nie sposób jednak stwierdzić ilu. Ale przypadek Lowry'ego był inny. Te obrażenia były inne. Te obrażenia były brutalne.

Pierwsze cięcie rozplatało górną część ud, odsłaniając lewą kość, brzegi rany oskubane przez ryby i kraby. Kolejne biegło ukośnie przez klatkę piersiową; kiedy się przeklikałam przez serię zbliżeń, dostrzegłam ostre końce przeciętych żeber objedzonych z mięsa. Czwarte – równe i czyste – pozbawiło go czubka głowy, jakieś siedem centymetrów nad brwiami.

Przypomniałam sobie brwi Edith, jej siwe odrosty, i chcąc nie chcąc, poczułam ulgę, że wciąż mam je w głowie, nie mówiąc już o tym, że ona ma je na swojej. Pozwoliłam sobie nacieszyć się tą myślą tylko przez chwilę, zanim wróciłam do trzeciego cięcia.

To jedno różniło się od reszty. Pozostałe były śmiałe, szerokie, zamaszyste – zadane przez coś wielkiego, ciężkiego i poruszającego się z dużą prędkością. Śruba motorówki, może dwie, a nawet trzy. Jednak trzecie cięcie wyglądało inaczej. Było wąskie i precyzyjne, wykonane czymś mniejszym i ostrym jak skalpel.

Gdyby śruba ugodziła Lowry'ego w szyję, z pewnością odcięłoby mu głowę, lecz ta nadal była na swoim miejscu, choć przytwierdzona właściwie tylko do kręgosłupa. Na drugim z zestawu zdjęć była odchylona do tyłu, odsłaniając brzegi rany. Były gładkie i równe, wręcz kliniczne. Nie musiałam być patologiem, żeby wiedzieć, co to znaczy.

Przesunęłam mysz w stronę Jenny i odwróciłam monitor, tak by go widziała. Po długiej chwili wreszcie przerwała milczenie.

– Co widzisz? – spytała po prostu.

Dobrze wiedziałam, co widzę, i nie miałam wątpliwości, co to oznacza między innymi dla mojego bezpieczeństwa. Nie chciałam jednak zbyt długo o tym rozmyślać, żeby zachować obiektywizm, dlatego po prostu skupiłam się na tym, co miałyśmy przed sobą.

– To nie był wypadek na łodzi – stwierdziłam i poczułam kolejną falę ulgi, kiedy skinęła głową. – Ktoś podciął mu gardło.

Zmrużyła oczy w skupieniu i potakiwała jeszcze przez chwilę z paznokciem kciuka wetkniętym w rowek między zębami. A potem, gdy już uznała z zadowoleniem, że poukładała sobie wszystko w głowie, spojrzała mi prosto w oczy i uraczyła fachową ekspertyzą opartą na wieloletnim doświadczeniu:

– Kurwa jego w dupę pierdolona mać.

Przytaknęłam i poszłam zrobić nam po filiżance kawy.

– Dostaniesz ochronę – oświadczyła, gdy wróciłam. – Nie chcę, żeby to przytrafiło się jeszcze komuś, zwłaszcza tobie. Jeśli właśnie to robi, jeśli pozbywa się każdego, kto widział jego twarz, to nie chcę, żebyś się ruszała z za biurka. Ktoś będzie cię codziennie eskortował do domu i pilnował w nocy, dopóki nie złapiemy tego skurwiela.

– Nie stać cię na to – stwierdziłam ze śmiechem.

– Mam to gdzieś. Jeśli będzie trzeba, odwołam dodatkowych ludzi.

– I wtedy wszystko zajmie nam dziesięć razy dłużej. Słuchaj, Jen, wiem, że się martwisz, ale nie pozwolę, żeby ten facet zrobił ze mnie więźnia. Jeśli będziesz mnie trzymać pod kluczem przez kilka tygodni czy wręcz miesięcy, to po pierwsze, zwariuję, a po drugie, wyczerpię środki, zanim go znajdziesz, a wtedy będziesz musiała odwołać ochroniarzy, więc i tak stanę się łatwym celem, tylko że do tego czasu zdążę zbzikować i zapomnieć, co znaczy samodzielność. Mówię poważnie, nawet o tym nie myśl. Wolałabym stać na widoku przykuta do słupa, niż siedzieć przez cały dzień w tym dusznym pomieszczeniu i wdychać cudze aromaty spod pachy, jak choćby wciąż niedomytego posterunkowego Steve’a. – Wzdrygnęłam się. – Jestem pewna, że Kevin by się ze mną zgodził, chociaż jakoś nie wspomniałaś o tym, że on też potrzebuje ochrony.

Jenny westchnęła, zdradzając znużenie, i pokręciła głową ze smutnym półśmiechem.

– Ali... – zaczęła.

Jednak jej przerwałam:

– I szczerze mówiąc, uważam, że w pierwszej kolejności powinniśmy się skupić na znalezieniu świadka, o ile już jej nie dorwał. I ja, i Kevin wciąż jeszcze żyjemy, a Mal zginął na drugim końcu kraju, więc chyba mamy prawo założyć, że zabójca nie czai się nigdzie w okolicy?

– Nie wiem. Słuchaj, Ali, nie chcę zabrzmieć jak buc, ale ten cały świadek... – Ugryzła się w język i skrzywiła wcale nie przypadkiem, jak to stwierdziłam w duchu, więc tylko wyprostowałam się na krześle i pokiwałam głową, zmuszając Jenny, żeby kontynuowała. Westchnęła. – Ali, nikt nie wie, o czym mówisz. W aktach nie ma wzmianki o żadnym świadku. Ja nie...

– Ja też nie, ale na pewno sobie tego nie ubzdurałam, więc warto zaapelować, żeby ta kobieta się do nas zgłosiła, prawda? Poszukam w rejestrze osób zaginionych, może jest ktoś o tym nazwisku.

Jakkolwiek brzmiało... Zanotowałam je sobie, ale w tej chwili nie mogłam dotrzeć do tego wspomnienia. Nie miałam przy sobie notesu, więc zgarnęłam pióro z biurka Jenny, oderwałam czystą kartkę z jej notatnika i zapisałam: „Świadek zaginiony”. Po namyśle stwierdziłam jednak, że pewnie później źle to zinterpretuję, więc przepisałam na: „Świadek: rejestr zaginionych. Sprawdź to”. Powinno wystarczyć.

Jenny przyglądała mi się z uniesionymi brwiami, więc odłożyłam pióro, pokiwałam zdecydowanie głową i powiedziałam:

– Wybacz.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – skłamałam. – Co dalej?

Zmrużyła oczy, pewnie zdziwiona moją, cóż, muszę przyznać, trochę obojętną reakcją na to, co przed chwilą ujrzałyśmy. Chociaż... nie, to nie to. Po prostu się zamyśliła. Zapomniała, co chciała powiedzieć.

– Zapomniałam, co chciałam powiedzieć – przyznała. – O czym to wczoraj rozmawialiśmy?

– O stacjach paliw – odpowiedziałam, zaskakując samą siebie.

A potem przypomniałam sobie o liście. – Przygotowałam listę. Miałś kogoś ściągnąć, żeby przejrzał nagrania z kamer drogowych.

– Racja. Cholera. – Podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego i dźgnęła palcem jeden z przycisków. – Witam, tu Jenny – rzuciła. – Czy grupa zdarzeniowa skończyła już odprawę? – Otworzyła górną szufladę biurka i wyjęła z niej paczkę czekoladek Maltesers. Rozerwała opakowanie i włożyła dwie sztuki do buzi, a potem wyciągnęła paczkę w moją stronę. Nie miałam zbytnej ochoty, ale poczęstowałam się. – Okej. Na pewno macie tam jakiegoś analityka. Albo kogoś, kto zna się na obsłudze sytemu ViPER. Możecie go do mnie przysłać? – Zdaje się, że lubiła je ssać. Ja zwykle je gryzę, jak każdy normalny człowiek. – Dzięki, złotko.

Och, jak ja nie cierpię tego zwrotu.

Odłożyła słuchawkę, a ta odbiła się od widełek i upadła na blat.

– Weź więcej, ja za nimi nie przepadam.

– To dlaczego je kupiłaś?

– W automacie zabrakło crunchie.

– Rozumiem.

– Prażynek krewetkowych też nie było.

– Beznadzieja.

– Zaparzę nam kolejną kawę.

– Okej.

– Nie mam pojęcia, co robię.

– Widzę.

– Dzięki.

– Zapomniałam, jaki dziś dzień.

– Wtorek.

– Och.

Pociągnęła nosem.

– Potrafisz ubrać się sama w kombinezon?

– Tak, a co?

– Nic, tak tylko pytam.

– Dla...

Przerwało mi ciche pukanie do drzwi. Obie spojrzałyśmy w ich kierunku.

– Szybko się uwinął – stwierdziła Jenny, po czym dodała głośniejszym głosem: – Proszę. – Drzwi ani drgnęły. Nie dostrzegłam nikogo przez szybę. – Na miłość boską – westchnęła. – Wpuść go, dobrze?

Wstałam i podeszłam do drzwi. Nacisnęłam klamkę, drzwi ustąpiły i znalazłam się oko w oko z mężczyzną, którego tam nie było, a moje płuca wypełniły perfumy Poison podszyte słabą nutą alkoholu.

Po drugiej stronie stała kobieta przeciętnego wzrostu i przeciętnej budowy, o przeciętnej twarzy i przeciętnych myszowatych włosach. Uśmiechnęła się nerwowo i wydusiła:

– Cześć, jestem Annie Fisher. Ktoś wzywał analityka?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Erica Shaw siedziała za kierownicą transita tamtego mężczyzny i wyglądała na diabelnie zadowoloną – głowa odchyłona do tyłu, usta szeroko otwarte, jakby śpiewała. Zdjęcie, które zrobiono jakieś sto metrów od stacji BP na drodze ekspresowej A11, zdumiało nas wszystkich. Było też równie zdumiewająco jednoznaczne.

– To wszystko zmienia – skomentowała cicho Jenny.

Annie Fisher, która nie wypuściła zdjęcia z rąk od chwili, gdy je wydrukowała i przyniosła do gabinetu Jenny, a potem pacnęła nim o biurko, wpatrywała się w nie w milczeniu z obsesyjnym wręcz skupieniem, co wydało mi się trochę niepokojące, ale ponieważ znałam ją zaledwie od godziny, nie przypisałam temu większej wagi. Po prostu założyłam, że jest dumna z efektów swojej pracy.

– Dlaczego to wszystko zmienia? – spytał Kevin, zamykając kopniakiem drzwi. Podeszedł do biurka, odstawił zaczepione o palce kubki z herbatą i kawą i opróżnił kieszeń wypchaną batonikami, po które wysłałam go do automatu.

Jenny zmiażdżyła go spojrzeniem i mierząc palcem w fotografię, rzuciła:

– Spójrz.

Spojrzał. I wzruszył ramionami.

– Kevin. Poważnie? Naprawdę muszę ci to tłumaczyć jak pięciolatki? – spytałam.

Annie otrząsnęła się nagle z transu i przeskakując między nami wzrokiem, patrzyła, jak przierzucamy się spojrzeniami. Czekala, aż ktoś zacznie się śmiać, tak myślę, ale nikt się nie roześmiał.

– Hm... – Wzięła głęboki oddech. – Mnie też najwyraźniej coś umknęło. Wybacz.

Jenny obdarzyła ją uśmiechem, a Kevin opuścił z rezygnacją

ramiona, lecz tylko trochę.

– Nie spodziewałam się, że trafimy na dowód świadczący o tym, że Erica Shaw działała z Reedem – powiedziała po prostu.

Nie mogłam się z tym zgodzić. Owszem, widziałam Ericę w domu tamtego mężczyzny. I niby mieliśmy dowody na to, że przebywała również w mieszkaniu Marka Boona, ale nadal wątpiłam w to tak samo jak wówczas, gdy po raz pierwszy przeczytałam o tym w raporcie. Jak dla mnie najbardziej przekonującym dowodem było przerażenie, które dostrzegłam w oczach Eriki, gdy powiedziała mi, że nie wróci do klatki, a stało się to chwilę przed tym, jak próbowała wpakować mi kulkę w twarz... To, oczywiście, osłabiało siłę mojego argumentu, ale nie moje przekonanie. Otworzyłam usta, żeby ująć to wszystko w słowa, jednak Kevin mnie ubiegł.

– Ali, oboje widzieliśmy, jak kogoś zastrzeliła. Do Reeda też strzelała, na litość bos...

– Właśnie! – przerwałam mu, celując w niego agresywnie palcem. – Strzelała do niego. Wiesz, co mi to mówi? To, że cokolwiek zrobiła, została do tego zmuszona. Ona chciała uciec, Kevin. – Nie wrócę do klatki. – W klatce było pełno jej DNA. Nie kupuję tej historyjki o Bonnie i Clydzie. Po prostu jej nie kupuję.

– A co z Markiem Boonem? – wtrąciła Jenny. – Jej DNA było też w całym jego mieszkaniu.

– Nieprawda – zaprzeczyłam. – Znaleźliśmy je tylko w kilku oczywistych miejscach. I nigdzie indziej; ani na lodówce, ani na drzwiach, ani na muszli klozetowej... To wszystko bujda.

Jenny pokiwała głową.

– Rozumiem, o co ci chodzi, ale nie możemy zignorować oczywistego faktu, że nie siedziała w klatce przez cały ten czas. Widziałas ją na własne oczy, a teraz to. – Wyszarpnęła zdjęcie spod rozczapierzonych palców Annie i podsunęła mi je pod nos.

Annie stłumiła chęć, żeby rzucić się za nim przez biurko, i wyprostowała się gwałtownie, aż chrupnęło jej w kręgosłupie.

Nabrałam głęboko powietrza i z dużo większym spokojem, niż

mogłabym się po sobie spodziewać, oświadczyłam:

– To się nazywa kontrola represyjna.

Jenny i Kevin jednocześnie zmrużyli oczy, ale nic nie powiedzieli. Czułam, jak kłęb niepokoju wspina się powoli po moich plecach. Wiedziałam, że zaraz zacznę krzyczeć albo wybuchnę płaczem. Dlaczego tego nie widzieli? Dlaczego nie chcieli tego dostrzec?

Annie najwyraźniej wyczuła to napięcie. Pochyliła się i sięgnęła po stojący najbliżej kubek.

– Ten jest mój? – spytała.

Kevin rzucił jej przelotne spojrzenie i potwierdził ruchem głowy.

– Dzięki – powiedziała i łyknęła kawę.

Miałam ochotę przywalić Kevinowi, ale po prostu przysunęłam sobie kubek i odwinęłam z folii batonik KitKat. Odłamałam jeden wafelek, obgryzałam go z obu stron, zanurzyłam w gorącej kawie i pociągnęłam solidny łyk jak przez słomkę. Jenny patrzyła na mnie w osłupieniu.

– Spróbuj – zaproponowałam.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie jadam produktów Nestlé.

– Spróbuj z crunchie.

– Najlepsze są batony Lion – wtrącił Kevin, ale go zignorowałam.

– Ali, wspomniałaś o kontroli represyjnej... – zwróciła się do mnie z powagą Annie.

Spojrzałam na nią z równie poważną miną i przytaknęłam, ożywiona nagłą nadzieją, że ktoś jednak wie, do czego zmierzam.

– Cóż... – Zawiesiła głos.

– Śmiało – zachęciłam ją, aby kontynuowała, i włożyłam cały bardzo już rozpuszczony batonik do ust.

Pokiwała głową z uśmiechem i dokończyła myśl:

– Oczywiście nie znam się na tym, ale czy nie mogło być na odwrót?

Walczyłam z odruchem wymiotnym, próbując obrócić wafelek w buzi i przegryźć go na pół. Dlatego pozwoliłam, żeby to Jenny spytała, co ma na myśli.

– Chodzi mi o to, że może to on działał z Ericą, a nie ona z nim – wyjaśniła.

Jenny rozparła się na krześle i rzuciła Kevinowi pytające spojrzenie. Kevin następnie wymierzył je we mnie, akurat gdy przełykałam kawałek wafelka. Mogłam jedynie pokręcić głową.

– Powiedziałaś, że potrzebujesz tego zdjęcia, bo jedynym śladem w sprawie Faireya i Keitha jest obecność tej furgonetki na miejscu zdarzenia – oświadczyła z jeszcze większym zapalem Annie. – I z tego, co mówisz, więcej dowodów wskazuje na to, że Erica przez cały ten czas cieszyła się wolnością, niż na to, że była więziona. Więc co tak naprawdę macie na tego całego Reeda? Co konkretnie możecie mu udowodnić? Macie tylko jakieś ujęcie z kamery monitoringu przedstawiające jego furgonetkę w pobliżu miejsca, w którym zaginęła jedna z tych dziewczyn. – Pochyliła się w moją stronę i obróciła zdjęcie. – Ale nie wiecie, kto siedział wtedy za kierownicą, prawda?

No cóż, chociaż jej słowa przejęły mnie dreszczem, wiedziałam, co odpowiedzieć.

– To on mnie zaatakował – stwierdziłam stanowczo. – I to on poderznął gardło Elemu Diazowi, prawie odcinając mu głowę. Właśnie to na niego mamy.

Annie zastanawiała się nad tym przez chwilę, a ja próbowałam w jakiś telepatyczny sposób przeciągnąć ją na swoją stronę, choć w głębi duszy wiedziałam, że to się nie uda. Siedziałam obok niej, kiedy sprawdzała mapy i wprowadzała dane lokalizacyjne do systemu ViPER. Wcisnęła nieprawidłową sekwencję klawiszy i musiała zacząć od nowa. Skopiowała niewłaściwy zestaw współrzędnych i na ekranie wyświetlił się komunikat o błędzie. Szczerze mówiąc, powątpiewałam, czy jest w stanie znaleźć cokolwiek, nawet gdyby było czego szukać.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, że będę się tym dziś zajmować. Minęło trochę czasu od ostatniego razu.

– Wzięli cię z zaskoczenia? – Roześmiałam się, próbując ją trochę rozluźnić.

– No, tak jakby. Pomieszały mi się mejle. Myślałam, że mam się stawić w innej sprawie. Mój szef twierdzi, że zostawił mi kilka wiadomości, ale nie wiem gdzie. Na pewno nie na mojej poczcie głosowej. Więc tak, to było zaskoczenie. Nagła zmiana planów. – Wprawdzie nie wyraziła niezadowolenia tą sytuacją, ale było to widać jak na dłoni.

– Skąd ja to znam – powiedziałam. – Przyszłam któregoś dnia rano i pierwsze, co usłyszałam od mojego byłego przełożonego, to: „Nie pracujesz już z Faireyem”. Ale jak się tak zastanowić, to chyba wyszło mi to na dobre.

Pozwoliłyśmy sobie na chwilę milczenia, czekając, aż ViPER zrobi to, do czego został stworzony, cokolwiek to jest. I wreszcie wyprodukował listę wyników w oparciu o numery rejestracyjne, które Annie wprowadziła dla wybranych lokalizacji. A mówiąc ściślej, jeden wynik. Jeden wynik z dołączonym niezwykle ostrym zdjęciem.

Wzięłam głęboki oddech i wstrzymywałam go tak długo, aż przed oczami pojawiły mi się gwiazdy, desperacko próbując dostrzec sens w tym, co zobaczyłam, szukając jakiegoś wytłumaczenia, które mogłabym podrzucić Jenny.

Annie z kolei wyraźnie się rozluźniła i z dziwną satysfakcją wymalowaną na twarzy podeszła do drukarki.

Teraz jednak po cichu przyznała mi rację i pogrążyła się w myślach.

– Otwarty umysł – oświadczyła Jenny. – Tego właśnie nam trzeba. Musimy podejść do tej sprawy z otwartym umysłem. Chwilowo wydaje mi się oczywiste, że Erica była co najmniej zamieszana w to, co przytrafiło się Johnowi i Julianowi. Nasuwa się zatem pytanie, w co jeszcze była zamieszana i w jakim stopniu. Wiemy, że zaatakowała Kevina i ciebie, Ali, i pewnie by cię zabiła, gdyby nie interwencja Reeda, co z kolei stawia pod znakiem zapytania to, co przypuszczamy, że zaszło tuż potem, więc najpier...

– Chwila – powiedziałam. – Zaraz, zaraz. Jak to „co przypuszczamy, że zaszło”?

– Okej, jest tak – podjęła, gdy z gardła Kevina wydobył się krótki,

suchy kaszel. – Wiemy na pewno, że oprócz ciebie w chwili, gdy zabito Elego, w pokoju była jeszcze jedna osoba, ale tylko przypuszczamy, że tą osobą był Reed.

Ponownie przestałam oddychać. To się nie działo. Nie mogła sugerować, że za to, co spotkało Elego i mnie, odpowiada ktoś inny, a nie tamten mężczyzna. Nie mogła, prawda?

Zduśliłam narastający w gardle krzyk, świadoma trzech par oczu kierujących się ku zdjęciu, z którego wyzierała twarz Eriki.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz – odparłam.

– Ali – zaczął Kevin. – Jen mówi tylko, co możemy udowodnić, a czego...

Wyszłam z pokoju, zanim zdążył dokończyć.

Annie znalazła mnie na parkingu, gdy byłam w połowie trzeciego papierosa. Sama też zapaliła i nie zaciągając się ani razu, stała przez chwilę w milczeniu. W końcu strzepnęła na ziemię centymetr popiołu i jednym sztachem spopieliała kolejny centymetr papierosa, po czym przygniotła niedopałek obcasem i powiedziała:

– Przepraszam, że cię wkurzyłam.

Wzruszyłam tylko ramionami i pokręciłam głową.

– To śledztwo i tak jest kpina – odparłam. – Czasami odnoszę wrażenie, że tylko mnie zależy na ujęciu seryjnego zabójcy.

– Domniemanego seryjnego zabójcy – sprostowała.

Dopaliłam papierosa, taksując ją wzrokiem mordercy. Wytrzymała moje spojrzenie, ale jej oczy zdradzały zdenerwowanie. Nie wrzasnęłam, po prostu spytałam:

– Dlaczego tak się upierasz przy jego niewinności?

– Co masz na myśli? – Wytrząsnęła z paczki kolejnego papierosa i włożyła go do ust, a mnie poczęstowała drugim.

Nie odmówiłam.

– Nie mogę cię rozgryźć – powiedziałam, pozwalając, żeby go przypaliła. – Co chcesz udowodnić? Byłaś w centrum koordynacyjnym. Zapoznano cię ze sprawą. Jak to wszystko oceniasz?

Jak myślisz, o co w tym chodzi?

– Ja...

– Bo moim zdaniem chodzi o co najmniej cztery zaginione kobiety, których nadal nie odnaleziono, i o mężczyznę, który je uprowadził i zamordował. Tego samego, który o mało mnie nie zabił. Widziałam jednak twoją minę i wiem, że jesteś gotowa przypisać to wszystko dwudziestoletniej dziewczynie, która przez trzy miesiące była więziona w klatce. Dlaczego?

Wypuściła dym kątem ust i pokręciła głową.

– Podzieliłam się tylko swoimi spostrzeżeniami – wyjaśniła. – Nic się za tym nie kryło. Dowody mówią same za siebie. To wszystko.

Nie zwracałam na nią uwagi, bo szczerze mówiąc, byłam zła na cały świat, więc cokolwiek by powiedziała, w tej chwili i tak nie miałyby to znaczenia.

– Powiem ci dlaczego! – warknęłam. Wzdrygnęła się, ale to mnie nie powstrzymało. – Bo durne media robią z takiego skurwiela lokalnego bohatera, roztaczają wokół niego aurę tajemniczości i nadają mu jakieś chwytliwe przezwisko, które wszyscy będą pamiętać wiele lat po tym, jak zapomną nazwiska tych biednych dziewcząt, które gwałcił, torturował i porąbał na kawałki. A czemu? Bo nikt nie lubi gwałcicieli czy morderców, ale wszyscy uwielbiają seryjnych zabójców. Wszyscy chcą, by przystojnemu i czarującemu psychopacie ostatecznie się upiekło, a jeśli tak się nie stanie, to cóż, wysyłają mu do więzienia listy miłosne albo, do kurwy nędzy, piszą o nim książkę. A co z Sarah Abbott? Co z Kerry Farrow? Sam Halloran? Caroline Grey? Co z nimi, Annie? Czy kogoś one obchodzą?

Nie wiem, jakiej reakcji się spodziewałam, ale nie zbiła mnie z tropu, gdy zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym rzuciła go na ziemię i syknęła:

– Nic o mnie nie wiesz.

Ucisnęłam palcami pulsujące skronie i wypuściwszy z płuc gotujące się we mnie powietrze, odparłam:

– Racja. Cóż, o mnie musisz wiedzieć tylko tyle, że zamierzam

dowieść, z pomocą lub bez, że tamten mężczyzna jest zabójcą.

– Wierzę ci – stwierdziła, czego nie mogłam powiedzieć o sobie. Bądź co bądź ja też widziałam te dowody. – Ale wierzę również w to, że Erica Shaw wcale nie jest taka niewinna, jak byś chciała.

Auć, zabolalo.

– Inspektor Riley kazała ci przekazać, że zamierza zwołać konferencję prasową i wymienić Ericę jako podejrzaną. Chce z tobą porozmawiać. Jest w gabinecie.

Poczekalam, aż serce znów zacznie mi bić, i zatrzymałam Annie, kiedy się odwróciła, żeby odejść.

– Masz rację – przyznałam. – Nic o tobie nie wiem. Przepraszam, że podniosłam głos.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. – Wiem, jakie to frustrujące, gdy wierzysz w coś naprawdę mocno, lecz nikt nie chce cię słuchać. Po prostu... nie oceniaj mnie z góry. Proszę.

Pokiwałam głową.

– Szczerze mówiąc – kontynuowała – Riley na wszystko kręci nosem, a sama pewnie nie umiałaby złapać nawet przeziębienia. Ale z drugiej strony, o niej też nic nie wiem.

Odpowiedziałam uśmiechem na jej mrugnięcie i spytałam:

– Annie, wiem, że na to nie zasłużyłam, ale czy zrobisz coś dla mnie?

– Nastawić czajnik?

– Ha, ha, nie – odparłam, chociaż chętnie bym się napiła. – Tylko... jeśli spyta, czy możesz powiedzieć, że mnie nie widziałas?

W oczach Annie pojawił się błysk. I już wiedziałam, że ją polubię. Obrzuciła mnie szelmowskim spojrzeniem, uśmiechnęła się łobuzersko i czmychnęła przez wyjście pożarowe. Wtedy też zrozumiałam, że będą z nią kłopoty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy dotarłam do domu Eriki, miałam pięć nieodebranych telefonów i dwie wiadomości na poczcie głosowej, których nawet nie zamierzałam odsłuchać. Choć przydałoby mi się trochę dodatkowych informacji, nie byłam w nastroju na pytania i kłótnie, które nieuchronnie wiązały się z ich zdobyciem. Zamiast tego, kierując się wskazówkami nawigacji, pojechałam pod adres, który wyszukałam w laptopie, zanim ruszyłam z parkingu.

Stojąc na progu domu, raz jeszcze sprawdziłam nabazgrane pośpiesznie notatki:

„Furgonetka/Fairey. Konferencja prasowa. Erica winna?”.

Zadzwoiłam i po chwili w drzwiach ukazała się twarz, którą rozpoznałam ze zdjęcia w gazecie lub z jakiejś konferencji emitowanej w telewizji. A może po prostu rozpoznałam te same ciemne oczy, które studiowałam na szkolnych fotografiach, które mignęły mi w holu tamtego mężczyzny i które świdrowały mnie spojrzeniem w desperackiej walce poprzedzającej ucieczkę Eriki.

– Pani Shaw? – Wiedziałam, że dawno temu wyszła ponownie za mąż, ale chciałam zobaczyć, jak zareaguje, słysząc nazwisko córki.

Kobieta zmarszczyła brwi i zaszurała odzianymi w kapcie stopami, nieznacznie, ale zauważalnie przenosząc ciężar z nogi na nogę, wyprostowując ramiona i jeszcze szczelniej wypełniając drzwi swoją sylwetką. Ciekawe.

– Już nie – odparła.

Wyjęłam legitymację służbową, głównie po to, aby wiedziała, że nie jestem dziennikarką.

– Jestem sierżant Green – przedstawiłam się, dyskretnie sprawdzając, czy się nie pomyliłam, kiedy składałam portfel. – Mam wieści na temat Eriki.

Spodziewałam się, że ujrzę na jej twarzy choćby cień strachu, jakiś znak, że na widok policjantki przybywającej samotnie z wieściami na temat jej zaginionej córki założyła najgorszy scenariusz. Ale nic takiego nie dostrzegłam.

Wpatrywała się we mnie przez długą chwilę, obserwując, jak raz po raz zerkam przez jej ramię, sygnalizując chęć wejścia do środka, zanim w końcu westchnęła i odsunęła się na bok, by mnie przepuścić.

– W takim razie zapraszam – odpowiedziała, krzyżąc mi niemal do ucha, gdy przeciskałam się obok niej w drzwiach.

Wskazała mi ręką salon, który kiedyś na pewno dawał poczucie przestrzeni. Teraz jednak każdy skrawek ściany, niezastawiony wielką skórzaną kanapą, był obwieszony półkami, na których zalegały mosiężne bibeloty. Mosiężne imbryki i mosiężne figurki. Mosiężne konie z ozdobami i mosiężne ozdoby z końmi. Mosiężne talerze i mosiężne... ryby? Było to tak dalekie od mojego gustu, że nie wiem, jak to estetycznie opisać. Szczerze mówiąc, od tego mosiądzu można się było porzygać.

– Mogę coś zaproponować? Herbatę? Kawę? Przepraszam, zapomniałam, jak się pani nazywa.

Przydałyby się ciemne okulary...

– Poproszę kawę. – Uśmiechnęłam się. – Mam na imię Ali.

Wyciągnęła rękę, którą pomimo upału ukryła pod rękawem swetra. Ujęłam jej dłoń; była śliska, a uścisk słaby.

– Ja jestem Carla, tak przy okazji. Jaką pijesz, Ali?

Wiedziałam, rzecz jasna, jak się nazywa, sprawdziłam to wcześniej w notatkach i przypomniałam sobie raz jeszcze na progu, ale dopiero teraz zaczęłam się zastanawiać, czy jej matka bądź siostra, jeśli jakąś miała, nie nazywa się przypadkiem Paula albo Edwina, albo... Cóż, na więcej imion nie wpadłam, odpowiedziałam za to:

– Z mlekiem, bez cukru – bo chyba taką teraz pijałam, nie byłam pewna.

Zniknęła na pięć minut, w którym to czasie usadowiłam się na skrzypiącej kanapie i zapatrzywszy się na mosiężne cacka,

próbowałam wymyślić więcej imion żeńskich, które właściwie były męskimi, tylko z dodanym na końcu „a”. Przypomniałam sobie jedno, a potem po dłuższej chwili do głowy przyszła mi jeszcze Philippa, jednak do tego czasu zdążyłam zapomnieć, jak brzmiało to pierwsze, a Carla wróciła z kawą.

– No więc – zaczęła, przysiadając ostrożnie obok mnie na brzegu kanapy – wspominałaś, że masz jakieś wieści.

Najwyraźniej wiedziała, że nie przyszedłam tu po to, by ją poinformować o śmierci córki. Ciekawe skąd, pomyślałam, dmuchając na kawę. Skinęłam głową, upiłam łyk i w jednej chwili naszła mnie chęć na pączka. W drodze powrotnej będę musiała wstąpić do McDonalda.

– Mąż też jest w domu? – spytałam, a ona jakby się trochę zatrwożyła, ale zapanowała nad głosem i odparła:

– Nie, w pracy. I chyba dobrze, zważywszy na to, jak go potraktowaliście, gdy Erica... – Urwała i odetchnęła głęboko, siląc się na uprzejmy uśmiech. – Nadal czuje się urażony oskarżeniami o... no wiesz.

Patrzyłam, jak pociera palcami skórę na przedramieniu z cieniem grymasu na twarzy.

– Tak, oczywiście – zgodziłam się i zapisałam w notesie: „agresywny mąż” pod takim kątem, żeby nie widziała. – Erica ma jeszcze siostrę, prawda?

Skinęła nieznacznie głową.

– Charlotte – rzuciła krótko, co pozwoliło mi przypuszczać, że to nie wszystko, co chciała powiedzieć. Zapisałam jej imię i z przykrością stwierdziłam, że szlag trafił moją teorię.

Chociaż... Charlie?

– I Charlotte również jest w pracy czy...?

– Tak twierdzi.

– Myślisz, że to nieprawda?

– Po prostu wiem, że nie lubi tutaj przebywać.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem. To nie... Cóż, w ostatnim czasie nie było tu zbyt radośnie, rozumiesz?

– Rozumiem. Kiedy ją ostatnio widziałas?

– Wczoraj rano. Dziś też tu nocowała, ale przyszła, jak już spałam, i wyszła, zanim się obudziłam.

– A kiedy ostatnio rozmawiałaś z Ericą?

Zaczęła coś mówić, brzmiało jak: „Ona ni...”, i nagle się zacięła, zamierając z otwartymi ustami, tylko na sekundę, ale to wystarczyło, żebym się domyśliła, że zamierza skłamać.

– Nie kontaktowała się ze mną – odparła w końcu.

– Od kiedy?

– W ogóle. Pani... Ali, o co chodzi? – Konsternacja. Zakłopotanie. Panika.

Wyłożyłam kawę na ławę:

– Na jaw wyszły nowe dowody. Moja szefowa zamierza zwołać konferencję prasową, przypuszczalnie jeszcze dziś po południu, i najprawdopodobniej wyznaczy nagrodę za informacje, które pozwolą nam aresztować Ericę pod zarzutem zamordowania dwóch moich kolegów.

Napiłam się kawy, dając Carli czas na oswojenie się z tą informacją. Szkoda, że poprosiłam bez cukru.

– Cóż – podjęłam, patrząc na jej zaciskające się szczęki i pulsującą na czole żyłę. – Szczerze mówiąc, nie sędzę, że to zrobiła, ale jestem w mniejszości. Muszę przyznać, że dowody są całkiem przekonujące, i nie wiem, dlaczego właściwie obstaję przy jej niewinności, bo przecież celowała do mnie z rewolweru, a nawet pociągnęła za spust. Chcę przez to powiedzieć, że potrzebuję twojej pomocy. A to znaczy, że masz mi nie wciskać kitu.

– To ty – rzuciła w przeblysku olśnienia. – To ty wtedy zostałam ranna.

– Chcę jej tylko pomóc i wyciągnąć z bagna, w które się wpackowała – odpowiedziałam.

Zacisnęła powieki i ukryła twarz w dłoniach. Gdy znów odsłoniła

oczy, szklily się od łez.

– Nie wiem, gdzie jest – wyszeptała.

– Nie o to pytam. Chcę wiedzieć, kiedy ostatnio rozmawialiście, a w drugiej kolejności, jak można się z nią skontaktować.

Na te słowa zaczęła się trząść i szlochać, i w kółko powtarzać:

– Nie wiem, gdzie jest. Przysięgam, że się nie odzywała. Nie wiem, gdzie się ukrywa. Możesz mi wierzyć, nie miałam od niej żadnych wieści. – Skończyło się na tym, że przez bite trzydzieści minut tuliłam do piersi matkę Eriki, która zalała moje ramię powodzią smarków i łez. Moja gorzka kawa całkiem wystygła, a ja, po raz kolejny, o mały włos się nie zmoczyłam.

Gdy wyszłam z łazienki, usłyszałam, że Carla krząta się na dole i wkłada naczynia do zmywarki, więc skorzystałam z okazji i – rzecz jasna – zajrzałam do sypialni Eriki. Nie znalazłam tam jednak nic szczególnego, ani tym bardziej zaskakującego. Ot, zwykły pokój ze zwykłym posłanym łóżkiem, zwykłą biblioteczką wypełnioną po brzegi zwykłymi książkami dla dzieci i tanimi przygodowymi czytałkami, zwykłą komodą eksponującą niewielką kolekcję trofeów pływackich – aha, wiedziałam! – i zwykłą szafą, oraz cienką warstwą kurzu pokrywającą każdą powierzchnię.

Tak więc dałam sobie spokój. Carla i tak nic by mi nie zdradziła, nawet tego, gdzie znajdzie Charlotte, więc nie było sensu dłużej tam tkwić. Podziękowałam jej za kawę i zostawiłam swoją wizytówkę, z której z ręką na sercu przyrzekła skorzystać, gdyby się czegoś dowiedziała. Na koniec spytałam ją jeszcze o najkrótszą drogę do domu Sarah Abbott, żeby oszczędzić sobie ściągania adresu z internetu.

I tak oto znalazłam się pośrodku zaniedbanego podjazdu przed domem Abbottów, w którym po raz ostatni widziano Sarah żywą i do którego udała się Erica w dniu ich zaginięcia.

Wyglądało na to, że jest pusty. Dzwoniłam i dzwoniłam, ale nikt nie otworzył. Nie usłyszałam szczekania psa ani innych odgłosów

świadczących o obecności domowników. Zajrzałam przez okno do salonu. Było w nim pełno oprawionych w ramki zdjęć i świadectw, a także kartek urodzinowych z zagiętymi brzegami, ale ani śladu życia, z wyjątkiem gęstych pajęczyn w obu przeciwległych rogach sufitu.

Odwróciłam się i omiotłam uważnym spojrzeniem okolicę, która sprawiała wrażenie tak samo wymarłej, jak ten dom. Nikt nie wyprowadzał psów, nikt nie polewał węzłem samochodów, nikt nie szorował grillów. Żadnego życia, tylko ponure osiedle kilku nowo wybudowanych domów, zuniformizowanych w swej zamierzonej odmienności i zdaje się, że równie niezamieszkałych jak dom modelowy na końcu ulicy.

W takim właśnie miejscu umierają marzenia...

Wzdrygnęłam się na tę myśl, a kiedy znów się odwróciłam, zrozumiałam, ile w tym prawdy. Czyżby te mrówki na plecach to znak upiornej świadomości, że Sarah Abbott zginęła w tym domu?

Z boku była drewniana furтка prowadząca do ogrodu. Nie była zamknięta, więc weszłam i ruszyłam ostrożnie wzdłuż ostów, żeby zajrzeć przez okno do kuchni. Ta z kolei wyglądała jak chlew; na ociekaczu piętrzyły się naczynia, których w moim odczuciu nie dało się już odratować. Parapet był usłany pustymi plastikowymi butelkami i martwymi muchami, a na pierwszej stronie ściennego kalendarza nadal padał śnieg.

Cokolwiek stało się z Abbottami, nie było ich w domu od dłuższego czasu.

Zaczęłam przedzierać się na tyły. Ogród stanowił jednak przeszkodę nie do przebycia: był zarośnięty wysokimi do uda chwastami i pokrzywami, a z tyłu nie było bramy, tylko wysoki ceglany mur, wyższy ode mnie pewnie o jakieś trzydzieści centymetrów, za którym chyba zaczynał się las. Zastanawiałam się, czy nie wydeptać ścieżki wzdłuż parkanu, a potem podciągnąć się na murze i sprawdzić, co jest po drugiej stronie, ale uznałam, że łatwiej będzie objechać posesję. Zapaliłam więc papierosa i przyjrzałam się wzorowi na matowym

szkle w oknie toalety.

Szybko ustaliłam, że wzór jest zupełnie przypadkowy. Z całą pewnością nieprzypadkowe były za to wyżłobienia w drewnianej framudze poniżej rygla. Mógł je zostawić śrubokręt albo niewielki łom, którego użyto do podważenia ramy i otwarcia okna z zewnątrz.

Wyjęłam telefon i zrobiłam zdjęcie, po czym zagięłam palce na narożniku framugi i pociągnęłam do siebie. Okno nie otworzyło się, ale odskoczyło na tyle, że można było podważyć rygiel jakimś narzędziem.

Zakradłam się z powrotem do okna kuchennego i przyłożywszy dłoń do szyby, zajrzałam do środka. W rogu sufitu dostrzegłam czujnik ruchu zasnuty jedwabną siecią, z której zwisał najpewniej martwy już pająk.

Nie wypatrzyłam drugiego czujnika w salonie, ale rozsądek podpowiadał, że najpewniej jest nad oknem. Zauważyłam za to skrzynkę od alarmu zamontowaną nad drzwiami – w kolorze białym, takim jak ściany.

Zanotowałam widoczną na drzwiczkach nazwę firmy od systemów alarmowych i wycofałam się przez furtkę na tyły domu, żeby jeszcze raz przyjrzeć się tym wgnieceniom we framudze. Papieros, który trzymałam w ustach, zdążył się do szczętu wypalić, a jego dym drapał mnie w gardle, więc cisnęłam go na ziemię i przygniotłam butem.

I właśnie wtedy coś przykuło mój wzrok i sprawiło, że stanęłam jak wryta. Był to niewielki żółty element, który przywołał pewne wspomnienie. Właściwie nie tyle wspomnienie, co skojarzenie, tak jak dźwięki, zapachy czy kolory potrafią przenieść człowieka w czasie do innego miejsca. Tym razem do centrum koordynacyjnego w komendzie policji.

Przykucnęłam na piętach i zajrzałam pod plastikową listwę pod kuchennymi drzwiami. Kiedy dotarło do mnie, na co patrzę, przebiegł mnie dziwnie podniecający dreszcz przerażenia.

Był to prostokątny plastikowy brelok o długości około pięciu centymetrów, z jednej strony zwężający się w zaokrąglony szpic

z przebitą na wylot małą dziurką. Koniuszek się ułamał, przerywając otwór, co zapewne było powodem oddzielenia się od kółka, do którego, jak przypuszczałam, kiedyś był przyczepiony. Na przedzie zawieszki znajdowało się okienko, za które wsunięty był skrawek niegdyś białego papieru, teraz pomarszczonego i odbarwionego od wilgoci. Na karteczce z trudem dojrzałam nikły zarys napisanego odręcznie numeru – 18.

Poderwałam się na nogi tak gwałtownie, że głową uderzyłam o klamkę. Jakoś zdołałam wydobyć z kieszeni komórkę i oddzwonić na siódmy już z rzędu nieodebrany telefon od Jenny, nie dając jej dojść do słowa, dopóki nie wykrztusiłam:

– Jestem w domu Abbottów. Przyślij tu techników, i to, kurwa, już!

Potem się rozłączyłam, ponieważ uznałam, że to wystarczy, a także dlatego, że nie wiedziałam, jak jej powiedzieć, że klucze, które znaleźliśmy u tamtego mężczyzny, nie pasują do żadnych wynajmowanych domów ani do odległych chat z ukrytymi kłatkami, ani do innych nieruchomości, które mógł posiadać. To w ogóle nie były jego klucze.

To były jego trofea.

TYMCZASEM...

Carla nastawiła zmywarę, a potem włączyła czajnik. Wyjęła z szafki nowy kubek, wytarła ścierką smugę przy krawędzi i nalała odrobinę pełnotłustego mleka. Następnie wrzuciła do środka piramidkę z herbatą, którą wyjęła z pudełka na blacie, i dosypała dwie czubate łyżeczki cukru.

Wiedziała, rzecz jasna, że jej córka nie jest winna zbrodni, o które ją posądzano. W końcu była jej matką, prawda? To, czy faktycznie je popełniła, nie miało dla niej znaczenia.

Coś jednak mąciło jej spokój, a przyczyna tego stanu rzeczy miała za kilka godzin wrócić do domu.

Erica nigdy nie przepadała za ojczymem. Nie podobał jej się jego

wybuchowy charakter, z czym teraz Carla, będąc sam na sam z myślami, nie mogła się nie zgodzić. Chociaż wmawiała sobie, że jest inaczej, chociaż później im to wynagradzał, chociaż zawsze żałował – bo żałował, w co szczerze wierzyła – musiała przyznać, że czasami puszczały mu nerwy.

Wiedziała jednak, że nie przez nią. Wiedziała to teraz, gdy na nią nie warczał, gdy jego ręce nie odciskały mozaiki krwiałków na jej skórze, gdy nie leżała pod jego bladym, cuchnącym piwskim ciałem i nie zagryzała warg, żeby nie wyć z bólu i jeszcze bardziej go tym nie rozżłościć. Wiedziała, że to nie przez nią.

A jednak nie opuściła go, prawda? I nadal przeproszała: to za przesoloną zupę, to za niedoprasowaną koszulę, to za przelotne spojrzenie rzucone nieznanemu na ulicy.

I nadal wsiadała z nim do auta, nadal siedziała obok jak trusia, słuchając jego urywanego oddechu, jego wściekłego sapania, gdy wiozł ją do domu, żeby pokazać, kto jest jej mężem, żeby wybić jej z głowy tego nieznanego, przyduszając ją do podłogi, gryząc i pieprząc na dywanie. I nadal go pocieszała, kiedy już po wszystkim zalewał się łzami i mówił, jak bardzo mu przykro, jak bardzo ją kocha i w jakim żyje stresie. I nadal powtarzała: „Wiem, kochanie. Już dobrze. Wiem”.

Tak więc wiedząc to wszystko, kogo właściwie powinna winić?

Kogo powinna winić wtedy, gdy tłukł Ericę?

Kogo powinna winić wtedy, gdy ta nakryła ich w kuchni i zobaczyła, jak ojczym próbuje odgryźć jej matce kawał ramienia?

Kogo tak naprawdę powinna winić wtedy, gdy Erica dźgnęła go nożyczkami w tyłek i stanęła za to przed sądem?

I kogo powinna winić teraz, gdy Richard dowie się o wyznaczonej nagrodzie i postanowi wyciągnąć z niej prawdę pięściami?

Woda wreszcie się zagotowała. Carla nalala ją do kubka i wycisnęła saszetkę herbaty, która zabarwiła wrzątek na kolor żółtobrazowy. Zamieszała napar piętnaście razy, po czym wrzuciła łyżeczkę do zlewu.

Chwyciła kubek za brzeg, żeby nic jej się nie ułało, bo zgodnie z tym, co czytała, tak było najbezpieczniej, i wyszła z kuchni. Korytarzem, potem w górę po schodach – pokonując ostrożnie każdy stopień – dotarła na podest. Weszła do pokoju, postawiła kubek na komodzie obok medali Eriki i wciągnąwszy w płuca chmurę stęchłego kurzu, otworzyła okno, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Później usiadła na skraju łóżka i spoglądając przez łązy na klapę wjazdu w suficie, tuż za drzwiami, powiedziała:

– Erica, skarbie, możesz już zejść. Nic ci nie grozi.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Nie obchodzi mnie, czy to zrobiłaś. Przecież wiesz. To znaczy... – Carla przeczesła włosy ręką, tą, którą akurat nie trzymała kurczowo córki, jakby od tego zależało jej życie, i machinalnie otarła ściekające po policzkach łzy. – Oczywiście, że obchodzi, tylko chcę, żebyś wiedziała, że kocham cię bez względu na wszystko i zawsze będę cię wspierać. Jesteś moją małą córeczką i zawsze nią pozostaniesz, i cokolwiek się wydarzyło, cokolwiek zrobiłaś, cokolwiek ten... cokolwiek on kazał ci zrobić, pomogę ci przez to przejść. Rozumiesz? Wszystko będzie dobrze. Wiesz o tym, prawda, skarbie? Wiesz, że możesz na mnie liczyć?

Erica przyglądała się uważnie rozdygotanej matce, która siedziała obok na gorącej, niewygodnej skórzanej kanapie, szlochając i pociągając nosem, i wiedziała równie dobrze jak Carla, że wszystkie złożone przez nią obietnice, jakkolwiek szczere, są puste. Mimo to przytaknęła i rzekła:

– Wiem, mamo.

Słyszając to, Carla skuliła się w sobie i zaniósła jeszcze głośniejszym szlochem.

– O Bo...że – wyjąkała. – Moja mała... – Tylko tyle zdołała z siebie wydusić. Była zbyt roztrzęsiona, żeby mówić, zbyt słaba, zbyt załamana, żeby wyciągnąć rękę i pogłaskać biedną, zagubioną Ericę po twarzy, więc po prostu zaczęła płakać nad swoją jakże kiedyś radosną, rozbrykaną córeczką, która zawsze potrafiła bez reszty uświnić się lodami, chichotała, kiedy motyl przysiadł jej na kolanie, i godzinami uczyła się wiązać sznurówki, odśpiewując przy tym cały repertuar piosenek z „Małej Syrenki”.

Erica przyglądała się jej spokojnie, ściskając jej dłoń i tak samo jak ona nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić. Starła się coś poczuć,

cokolwiek. Jej umysł gorączkowo wertował katalog wszystkich emocji, żeby wybrać tę najbardziej odpowiednią w danej chwili, ale niczego nie znalazł. I wtedy zrozumiała – naprawdę zrozumiała – że została sama. Że tylko ona mogła wszystko naprawić. Że już nie była tą małą dziewczynką, którą oplakiwała Carla.

Wraz ze zrozumieniem pojawił się dylemat. Bo Erica przyszła do domu matki z konkretnym zamiarem – chciała ją uwolnić, uratować, raz na zawsze wybawić od tyranii męża potwora. Jednak gdy tak siedziała, patrząc, jak łzy zmywają korektor z zasinionego policzka Carli, dotarło do niej, że ten plan jest jedynie dziecięcą fantazją.

Dorośla, racjonalna część jej mózgu wiedziała, jak to należy załatwić, znała oficjalną drogę, która wymagała zebrania informacji, wykonania paru telefonów i pomocy osób trzecich. Ale nie dość, że Erica nie zrealizowałaby tego wszystkiego przed siedemnastą, to jeszcze dałaby się złapać. A gdyby dała się złapać, to już nigdy nie miałyby szansy na to, żeby naprawić zło, jakie jej wyrządzono i jakiego doznali Sarah, Kerry, tamci policjanci, Rachel i Bóg wie, kto jeszcze.

Zacisnęła oczy, czując narastający ucisk w głowie. Puściła dłoń matki i objęła ją na oślep, tuląc do siebie.

– Mamo, nie jestem morderczynią – wyszeptała, trzymając za plecami skrzyżowane palce.

O godzinie piętnastej minut piętnaście, gdy Sandra Gaidamaviciene zabezpieczała posesję Abbottów, a Annie Fisher żłopała wódkę z piersiówki, stojąc na klatce schodowej w siedzibie komendy, ojczym Eriki zapuszczał żurawia w dekolt Chloe Kimble, zajętej pakowaniem swoich rzeczy – segregatora, piórnika i tylko lekko sfatygowanego egzemplarza „Wyboru Hobsona”.

Nie żeby był szczególnie zainteresowany jego zawartością; chodziło raczej o to, że głęboki dekolt Chloe był jedyną rzeczą, na jaką Jack Carnahan uczulił Richarda, gdy ten zgodził się go zastąpić na zajęciach z angielskiego.

Od dawna wiedział, że Carnahan jest trochę zboczony; co więcej, w ciągu tego roku – a dla Richarda był to pierwszy rok nauczania w tej szkole – już nieraz donosił dyrekcji o jego niestosownych komentarzach, ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało, dopóki trzymał ręce przy sobie: „Nie ma co robić afery, Richardzie. Mamy go na oku, nie martw się”.

Richard jednak się martwił. Z Jackiem Carnahanem zdecydowanie było coś nie tak, więc kiedy reszta klasy ślimacząc się, wychodziła z sali, wziął Chloe na stronę – oczywiście bez dotykania – i zasugerował, by podczas zajęć rozważyła zapięcie kilku górnych guzików.

Chloe – sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu – wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć w oczy tyczkowatemu, brodatemu frajerowi w koszuli wetkniętej w tanie dżinsy z supermarketu, i trzepocząc rzęsami, po prostu się roześmiała.

– Zdaje się, że tylko pan ma z tym problem.

Tę rundę wygrała Chloe. Zwęszyła krew, więc nazajutrz, rzecz jasna, posypią się inwektywy. Bardziej bezwzględni uczniowie bez wątpienia wyzwą go od pedałów, bo nie chce patrzeć na piersi piętnastolatki. Ale takie już były uroki tego zawodu, a on swego czasu nasłuchał się gorszych obelg. Dlatego przyjmie to z uśmiechem, po męsku, i dalej będzie nauczał najlepiej, jak potrafi, i tak jak każdego dnia nie da po sobie poznać, że ich aluzje go dotyczą. Zdusi to w sobie, tak jak teraz, dopóki nie będzie daleko, daleko od wszystkich, którzy mogliby mu naprawdę zagrozić.

Chwilowo jednak spokojny o swój los, Richard spakował teczkę i ruszył we względnie dobrym nastroju do pokoju nauczycielskiego. Niańcząc klasę Carnahana, przebrnął przez lwią część wypracowań, które miał do sprawdzenia, więc uwzględnivszy czas na kawę i pogaduszki, liczył, że wyjdzie z pracy o wpół do piątej, i cieszył się już na wolny wieczór.

Pierwszym zwiastunem tego, że chyba się przeliczył, była pełna powagi cisza, która zapadła, gdy tylko przekroczył próg. Przywykł

wprawdzie do takich powitań w kilku pubach, które odwiedzał, gdzie wszyscy znali wszystkich i każdy miał własne zdanie na temat każdego, ale tutaj się tego nie spodziewał. Nie żeby był tak naiwny, by wierzyć, że plotki nie dotrą do pokoju nauczycielskiego; po prostu zważywszy na brak zainteresowania tymi, które krążyły wokół Jacka Carnahana, zakładał, że nikt się nimi nie przejmie.

To było pierwsze, co przyszło mu do głowy, gdy Tim, Peter i Alison zmarszczyli brwi i z pewnym zakłopotaniem odwrócili wzrok – to, że jakimś cudem usłyszeli o tym i owym. To, że wszystko się zmieniło, i wkrótce znajdzie się na dywaniku u dyrektora, negocjując warunki polubownego rozwiązania umowy za porozumieniem stron. Wspaniałe referencje w zamian za dyskrecję. Nowa praca w nowej szkole, dwa czy trzy miasta od domu. Już to przerabiał i drugi raz też da radę.

Ale to nie było to. Chodziło o coś innego. Stało się coś niedobrego. Domyślił się po smutnym uśmiechu Theresy, szkolnej sekretarki, po jej nerwowym, pełnym współczucia drganiu powiek, gdy próbowała na niego spojrzeć.

Upuścił teczkę w progę, próbując wyczytać cokolwiek z pomarszczonej, złowróżbnej twarzy Theresy. Niestety, daremnie.

– Richard – odezwała się wreszcie łagodnym, spokojnym głosem, który otoczył go niczym pocieszające ramię.

– Co jest? Co się dzieje? – Strach, który poczuł w żołądku, wspiał się szybko w górę, omijając serce i podchodząc od razu do gardła. Zanim dosięgnął języka, Richard zdołał jeszcze wyartykułować logiczny wniosek: – Chodzi o moją żonę? Coś stało się Carli?

– Nie, dzięki Bogu. – Theresa stała teraz obok i naprawdę otoczyła go ramieniem, drugą ręką podsuwając mu pod nos tablet z otwartą w przeglądarce stroną BBC i zamieszczonym tam zdjęciem paszportowym Eriki Shaw wpatrującej się w niego ponuro z ekranu. – Chodzi o twoją pasierbicę. Trąbią o niej we wszystkich wiadomościach.

Carla cisnęła telefon na blat szafki i popędziła na górę, pokonując po dwa stopnie naraz.

– Musisz się zbierać – wysapała, krzywiąc się z bólu, który przeszywał jej lewy bok przy każdym oddechu. – Richard zaraz tu będzie.

Erica stała pośrodku sypialni, patrząc na ogród, który graniczył z ich podwórkiem. Roześmiany Amerykanin bawił się na patio w nadmuchiwany basenie ze swoją małą córeczką. Kilka razy rozmawiał z Ericą, ale o niczym ważnym, a ona nigdy nie zapytała, jak się nazywa. Jego żona służyła w siłach powietrznych, tylko tyle wiedziała.

– Mam to gdzieś – odparła.

– Erica, proszę. Nie wiem, jak zareaguje, jeśli cię tu zastanie. Nie może cię zobaczyć, dopóki z nim nie porozmawiam i się nie uspokoi.

– Nie mam gdzie się podziać. Do cholery, nie mogę mieszkać w samochodzie. – W oczach matki dostrzegła strach, który rósł z każdą chwilą, gdy zerknęła nerwowo na zegarek. – Mamo, nie boję się Richarda.

Carla parsknęła śmiechem, a raczej wydała pusty, absurdalny rechot, który przyprawił Ericę o furję.

– A powinnaś – skwitowała. – Nie jesteś tu bezpieczna. Włożyłam ci do torby zapasowy klucz do domku kempingowego, tego, który należał do twojego taty, i trochę pieniędzy na jedzenie, paliwo, gaz do kuchenki, cokolwiek będzie potrzebne. Nikt cię nie znajdzie. Zostań tam przynajmniej do czasu, aż uporamy się z tym bajzlem, dobrze?

– Wysyłasz mnie na kemping?

– Erica, kochanie. – Łapała teraz krótkie, płytkie oddechy, zęby miała odsłonięte w grymasie strachu i bólu. – Nie może cię tu zastać. Wiesz, jaki on jest. On...

– Więc jedź ze mną.

– Nie mo...

– Zadbam o to, żeby nas nie znalazł.

– Oczywiście, że nas znajdzie. Zawsze mnie znajduje.

– Nie, mam. – Erica przykuła ją twardym spojrzeniem. – Zadbam o to, rozumiesz?

W oczach Carli zebrało się więcej łez, które drżały razem z nią, tylko że jakby bały się spaść.

– Erica, proszę – zaczęła. – Nie powinnaś mówić takich rzeczy, jeśli chcesz mnie przekonać, że nie jesteś morderczynią.

Oddech uwiązał Erice w gardle i miała wrażenie, że tylko dzięki temu nie wyskoczyło jej serce. Przyglądała się badawczo twarzy Carli, wypatrując jakiegokolwiek oznaki żalu; dała jej chwilę czy dwie, żeby odwołała to, co powiedziała. Ale tego nie zrobiła.

– Jeśli chcę cię przekonać? – odezwała się wreszcie.

– Erica...

– Przekonać?!

– Proszę... – Carla zasłoniła twarz rękoma, kiedy Erica ruszyła w jej stronę; w jednej chwili przełącznik w jej mózgu przeskoczył na pozycję: koncentracja, ciemność, pustka, i cały umysł skupił się na obronie przed ciosami, bo wiedziała, że zaraz się posypią. Wiedziała też, że na nie zasłużyła.

– Kurwa, nie wierzę! Tego już za wiele. – Erica westchnęła i ruszyła obojętnie ku wyjściu.

Była w połowie schodów, gdy nagle dostrzegła cień majaczący za matową szybą w drzwiach i usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Zamarła, wyczuwając obecność matki na szczycie schodów. Dokonała szybkich obliczeń, kalkulując, czy zdąży zbiec na dół, ale zanim zdała sobie sprawę, że jest za późno, było już za późno. Wszystkie drogi ewakuacji były zablokowane – z tyłu Carla, po lewej ściana, po prawej karkołomny skok na szafkę z telewizorem.

Jedyne, co jej zostało, to przewaga wysokości, więc gdy rozwarły się drzwi, sprężyła się jak wąż gotowy do ataku.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Ali, tu Jen. Nie wiem, gdzie jesteś. Oddzwoń, proszę.

– Ali, jeśli jesteś w budynku, to przyjdź do mojego gabinetu. Muszę zamienić z tobą słówko, a potem chcę, żebyś pojechała do Carli Cockburn i z nią porozmawiała, zanim wydam oficjalne oświadczenie. Yyy... dobrze?

– Do kurwy nędzy, Ali, tylko bez głupich numerów! Wybrałaś zły moment na niesubordynację. Oddzwoń, do jasnej cholery.

– Ali, to znowu ja. Martwię się. Serio, dość tych wygłupów! Gdy to odsłuchasz, oddzwoń, żebym wiedziała, że nic ci nie jest.

Zaczynam panikować. Gdzie jesteś? Daj znać, że żyjesz x

– Co ty sobie myślisz? Chciałam już kazać ludziom cię szukać!

– Byłam nieosiągalna tylko przez półtorej godziny.

– W tym czasie pewnie zdążyłabyś przekroczyć granicę hrabstwa zamknięta w furgonetce. Rozum ci, kurwa, odjęło?

Dobre pytanie. Szczerze mówiąc, w tej chwili nie byłam pewna odpowiedzi.

– W porządku – powiedziałam, siląc się, by nie zabrzmiało to jak: „Stul dziób”. – Masz rację. Przepraszam, nie pomyślałam.

– Cóż, nie kupuję tego, ale bez względu na to, czy o tym pomyślałaś, czy nie, zniknęłaś podczas służby, więc teraz, kiedy już wiem, że zrobiłaś to sama z siebie, zasłużyłaś na ochrzan.

– Przyjęłam.

– Dobrze. A teraz powiedz mi, na czym stoimy. Co z Abbottami?

Cóż, też chciałabym wiedzieć. Oparłam się o maskę swojego wozu i spojrzałam na Sandrę, która tak samo opierała się o furgonetkę techników kryminalistycznych, pochłaniając przywiedłą kanapkę.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Sąsiedzi nie widzieli ich od tygodni – odparłam. – A niektórzy nawet od miesięcy. Dom wygląda na opuszczony i wiem, że nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków na temat włamania, ale z tego, co udało mi się zobaczyć przez okno, wszystko wydaje się być na swoim miejscu, przynajmniej na dole. Mają system alarmowy, więc jeśli jest on podłączony do naszej centrali i nie został aktywowany, to mogłoby sugerować, że do domu włamano się, gdy ktoś w nim przebywał. A jeśli tak było, jeśli włamano się tam pod obecność Sarah, a te klucze to tak naprawdę trofea, to ten brelok może świadczyć o tym, że nasz sprawca uprowadził ją z domu, po czym tam wrócił, żeby po sobie posprzątać albo z jakiegoś innego powodu, na przykład, żeby zdobyć DNA, które później podłożył w mieszkaniu Boona. – Dałam jej chwilę, żeby to przyswoiła. Właściwie spodziewałam się, że powie: „A może to była Erica”, ale usłyszałam tylko „hmm”, więc ciągnęłam dalej: – Sandra zdjęła kilka odcisków palców, ale nie robiłabym sobie zbytnej nadziei. Coś mi mówi, że to, czego szukamy, znajdziemy w środku, więc im szybciej zdobędziemy nakaz rewizji, tym lepiej.

– Tak, pracuję nad tym. Tymczasem Kevin próbuje się skontaktować z rodziną. Służby graniczne jeszcze się nie odezwały. Wyślę kogoś, żeby cię zmienić; nie ma sensu, żebyś tam czekała beczynn timer. Twoim priorytetem powinno być teraz znalezienie Eriki.

– Ktoś już odpowiedział na apel?

– Cóż, przydzieliłam... – Słyszałam, jak pstryka palcami, próbując sobie przypomnieć. – ...Annie i jeszcze kilka osób do odbierania telefonów. Ale na razie zgłaszają się same świry. Nie ma się czym ekscytować. Co powiedziała Carla Cockburn?

Już drugi raz wspomniała to nazwisko. Kim, do cholery, jest Carla Cockburn? Poskrobałam paznokciem po dolnej krawędzi telefonu i odparłam:

- Przepraszam, coś przerwało.
- Teraz mnie słyszysz?
- Tak.
- Dowiedziałaś się czegoś od mamy Eriki?

Ach tak, Carla.

- Twierdzi, że nie miała od niej żadnych wieści.
- Wierzysz jej?
- Nie, wciska kit.
- A jej mąż?
- Nie zastałam go.
- Kiedy będzie w domu? Jest nauczycielem, prawda? – Cholera wie.
- Wracaj tam i go przyciśnij. Robi się nerwowy, gdy go przesłuchujemy. Wyślę do ciebie mundurowych, w razie gdybyś musiała ich zatrzymać, więc wstrzymaj się, nie wiem, z pół godziny? Kevin powinien dotrzeć w tym czasie. Myślę, że gdy skończysz z Cockburnami, będziesz już mogła rozejrzeć się w domu Abbottów.

Zanosilo się na długi wieczór. Serce mi zamarło i zalała mnie fala niepokoju, skutecznie gasząc mój zapal do współpracy.

– Tylko nie Kevin – wyrwało mi się, zanim zdążyłam się pohamować.

Długą ciszę po drugiej stronie wreszcie przerwało westchnienie.

- Co jest między wami? – spytała.
- Co masz na myśli? – Grałam na zwłokę.
- Od wczoraj patrzycie na siebie wilkiem. O co chodzi?

Cała się spięłam.

- Co ci powiedział?
- Nic, nie rozmawiałam z nim, ale widać, że jesteście na siebie wkurzeni. Jeśli to coś osobistego, to lepiej zrób z tym porządek, i to już.
- To nie to – zaprzeczyłam, chociaż nie miałam pojęcia, jak jej to wyjaśnić, żeby nie zdradzić prawdy. Gdyby wiedziała, że Kevin przejrzał mnie na wylot i przestał mi ufać, raz-dwa wyleciałabym z zespołu. – Chodzi o to, że... – O Boże, naprawdę chciałam rzucić go lwom na pożarcie? Czulałam się, jakbym kopała szczeniaka, choć to nie

on narobił na dywan. – Ja...

Nie wiem, czy Jen wyczuła, że zamierzam wpakować Kevina w to gówno, czy po prostu miała dość czekania, ale przerwała mi, mówiąc:

– Wiesz co, właściwie masz rację. Kevin posiada sporą wiedzę, która mogłaby mi się teraz przydać.

Cholera, szkoda, że na to nie wpadłam.

– Czego ci potrzeba?

Na to pytanie znałam odpowiedź.

– Świeżej pary oczu – odparłam. – Najlepiej kogoś, kto nie spotkał Eriki ani tego, jak mu tam, ani nie dostał od nich po głowie. Jestem zmęczona i podchodzę do tego zbyt emocjonalnie, więc przydałby mi się ktoś opanowany i myślący analitycznie.

Wydawało mi się, że niemal słyszę, jak mruży oczy, zastanawiając się, co też, do cholery, chodzi mi po głowie. A już na pewno zdradził to jej głos, kiedy spytała:

– Chceesz... żebym przysłała analityczkę?

Nie próbowałam jej nawet tłumaczyć, że coś mi w niej nie pasuje i właściwie nie jestem pewna, czy chciałam mieć ją na oku, czy po prostu lubię jej towarzystwo. Odpowiedziałam tylko:

– Tak, dobry pomysł. Przyślij Annie. Myślę, że może być bardzo pomocna.

Annie zjawiała się po godzinie. Do tego czasu zdążyłam wyskoczyć do supermarketu, w którym była klimatyzacja, i kupić nam lody – nam, czyli sobie i Sandrze – i jeszcze magazyn muzyczny, o który mnie prosiła, a także kilka marchewek, bo przez cały dzień opychałam się tylko cukrem.

Siedziałyśmy w pięknym późnopołudniowym słońcu na zaniedbanym trawniku przed domem Abbottów, a Sandra grała mi na nerwach, przelatując listę najlepszych tegorocznych zespołów rockowych, żeby sprawdzić, ile z nich znam. Opowiedziała mi także o japońskiej kapeli pop-metalowej śpiewającej o czekoladzie; z jakiegoś powodu uznała, że może mnie to zainteresować. Poczułam

się trochę urażona, ale wiedziałam, że nie powinnam, więc robiłam dobrą minę do złej gry.

Nagle pod dom zajechało białe bmw serii 5 z przyciemnionymi tylnymi szybami, z którego wysiadła Annie. Stała teraz przy krawężniku, ciągnąc za kołnierzyk koszuli i dmuchając sobie w grzywkę.

– Szybko cię awansowano – stwierdziłam. – To samochód głównego inspektora.

Spojrzała na auto, wzruszyła ramionami i podeszła do nas.

– Teraz jeździ nim chyba inspektor Riley – oznajmiła. – Nie było innych wolnych. Muszę przyznać, że auto jest fajne, ale potrzebowałam dziesięciu minut, żeby rozgryźć, jak je odpalić.

– Z ogrzewaniem chyba też miałaś kłopoty – zauważyłam, przyglądając się kropli potu, która ześlizgnęła się po jej gładkiej brwi i skapnęła do kieszonki na piersi, po czym zwróciłam się do Sandry: – To Annie Fisher. Annie jest naszą nową analityczką. – (Naszą Annielityczką?). Każda z nich wykonała dziwny kolisty gest ręką, taki, jakim zwykle witają się dzieci, gdy spotykają się po raz pierwszy, zmuszone do wspólnej zabawy przez rodziców, którzy chcą mieć trochę czasu dla siebie. – Zna się na komputerach. – Zaśmiałam się, poklepując zachęcająco wolne miejsce obok na trawie. – Przepraszam, właśnie do mnie dotarło... Annie Analityczka.

Annie uśmiechnęła się ironicznie i usiadła. Ponownie poczułam subtelną woń alkoholu. Alkoholu i mięty.

– No więc co robimy? – spytała.

Sandra podniosła magazyn.

– Uczymy się muzyki – odparła z patyczkiem w zębach, jeszcze bardziej przeciągając i tak długie słowiańskie samogłoski. – Alisha nie ma o niczym pojęcia. Myśli, że Foo Fighters to kreskówka, a „Atomówki” to zespół. Annie, lubisz rocka?

Annie poruszyła się niespokojnie i wzruszywszy ramionami, podrapała się po głowie tuż przy kocyku.

– Nie wiem. – Roześmiała się. – Mam wiele zamiłowań, głównie

wstydliwych.

Sandra zmarszczyła czoło i pokręciła głową, smagając się po twarzy kruczoczarnymi włosami.

– Nonsens – zaoponowała. – Zamiłowanie to zamiłowanie. Nigdy nie wstydz się tego, co lubisz.

Pomyślałam o Edith i poczułam w brzuchu przenikliwe ukłucie.

– Chyba że, no wiesz, to coś nielegalnego – dodała.

– Chwila – wtrąciłam. – Powiedziałam ci kiedyś, że lubię taką jedną piosenkę Céline Dion, a potem przez tydzień mnie unikałaś.

Sandra westchnęła i przewróciła oczami.

– Nie mówię, że to coś złego – zripostowała. – Po prostu miałam dość słuchania, jak wyjesz. Jakby kto kota ze skóry obdzierał.

Spojrzałam na Annie. Wpatrywała się w stopy i uśmiechała nieznacznie jak ktoś świeżo przyjęty do grupy, jeszcze nie do końca obeznany z jej zasadami – po prostu siedziała ze spuszczoną głową, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Przyszło mi na myśl, że wytrwanie w tym uśmiechu wymagało od niej dużego wysiłku. Niełatwo być tą nową, zwłaszcza gdy zaczynają się osobiste pytania.

– Nie śmiesz mi to – powiedziałam. – Ale...

– Też mi nowość.

Och, ha, ha.

– Okej, dość tego – oświadczyłam. – To koniec naszej przyjaźni. Annie, zbieraj się. Masz dwie minuty na odpalenie silnika. Jedziemy wkurzyć ojczyma Eriki.

– Wreszcie kogoś innego – skwitowała ze złośliwym uśmiechem Sandra.

Nie powiedziałam Annie o pogardzie, jaką Richard Cockburn darzył policję, ani o plotkach, jakie krążyły na temat jego stosunku do kobiet.

– Pamiętaj – zwróciłam się do niej – masz być krytycznym obserwatorem. Słuchaj uważnie. Jeśli coś wyda ci się podejrzanym, zareaguj. Przyciśnij go. Wchodź w słowo. Zależ mu za skórę. Okej?

– Załatwione – przytaknęła.

Ma trochę szkliste oczy, pomyślałam. Może jest zmęczona. Sprawiała jednak wrażenie czujnej i skupionej, a także... nie byłam pewna, ale nie czułam już od niej alkoholu. Sądząc po tych kilku słowach, które zdążyła ze mną zamienić w drodze do Carli, myślała jasno i przytomnie. Prowadzenie bmw także nie sprawiało jej problemu, chociaż gdy już poradziła sobie ze skomplikowaną procedurą uruchamiania silnika i wreszcie ruszyła z miejsca, auto właściwie prowadziło się samo.

Tak czy owak, na podjeździe przed domem Carli stał tylko jeden samochód. Wydawało mi się, że stał tu też wcześniej. Może wróciłyśmy za szybko. Byłoby głupio. W każdym razie odwróciłam się do dwóch mundurowych, którzy czekali w wozie patrolowym trzy domy dalej, i pokazałam im uniesiony kciuk, na co odpowiedzieli w ten sam sposób, po czym wcisnęłam mocno dzwonek, skinieniem głowy nakazując Annie, żeby zaczęła walić do drzwi.

Ze środka dobiegł tupot prędkich kroków, a w matowej szybie pojawił się fragmentaryczny zarys zbiegającej sylwetki. Annie cofnęła się o krok.

– Gdzie, do chol... – Carla stanęła jak wryta, rozhuśtane drzwi wymknęły jej się z dłoni i z hukiem uderzyły o stojący za nią narożny stolik.

Jej włosy wyglądały tak, jakby dobrały się do nich ptaki. Przy bluzce brakowało dwóch guzików. Na czole czerwieniał wielki guz, a nozdrza były zatkane skrzepami krwi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Przysięgam na Boga, że nic nie wiem!

– Już dobrze. Carla, uspokój się i powiedz mi, co się stało. To sprawka twojego męża?

– Nie, nie, to był wypadek.

– Co? To, że tak cię urządził?

– Nic mi nie zrobił. Miałam wypadek, to nic takiego.

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Wyszedł.

– Zanim czy po tym, jak miałaś wypadek?

– Po. Nie wiem, co się pani wydaje, ale to nie był Richard. On nic nie zrobił.

– To nie był Richard?

– Nie.

– Więc kto?

Carla pokręciła tylko głową, twarz karmazynowa, oczy mocno zaciśnięte. Salon nie do końca wyglądał tak, jak ostatnio: w kącie strącona ze stolika lampa, na jednej z półek kilka poprzewracanych mosiężnych badziewek.

– Pani sierżant? – Annie podniosła telefon, który znalazła na podłodze tuż za progiem kuchni; ekran był strzaskany i zupełnie czarny.

– Carla, czy to twój telefon?

Otworzyła oczy i popatrzyła na komórkę. Ponownie pokręciła głową.

– Nie, jego.

– To też był wypadek? – spytałam.

Cisza.

– Wie, że tu byłam?

Skinęła głową.

– Wpadł w złość?

– Ja...

Czekałam. Usłyszałam, jak Annie odkłada telefon na blat szafki i człapie ku schodom, zatrzymując się u ich podnóża.

– Pani Cockburn, przepraszam, ale długo tu jechałyśmy. Toaleta jest na piętrze?

Carla spojrzała z poirytowaniem ponad moim ramieniem. Zawahała się.

– Już bywał agresywny, prawda? – podsunęłam.

– Co? – Przeskoczyła wzrokiem między mną a Annie, pokręciła głową, potem przytaknęła, w końcu machnęła lekceważąco ręką i odparła: – Proszę posłuchać... Yyy, tak, moja droga, nie krępuj się. Pani Green, nie wiem...

– Carla, gdzie ona jest? Gdzie jest Erica? Wiem, że wiesz. Jeśli teraz powiesz mi prawdę, nie będziemy musiały tego wałkować przez całą noc w komendzie.

Jej wzrok pomknął ku schodom i równie szybko wrócił, zatrzymując się na mojej twarzy. Zacisnęła szczęki i znowu zaczęła kręcić głową.

– Jest na górze?

– Nie!

– Jezu Chryste. – Zerwałam się z kanapy i popędziłam na piętro, krzycząc: – Annie!

– Tylna sypialnia – padło w odpowiedzi.

Dotarwszy na szczyt schodów, odbiłam się od ściany i chwiejnym krokiem dobrnęłam do Annie, która stała zupełnie wyluzowana w progu pokoju Eriki.

– Jest tu? – wysapałam. Ból rozdzierał mi udo niczym wtopiony w ciało ostry odłamek.

– Nie – odparła. – Ale spójrz.

Przecisnęłam się obok przez drzwi, żeby zobaczyć, na co wskazuje. Na komodzie Eriki, którą kilka godzin temu zajmowały jedynie trofea, stały teraz dwa kubki. Jeden biały i pusty, drugi niebieski z reszką

herbaty na dnie i słabym śladem szminki na brzegu.

– Carlo Cockburn, aresztuję cię pod zarzutem udzielenia pomocy przestępczyni. Masz prawo zachować milczenie, ale wszystko, co zataisz podczas przesłuchania, a następnie wyjawisz w sądzie, może zaszkodzić twojej obronie. Zrozumiałaś? – Zanim skończyłam mówić, Carla już szlochała. – Posłuchaj. Zabieram cię na komendę. Na miejscu lekarz obejrzy twoją twarz. Jeśli wiesz, gdzie przebywają Richard i Erica, to lepiej powiedz teraz i oszczędź nam czasu.

Cisza. Potok łez.

– Nie są razem. On wie, że wybierała się pani do domu Abbottów. Mógł tam pojechać.

– Do mnie?

Przytaknęła.

– Po co? Żeby mi też przyłożyć? Dlaczego miałyby mnie szukać?

– Bo...

– Powiedz to.

– Nie mogę.

– To nie on cię uderzył, tylko Erica?

Oddychała spazmatycznie, jakby coś ją dławilo w gardle. Poczekalam, aż to wykaszle.

– Uderzyła cię niechcący? Próbowala cię bronic?

Znowu nabrała wody w usta.

– Nie mogę pani pomóc – oświadczyła. – A pani nie może mnie do tego zmusić. O mojej córce można powiedziec wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jest morderczynią!

– Annie, mozesz poprosic funkcjonariuszy?

– Jasne – przytaknęła i podała mi ramkę z fotografią, która stała przy telewizorze. Były na niej Carla i jeszcze dwie osoby, których nie znałam: nastoletnia dziewczyna oraz wysoki, łysiejący mężczyzna w drucianych okularach, który wyglądal jak nauczyciel geografii. Nieobecność Eriki wręcz razila w oczy.

– Richard cię nie poprze, prawda? Jego telefon jest zepsuty, więc

pewnie pojechał, żeby osobiście mi powiedzieć, że tu była. Mam rację?

Carla spojrzała na zdjęcie w moich dłoniach i zanosła się szlochem. Wiedziałam, że już nic z niej nie wycisnę.

– W porządku – stwierdziłam i poczułam się jak ostatnia jędza, bo dotarło do mnie, że nie tak powinnam z nią rozmawiać. Spokorniałam, usiadłam obok niej i ujęłam jej drżącą dłoń. – Hej – zwróciłam się do niej na tyle spokojnie i łagodnie, żeby jej lament mnie nie zagłuszył. Zmusiłam ją, by spojrzała mi w oczy, i przywoławszy na twarz mój najmiłszy uśmiech, powiedziałam: – Carla, pomogę ci. Zadbam o to, żebyś była bezpieczna. Ale musisz mi zaufać i ty też musisz mi pomóc. Okej?

Niemal słyszałam, jak pęka jej serce. Obie wiedziałyśmy, że nigdy mi nie zaufa.

– Nie mm...mogę – wyjąkała przez łzy. – To moja córka. Nie mogę pani pomóc i pani o tym wie.

To były najszczerze i najprawdziwsze słowa, jakie kiedykolwiek od niej usłyszałam.

– Słuchaj, Sandra, jest tam ktoś z tobą? – spytałam przez komórkę.

Sandra na drugim końcu zawahała się przez chwilę, po czym odparła:

– Nie, a co?

– Byłaś tam przez cały czas?

– W zasadzie tak.

– Ruszałaś się z miejsca?

– Cholera, nie jestem słoniem. Czasami muszę się wysikać.

– No tak, ja... – Chryste, dzisiaj naprawdę mam problem z intonacją.

– Wybacz, nie to miałam na myśli.

– Wiem. – Zachichotała. – Tylko się droczyć. Co się dzieje?

Zaczęłam odczuwać zmęczenie, nie mogłam zebrać myśli. Byłam pewna, że za moment pogubię się w tym wszystkim.

– Nic, po prostu ktoś może mnie tam szukać. Richard Cockburn, ojczym Eriki Shaw. On ma... – Zajrzałam do notesu, w którym Annie

zapisła dane świeżo ściągnięte z policyjnego rejestru. – Szare volvo. – Odczytałam rejestrację. – Wyślę ci jego zdjęcie. Jeśli się pojawi, natychmiast do mnie zadzwoń, okej?

Ponownie zapadła cisza, a potem usłyszałam:

– Zaraz, zaraz. Chyba widziałam to volvo.

W tle słychać było szelest ubrania, trzask drzwi furgonetki i stukot martensów na podjeździe.

– Jesteś tam?

– Jestem.

Powtórzyła numer rejestracyjny.

– Zgadza się?

Raz jeszcze sprawdziłam notatki i skinęłam głową. Po chwili jednak dodałam:

– Tak – bo zapomniałam, że rozmawiamy przez telefon, więc, do jasnej cholery, nie mogła mnie widzieć.

– Taa, stoi o tam – powiedziała, zapewne wskazując auto palcem i niewątpliwie czując się równie kretyńsko jak ja przed chwilą. – Siedzi w środku, tak mi się zdaje. Chcesz z nim porozmawiać?

– Pewnie, daj go do telefonu.

– Okej, poczekaj.

Tupot butów na asfalcie. Szum przejeżdżającego samochodu. Sandra nucąca pod nosem. Świergot ptaków.

Słyszałam, jak puka do okna i bierze gwałtowny oddech:

– Jezu Chry... – a potem jej komórka uderzyła o ziemię i słyszałam już tylko odgłosy paniki.

Wskoczyłam do bmw, odpaliłam silnik i wrzuciwszy bieg, krzyknęłam:

– Wezwij posiłki!

Annie, która siedziała bokiem, odwrócona do otwartych drzwi, i rozmawiała przez telefon, odruchowo wciągnęła nogi do środka i wrzasnęła przerażona, gdy wcisnęłam gaz do dechy.

Volvo Richarda stało przy krawężniku, jeden dom dalej od domu

Abbottów. Zaparkowałam za nim po skosie i wyskoczyłam z wozu, jeszcze zanim przestał się kołysać. Poszukałam wzrokiem Sandry, która jak się okazało, stała roztrzęsiona w drzwiach furgonetki z przyciśniętym do ucha telefonem i dawała mi znak wolną ręką, a potem rozejrzałam się, czy kogoś jeszcze tu nie ma. Nie dostrzegłam żadnego ruchu, za to w dali usłyszałam wycie policyjnych syren zbliżających się w stronę posesji.

– Wszystko w porządku? – krzyknęłam.

Sandra pokiwała głową, wrzasnęła coś do komórki, a potem się rozłączyła.

– Tam, w aucie – wskazała.

Jasne. Wiedziałam już, że to nie będzie miły widok.

– Annie – rzuciłam, czując, jak napędzane adrenaliną serce wali mi ze strachu. – Zadzwoń do inspektor Riley i przytrzymaj ją na linii. – Właściwie nie było takiej potrzeby, ale skoro nawet Sandra straciła ducha, to lepiej żeby Annie tego nie widziała i skupiła się na czymś innym. Wolałam, żeby nie zarzygała miejsca zbrodni swoim płynnym lunchem.

Wzięłam głęboki oddech, nasłuchując zbliżających się syren. Patrzyłam, jak pręgowany kot przecina spacerkiem jezdnię na wysokości sąsiedniego domu i wskakuje na brzeg przepelnionego kubła na śmieci na przeciwległym podjeździe. Zwierzę wsunęło nos pod uchyloną pokrywę, a potem, obwąchawszy wszystko dokładnie, przybrało jakby płynną postać i przeciekło między workami, znikając w środku. Wciągnęłam w nozdrza gorące powietrze i pomyślałam, że może też powinnam się rozpuścić. To, co poczułam, nie wróżyło nic dobrego. W powietrzu wisiało coś złego, coś mrocznego.

Raz jeszcze obejrzałam się na Sandrę, która obdarzyła mnie tylko smutnym uśmiechem. Zacisnęłam więc pięści, stuknęłam obcasami i podeszłam do volvo od strony kierowcy.

Najpierw ujrzałam krew. Mnóstwo krwi. Ściekała po przedniej szybie, skapując na deskę rozdzielczą; wyglądało to tak, jakby ktoś wstrząsnął otwartą puszką czerwonej farby. Beżowa kierownica była

pokryta lepką jasnoczerwoną powłoką prześwitującą w miejscach, gdzie krew spłynęła, wsiąkając w spodnie kierowcy.

Ten natomiast siedział w miarę prosto, jego wyjściowe buty wciąż spoczywały na pedałach, a dłonie leżały po bokach zwrócone wnętrzem do góry. Nadal był przypięty pasami, choć na niewiele mu się to zdało.

Richard Cockburn miał poderżnięte gardło, i to głęboko.

– Widziałam, jak zajechał, ale nie zwracałam na to uwagi – powiedziała Sandra, która wyrosła tuż za mną. – Usłyszałam trzaśnięcie zamykanych drzwi, ale nie spojrzałam. Siedziałam w furgonetce i nie widziałam, żeby coś się działo. Przepraszam, że spanikowałam. Nie byłam przygotowana na taki widok. Walnęłam w szybę, i kurwa, odpadła mu głowa.

Nie było to takie dalekie od prawdy. Cokolwiek przecięło szyję aż do krtani, zatrzymało się dopiero na kręgosłupie, i teraz tylko on łączył czaszkę z resztą ciała. Głowa leżała na ramieniu, ukazując czysty przekrój poprzeczny szyi z wyjątkiem poszarpanego fragmentu z tyłu, gdzie mięśnie przegrały walkę z siłą ciężenia.

To wszystko wydało mi się aż nadto znajome. Ta krew. Cała ta krew. Ta otwarta, brocząca rana: żywoczerwone mięso, żółta tkanka tłuszczowa i ciemne, przecięte, krwawiące naczynia. To było ostatnie, co widziałam, zanim zemdlałam na kanapie tamtego mężczyzny, i odtąd widziałam to także za każdym razem, kiedy zasypiałam, i za każdym razem, kiedy się budziłam. Widziałam to również na zdjęciach z prosektorium w Swansea. I teraz, jak na złość, zobaczyłam to tutaj, tuż pod domem Sarah Abbott.

Co więcej, miałam przez to nie lada dylemat. Wiedziałam, na kogo wskażą oskarżycielskie palce; Erica była Wrogiem Publicznym Numer Jeden, zbiegiem, poszukiwanym za morderstwo co najmniej dwójki moich przyjaciół i kolegów z pracy. I nawet jeśli to nie ona trzymała nóż, jej zaszłości z Richardem nie pozwalały sądzić inaczej.

Po raz pierwszy naszły mnie poważne wątpliwości. A co, jeśli Annie miała rację, gdy rozmawiałyśmy w gabinecie Jen, co teraz zdawało się

tak odległe w czasie? Co, jeśli wszystko poprzekręcałam? Co, jeśli byłam w błędzie? Co, jeśli to rzeczywiście Erica siedziała wtedy za kierownicą?

Pozwoliłam, by te myśli ściekły w głąb mrocznych zakątków mojego umysłu, obserwując, jak cztery radiowozy z błyskiem świateł i wyciem syren wpadają na ulicę. A potem przetałam twarz ręką, usuwając to wszystko jak gąbką z tablicy, bo bez względu na to, jak było naprawdę, teraz na głowie miałam o wiele większe zmartwienie.

Wiedziałam, kto wykonał to cięcie, i do cholery, z całą pewnością nie była to Erica Shaw.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Erica Shaw tak naprawdę siedziała w tym czasie za kierownicą starego krowiastego mercedesa, który należał do jej zmarłej babci, i jechała drogą A11 ze stałą prędkością stu dwunastu kilometrów na godzinę. Przez dwadzieścia minut od momentu, w którym Sandra dokonała makabrycznego odkrycia, przebijała się przez formujący się z wolna korek na obwodnicy Norwich, a czterdzieści minut później, po krótkim postoju w Tesco, gdzie kupiła benzynę i jeszcze kilka artykułów pierwszej potrzeby, zjechała z drogi A149 u szczytu pętli, jaką tworzyła, zawijając niemrawo w głąb lądu. Dalej przeciskała się niczym czołg między żywopłotami oraz wiejskimi bramami, podążając za nawigacją w telefonie do ostatniego miejsca na Ziemi, w którym chciałyby się znaleźć.

Po raz ostatni pokonywała tę trasę dwanaście lat temu, siedząc na tylnej kanapie renault espace i po raz enty oglądając „Toy Story 2” ze swoją przyjaciółką Marie, i teraz nic już nie pamiętała – ani szpalerów drzew, ani odległej chaty z absurdalną ręcznie malowaną reklamą okien i drzwi na wyblakłej, rozpadającej się tablicy, ani walącej się starej stodoły z zapadniętym dachem, ani uroczych domków z przydrożnymi stoiskami, na których sprzedawano nakrapiane jajka, polne kwiaty i świeżo ścięte szparagi.

Co więcej, o tym, że dojechała na miejsce, dowiedziała się dopiero w chwili, gdy punktualnie o osiemnastej znaki przestały wskazywać drogę do Cart Gap, a trakt nagle się skończył.

Tamte lata wyryły się w jej pamięci jako epickie, niemające końca i niesamowicie upalne, jeszcze bardziej upalne niż teraz, gdy stała plecami do zachodzącego słońca, spoglądając na długą, stromą rampę do wodowania łodzi ratowniczych – jedyny punkt rozpoznawczy, jaki zapamiętała. Wspomnienia te miały jednak gorzki posmak.

Ostatnio była tu pod koniec wakacji – ostatnich wakacji, które spędziła z ojcem, zanim... wydarzyło się to wszystko. Zanim ludzie zaczęli szeptać za jej plecami, zanim przyjaciele przestali ją odwiedzać, zanim ojciec zniknął na trzy dni i wrócił zapijaczony, i wreszcie zanim nastał grudzień, a wraz z nim tamta środa tuż przed przerwą świąteczną w szkole.

To był zwykły dzień, jeśli w ogóle można uznać coś takiego za zwykłe. Dokądkolwiek się udała, wszędzie towarzyszyły jej szepty. Stojące w grupkach dziewczyny, które uważała za przyjaciółki, rozstępowały się, zmuszając ją do przejścia środkiem, a gdy to robiła, ich spojrzenia paliły ją żywym ogniem. Dzieciaki, których nawet nie znała, wpychały się przed nią do kolejki po lunch. Najgorsze jednak były pełne współczucia miny nauczycieli, kiedy na każdej lekcji siedziała samotnie w ławce.

Tylko Marie z nią rozmawiała. Erica zastanawiała się teraz, co nią kierowało: poczucie winy, wstydu czy skruchy, czy może po prostu Marie tak samo jak ona nic z tego nie rozumiała. Bo przy całej tej wrogości, jakiej doświadczyła ze strony rówieśników, najbardziej bolesne było to, że nikt jej nie powiedział, czym sobie na to zasłużyła.

Z czasem, ma się rozumieć, poskładała to sobie w całość. Któregoś pięknego wiosennego poranka, wspominając przy brunchu wakacje swojego dzieciństwa, ujrzała rzecz jasno i wyraźnie, tak jak teraz, stojąc na szczycie rampy. Cała ich piątka – mama, tata, ona, Charlotte i Marie – schodziła nad wodę, dźwigając koce, ubrania i parawany oraz torby termiczne pełne mdłych kanapek, chipsów i soków owocowych w kartonikach.

Przemierzali kilometry plaży, klucząc między opalającymi się ludźmi, tak by nie obsypać nikogo piaskiem, dopóki nie dotarli do miejsca, w którym nie było już kogo obsypywać. Kawał drogi od samochodu. Kawał drogi od toalety. Gdy którejś z nich zachciało się siku, musiały kucać w jakiejś grocie. Ale poza tym pluskały się z Marie w wodzie, zbierały kamyki i budowały fantazyjne zamki z piasku z komnatami dla zabawkowych figurek, po czym cierpliwie wznosiły

je od nowa, bo Charlotte zwykle burzyła je łąpatką. Tata z kolei przeszkadzał mamie, gdy ta próbowała czytać.

W południe wołał wszystkich na lunch i całą gromadą rozsiadali się na kocu, pochłaniając kanapki, które zawsze były całe w piasku, choćby nie wiadomo jak uważali. A potem ogłaszał, że idzie po lody do furgonetki na szczycie klifu.

– Erica, dla ciebie cornetto, jeśli dobrze pamiętam? – pytał.

Przewracała wtedy oczami i odpowiadała z westchnieniem:

– Nie, tato, wiesz, że chcę magnum, tak jak zawsze.

– Nawet ja to wiem – potwierdzała mama, a on pokazywał jej uniesione kciuki, zakładał japonki i roznosił piasek po całym kocu, patrząc na reakcję dziewczynek, jakby nigdy wcześniej tego nie przerabiali.

– Marie. Chodź, pomożesz mi nieść.

I odchodzili w kierunku przeciwnym do tego, skąd przyszli, zostawiając Ericę, żeby pomogła matce posprzątać po lunchu i wyczyścić Charlotte buzię. Po dwudziestu minutach wracali z lodami, a Marie zawsze wyglądała wtedy na lekko wystraszoną.

Aż do tego wiosennego poranka Erica ani razu nie zastanawiała się nad tym, dlaczego lody nigdy nie były roztopione, chociaż droga zajmowała im zawsze dwadzieścia minut. Ani dlaczego tata po prostu nie parkował bliżej furgonetki, żeby na pewno się nie roztopiły.

Tak czy owak, jeśli to, co się wydarzyło, miało związek z Marie, nikt nawet słowem jej o tym nie wspomniał. Gdyby ktoś kiedyś raczył ją oświecić, przyjęłaby to do wiadomości, chociaż sama nigdy nie próbowała się dowiedzieć. Rodzina Marie przeniosła się do Nowej Zelandii, Carla była mistrzynią w dochowywaniu tajemnic, a Erica i tak nie mogła przywrócić życia ojcu, którego znalazła w garażu, gdy zwisał z krokwi.

Łódź ratownicza przybyła tuż przed dziewiętnastą. Zjechała z rampy na naczepie przymocowanej przegubowo jak owad do niebieskiego ciągnika, prawdziwej kolubryny poruszającej się na

żebrowanych oponach, wyższych od Eriki. Dudniący silnik wysokopiętny wykrztusił z siebie nieświeże opary przez rury wystające po obu stronach podwyższonej kabiny, kiedy pojazd zjeżdżał za naczepą i łodzią do wody; jednocześnie załoga ochotników brnęła obok, gotowa wejść na pokład i zwodować łódź.

Erica siedziała w cieniu klifu i patrzyła, jak niewielki tłum ostatnich plażowiczów, którzy przyszli obejrzyć widowisko, zaczyna się powoli rozchodzić. Nadciągał przypływ; od wody powiał chłód i przeszył ją dreszczem. Obserwatorzy stali jeszcze w słońcu, stosownie roznegliżowani, z wyjątkiem jednej czy dwóch osób, które owinęły się ręcznikami. Dzieci z kolei biegały między nogami rodziców, goniąc się w kółko, trając porzucone zamki z piasku i wpadając w wykopane doły.

Po dwudziestu minutach łódź ratownicza wróciła tak samo, jak odpłynęła – bez żadnych dramatów, tylko z załogą na pokładzie. Ciągnik pozostawiony na piaszczystym nabrzeżu obudził się z drzemki z warkotem, wyrzucając w górę chmurę czarnego dymu; jakiś mężczyzna ponaglał gapiów, żeby się cofnęli, kiedy maszyna zaczęła opuszczać naczepę z powrotem do wody.

Po chwili pojazd wraz z naczepą był już niemal całkiem zanurzony. Sternik umiejętnie nakierował łódź, po czym wrzucił wsteczny bieg. Motorówka ruszyła gwałtownie do tyłu, wpływając na naczepę między bocznymi barierkami, a wtedy z rufy zeszło dwóch członków załogi – jeden stabilizował łódź, drugi zaczepił hak.

Erica patrzyła jak urzeczona, gdy ratownicy zabezpieczali motorówkę, a kiedy sami wdrapali się na pokład, kierowca ciągnika obrócił się na siedzeniu i wdepnął pedał gazu.

Niestety nic się nie wydarzyło. Były dym i hałas, ale maszyna ani drgnęła. Kierowca ponownie dodał gazu, a morze spieniło się i zakotłowało nad buksującymi w szale kołami, jednak zamiast ruszyć do przodu, ciągnik zaczął się cofać, zakopując się w morskim dnie i narażając na pewne zatopienie przez wzbierające wody przypływu. Przez tłum przebiegła fala ekscytacji, kiedy maszyna zgięła się w pół,

desperacko szukając przyczepności i jeszcze bardziej zagrzebując się w mule.

Załoga opuściła pokład, zeskakując z tyłu naczepy i zmierzając wpław do brzegu. Kierowca tymczasem otworzył właz w dachu i wspiał się na siedzenie, wzruszając bezradnie ramionami.

Erica parsknęła śmiechem. Po raz pierwszy od wielu tygodni szczerze się uśmieła. Jeśli istniała jakaś metafora opisująca jej nieudaczną życie, to nie miała wątpliwości, że właśnie na nią patrzy.

Wstała, rozcierając gołe ramiona, i zaczęła oddalać się od rampy, nie dbając o rozgrywający się za jej plecami dramat.

W domku było ciepło; oprócz pełnej butli gazowej Erica miała też bieżącą wodę i prąd, za co po cichu dziękowała Carli i jej trudnej sytuacji, która zrodziła potrzebę posiadania kryjówki.

Ugotowała makaron i wymieszała go ze słoiczkiem zielonego pesto, po czym zjadła przy stole, spoglądając na morze. Po posiłku rozsiała się z filiżanką herbaty, dzieląc swoją uwagę między książkę, którą kupiła pod wpływem impulsu w supermarkecie, a ciągnik rolniczy wyciągający z wody nieszczęsną maszynę.

Wreszcie gdy słońce skryło się za horyzontem, wyjęła z zamrażarki magnum z podwójną warstwą czekolady, włączyła lampkę w sypialni, rozsiała ubranie po całej podłodze, położyła się do łóżka i otulona miękką żółtą poświatą pograżyła w lekturze, dopóki powieki nie zaczęły jej ciążyć.

To miejsce było jedyną ostoją Carli, jej jedynym aktem buntu. Nigdy nie opowiedziała o nim Richardowi, a to znaczyło, że nikomu innemu także nie piśnie słowem. Erica o tym wiedziała. Zasnęła więc z uśmiechem na ustach i błogą świadomością, że nikt jej tu nie znajdzie.

Z początku myślała, że pocztówka, którą znalazła na wycieracze, trafiła tam przez jakąś dziwną pomyłkę. Numer domu się zgadzał, ale to nie była ta ulica, a miejscowość, o którą chodziło, była oddalona

o wiele kilometrów. Poza tym nie znała nikogo o tym nazwisku.

Z konsternacją wpatrywała się w kartkę, opychając się bekonem i jajkami na tostach i popijając to wszystko słodką herbatą. Podniosła ją i spojrzała z ukosa pod rażące światło porannego słońca, czy przypadkiem urwista linia brzegowa na zdjęciu nie pokrywa się z tym, co widzi za oknem.

Dopiero gdy obróciła ją w dłoniach, chyba już po raz dziesiąty, z zaskoczeniem odkryła, że w dolnym rogu, naprzeciwko adresu, widnieje wiadomość. A raczej instrukcja.

Serce jej zamarło. Ponownie odwróciła pocztówkę i jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

Później sprawdzi, co to za miejsce, i potwierdzi to, co i tak już wiedziała. Ale teraz po prostu schowała kartkę pod książkę, dopiła herbatę, przeżyła lekki atak paniki i wreszcie załapała się łzami, zadając sobie to jedno pytanie, na które z całą pewnością nie chciała znać odpowiedzi:

Kim była Annie Fisher i czym sobie na to zasłużyła?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Środa, szósta trzydzieści rano

Annie znów obudziła się pijana, trzy godziny po tym, jak usnęła na kanapie. Promienie słoneczne sączyły się boleśnie do jej oczu pomiędzy niedbale zaciągniętych zasłon. Zapaliła papierosa i wypaliła go na leżąco, ostrożnie przekręcając szyję, aby rozluźnić sztywny kark, i jednocześnie starając się skupić na rzeczach, które jej nie przerażały. Pranie: miała całą górę prania. To nie było przerażające. Pizza: ta z sieci Domino's, z mieloną wołowiną, słodką kukurydzą i papryczkami jalapeño, którą wepchnęła w siebie wczoraj o dwudziestej drugiej podczas przerwy w trakcie przesłuchania Carli Cockburn na komendzie w Thetford, była całkiem smaczna i sycąca. Co więcej, z każdym kęsem smakowała jej coraz bardziej, i to do tego stopnia, że niemal warknęła, kiedy musiała się nią podzielić z mundurowym personelem.

Co jeszcze? Facebookowa grupa poświęcona przygotowaniom do zjazdu absolwentów z okazji dziesięciolecia ukończenia szkoły, do której została dodana przez kogoś, o kim już dawno zapomniała i przez te wszystkie lata ani razu nie pomyślała? Nie. To akurat było przerażające, bo chyba każdy ma jakieś traumatyczne przeżycia związane ze szkołą.

Jedni dźwigali brzemień nierealistycznych oczekiwań apodyktycznych rodziców. Inni byli nieśmiali lub zamknięci w sobie i nie potrafili znaleźć wspólnego języka z rówieśnikami. Jeszcze inni wstydzili się tego, kim są, więc nieustannie pozowali, udając kogoś innego. Byli też tacy, którym nie szło w sporcie i w tych rzadkich przypadkach, kiedy nie udało im się wymigać od wuefu, jako ostatni

załapywali się do drużyny, i tacy, których uważano za mięczaków, jełopów albo po prostu wkurzających i odstających od reszty, przez co latami znosili codzienne tortury. A niektórzy – Annie coś na ten temat wiedziała – pasowali do każdej z tych grup i pewnie jeszcze do wielu innych. I właśnie tacy ludzie, jak sobie uświadomiła, gasząc niedopałek na stoliku, bo nie mogła dosięgnąć popielniczki, nie uczęszczają na zjazdy absolwentów.

Tak więc Annie skupiła myśli na swoim starym dżipie w kolorze szmaragdowej zieleni – symbolu dawnych czasów, kiedy jej życie było pełne miłości i śmiechu, a jej kariera nie wisiała na włosku. Zastanawiała się, co się z nim stało. Czy ten parszywy kutas, który go ukradł, rozebrał go na części i sprzedał albo wyeksportował do Ugandy lub cholera wie gdzie, czy może w tej właśnie chwili ktoś siedział za jego kierownicą, gromadząc własne radosne wspomnienia?

Stwierdziła, że według wszelkiego prawdopodobieństwa dżip podzielił los miłości, śmiechu i kariery, zapaliła więc kolejnego papierosa i po prostu pomyślała, że zaparzy sobie herbaty.

Zanim się jednak dźwignęła i wyprostowała – czemu towarzyszyło niepokojące strzyknięcie w dolnym odcinku pleców – a potem powłócząc nogami, dotarła do kuchni i nastawiła czajnik, wszystkie te radosne myśli w nieunikniony sposób gdzieś prysły. Próbowwała się zatem skupić na Carli Cockburn, w szczególności zaś na natychmiastowej zmianie, jaka dokonała się w jej wyglądzie i zachowaniu na wieść o tym, że jej mąż został zamordowany tuż pod domem Abbottów.

Z braku mniej trywialnej analogii można tylko powiedzieć, że było to jak pstryknięcie przełącznikiem. Drgawki i płacz ustały tak nieoczekiwanie, jakby to jej ktoś poderznął gardło. Usztywnione dotychczas ramiona opadły, wyprostowane jak struna plecy dopasowały się do oparcia krzesła, a zaciśnięte szczęki nagle się rozluźniły, całkowicie zmieniając wygląd jej twarzy – z kanciastej, pomarszczonej i stężałej w łagodną, smukłą i młodą. Bez względu na to, jaką poniosła stratę i jak bardzo ją to dotknęło, Carla – tak samo jak

Annie – w jednej chwili zrozumiała, że wreszcie jest wolna. I od tej chwili nie odezwała się już ani słowem.

Annie zadumała się nad tą wolnością, szykując sobie filiżankę kawy i tost z grubą warstwą dżemu. Obserwowała ptaki za oknem i rozmyślała, jak by się czuła, gdyby to ona odzyskała wolność kosztem czyjegoś życia. Uznała, że to musiałyby być ktoś, za kim nikt by nie tęsknił – to się zgadza – i kto sam odebrał komuś życie – to też się zgadza. Tylko czy byłaby zdolna osobiście pociągnąć za spust, zadać cios nożem lub po prostu zepchnąć drania ze szczytu urwiska, pozwalając, żeby roztrzaskał się o skały, został zmyty do morza i pożarty przez kraby, ryby bądź wygłodniałe syreny? Jak najbardziej, pomyślała, ale musiałyby być wystarczająco pijana.

Było jednak coś, na co z całą pewnością nie była wystarczająco pijana – ani wczoraj, ani dziś rano – i prawdopodobnie nigdy nie będzie.

Żadna ilość wódki nie usprawiedliwiłaby zrobienia użytku z tego tysiąca funtów, które znalazła na swoim stoliku do kawy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W moim śnie, w którym między innymi pojawił się nowy gatunek pająka przypominający wyglądem Trumpa oraz samochód zbudowany od A do Z z ludzkich kości, Erica Shaw bombardowała mnie oskarżeniami, zarazem rozczłonkowując się kawałek po kawałku, i właśnie wtedy obudził mnie telefon od Jenny Riley.

– Mamy przełom – oświadczyła. – Zadzwoił do nas anonimowy mężczyzna, twierdząc, że jego pies prawdopodobnie znalazł czyjś łokieć.

Mój umysł opanowała gmatwanina co najmniej sprzecznych myśli. Jeśli Erica została poćwiartowana, to chyba jednak nie była naszym zabójcą, w związku z czym miałam cichą satysfakcję, bo wyszło na moje. Jednak z drugiej strony, jeśli zgodnie z tym, co przypuszczałam, była niewinną ofiarą, to nie zdołałam jej ochronić i wszystko spieprzyłam. I teraz właściwie już nie słuchałam, co mówi Jenny, bo byłam wściekła, że sprofanowane zwłoki Eriki to dla niej tylko „przełom”, a tak w ogóle to jak to, kurde, łokieć?

Kiedy się rozłączyła, zalałam się łzami, a przez moją głowę przemknęły zdjęcia Eriki w szkolnym mundurku i migawki z każdego naszego spotkania w domu tamtego mężczyzny: jak stała w szlafroku z suszarką, szukając kontaktu, zaskoczona moim widokiem; jak ścisnęłam ją za gardło, a ona mnie, gdy się szamotałyśmy na mokrym żwirze, walcząc o broń.

Przypomniałam sobie, że rozpamiętywanie tego, co było, nikomu jeszcze nie wyszło na dobre; gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz, to oczywiście mogłabym ją uratować. Ale nie uratowałam. Proste, a jednak świadomość tego faktu sprawiła, że jeszcze bardziej zalałam się łzami. Szlochałam coraz mocniej, dopóki nie zaczęłam się dławić i kasłać, i mało co nie zwymiotowałam pod prysznicem.

O tej porze podróż do Two Mile Bottom zajęłaby mi półtorej godziny, ale dotarłam tam w dwadzieścia minut – z sercem w gardle i dłońmi tak mocno ściskającymi kierownicę, że pobielwały mi kostki palców. Jenny udostępniła mi w aplikacji mapę z trasą, więc bez problemu znalazłam wjazd do lasu. Stojący na warcie konstabl otworzył szlaban i ruszyłam wzdłuż wyżłobionego zwirowanego traktu z prędkością niebezpieczną zarówno dla felg, jak i dzikiej zwierzyny.

Po czterystu metrach szpalery wysokich, niewzruszonych sosen jakby zgęstniały, zacienione przerwy między nimi zdawały się węższe, ciemniejsze. I nagle las się urwał.

Po lewej wyłoniła się otwarta przestrzeń, przecinający gąszcz wąski pas trawy, za którym biegły tory kolejowe. Tuż obok grunt opadał, tworząc wielki okolony drzewami krater o średnicy około stu metrów i nieznanej mi głębokości.

Na miejscu zastałam dwa wozy patrolowe, furgonetkę techników kryminalistycznych i służbowego focusa, ale dostrzegłam tam tylko jedną osobę: Kevin stał przy swoim wozie z wielkim foliowym workiem w ręce i wpatrywał się tępo w telefon, gdy zajechałam i wyskoczyłam z auta, usiłując złapać oddech.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest Erica?

Kevin spojrzał na mnie, jakbym straciła rozum.

– Kurwa, to pytanie za milion dolarów.

Mój mózg doznał paraliżu, a twarz zastygła z rozdziawionymi ustami, pozwalając, by gorące, gęste powietrze paliło suche gardło. Wodziłam wzrokiem między Kevinem i jego przymrużonymi oczami a workiem; mój umysł wahał się między konsternacją, niepewną ulgą i strachem.

– To znaczy...

Wtedy dotarło do niego, o co pytałam.

– Och – powiedział, potrząsając workiem. – Myślałaś, że... Nieee, to nie ona.

Nie był to właściwie łokieć, tylko ręka odcięta tuż poniżej barku i tuż powyżej nadgarstka, zgięta w stawie łokciowym, by mogła zmieścić się w worku. Rozerwana skóra i poszarpane mięso zdążyły już szernieć, spod tkanek wystawała kość.

Poczułam, jak moje zdarte gardło wzbiera żółcią.

– Zajebicie – wydyszałam. – To czyje to zwłoki?

Spodziewałam się, że zagra na moim ewidentnym cierpieniu, zada mi męki, budując suspens, przeciągnie pełne wyczekiwania napięcie, zanim dokona wielkiej odsłony. Ale nie zrobił tego. Po prostu odwrócił rękę, ukazując dolny fragment tatuażu – celtycką opaskę z jakby złotą obwódką.

– Właśnie na to patrzyłem – oświadczył, potrząsając telefonem w drugiej dłoni. – Wydaje mi się, że to Samantha Halloran.

Żołądek wywrócił mi się na drugą stronę. Byłam niebezpiecznie bliska zwrócenia jego zawartości i Kevin to widział, bo szybko zakryłam usta dłonią, próbując powstrzymać wymioty.

– Dobrze się czujesz? – spytał, choć było jasne, że nie.

Przytaknęłam.

– Pokaż mi, gdzie ją znaleziono.

Zawahał się przez sekundę, taksując mnie krytycznym spojrzeniem przymrużonych oczu. Wreszcie skinął głową i spytał:

– Masz kalosze?

Miejsce zbrodni znajdowało się po drugiej stronie torowiska, co wiązało się z koniecznością sprawdzenia, jak głęboka jest ta dziura w ziemi. Dość głęboka, jak się okazało, ale łagodne nachylenie zbocza, przetarta ścieżka i rozpięta asekuracyjnie taśma policyjna ułatwiały zejście.

– To wyrobisko krzemienne – poinformował mnie Kevin, chociaż wcale go o to nie prosiłam. Zaprowadził mnie do wylotu tunelu pod torami, którym woda sączyła się z wolna między stawem na dnie krateru a tym, co znajdowało się po drugiej stronie. – Urobek transportowano kiedyś barkami. Tunel ciągnie się aż do rzeki. –

Wskazał odległy koniec, gdzie dostrzegłam jedynie błoto i rozrośnięte chwasty.

Odwróciłam się, obrzucając spojrzeniem strome, porośnięte drzewami zbocza oraz nieprzenikniony gąszcz splątanych jeżyn i spadłych gałęzi.

– Upiorne – mruknęłam do siebie, ale też w niedbałym uznaniu lekcji historii, której udzielił mi Kevin. – Mamy tędy przejść? – Przyjrzałam się uważnie rozpiętemu nad nami łukowi. Kruszejąca konstrukcja z cegieł była wzmocniona gigantycznymi rdzawymi nitami, przypuszczalnie aby zapobiec zawaleniu. Wyglądała, jakby od dekad nikt się nią nie interesował, a jednak ściana, na którą patrzyłam, była obwieszona w miarę nowymi tabliczkami apelującymi o zgłaszanie dewastacji.

Kevin przytaknął i machnął ręką, żebym szła za nim, co też zrobiłam, brodząc płytkim strumykiem i dochodząc na skraj czegoś, czego nie mogłam nazwać inaczej niż bagniskiem.

– Tędy – oświadczył i zaczął się wspinać po stromej skarpie, zapadając się po kostki w błoto.

– Nie jestem pewna, czy dam radę – wyznałam, ale nie zatrzymał się, by mi pomóc. Drań.

Pulsujący ból rozsadzał mi nogę, kiedy przedarłam się przez trzy powalone drzewa, dwukrotnie grzęznąc niemal po cholewy w błocie. Na szczęście biały namiot do oględzin był rozstawiony na płaskim, równym i w miarę twardym podłożu, dzięki czemu Kevin pomógł mi wcisnąć się w kombinezon, nie pozbawiając doszczętnie godności, chociaż niestety działo się to na oczach rozbawionego policjanta i Leili Solomons, ekspertki kryminalistycznej, która tylko patrzyła skonsternowana.

– Gotowa? – spytał, gdy się już wyprostowałam, posmarowałam pod nosem maścią o silnym zapachu kamfory i nałożyłam maskę, ostentacyjnie ignorując moją publiczność.

– Biejby do z łowy – wybelkotałam i wsunęłam się do namiotu.

Leżały tam dwa worki, wielkie, grube i zielone, związane taśmą

ściąającą. Jeden był rozdarty wzdłuż boku; z wnętrza wysypywała się płatanina włosów, a pośród nich w chwastach leżała śliska, zwinięta dłoń. Silny odór, jaki wydobywał się ze środka, był niemal obezwładniający. Przenikał nawet przez maskę i opary maści kamforowej. Rzuciłam jedynie okiem, po czym poklepałam Leilę po ramieniu i powiedziałam:

– W porządku, jeśli skończyłaś nagrywać, możesz je otworzyć – tylko mniej zrozumiale, i odwróciwszy się na pięcie, szybko się ewakuowałam.

Po dwóch papierosach i kubku obrzydliwej herbaty z termosu, którą poczęstował mnie Kevin, wcale nie było mi lepiej, ale nałożyłam grubszą warstwę maści i oddychając przez usta, starałam się skupić na zapachu zdjętej prosto ze sznura świeżo wypranej pościeli mojej mamy.

Leila otworzyła worki i umiejętnie ułożyła ich zawartość na plastikowej macie. Poszczególne części zdawały się tworzyć w miarę kompletne ciało, lecz poprawne ich rozmieszczenie uwidaczniało ewidentne braki.

Zwłoki dziewczyny były stosunkowo dobrze zachowane. Wysuszone mięso wciąż okrywało górne kończyny i znaczną część tego, co zostało z jej tułowia, jednak skóra rozerwała się w licznych miejscach i ześlizgnęła wzdłuż linii najmniejszego oporu. Skalp leżał na płachcie obok czaszki, na której zachowało się coś na pozór twarzy. Nogi z kolei były ogryzione do kości i nie dało się ukryć, że brakuje stóp. Porównawszy całość ze zdjęciami policyjnymi oraz fotografiami dostarczonymi przez krewnych, które Kevin miał w telefonie, byłam niemal pewna, że znaleźliśmy Sam Halloran.

Przywołałam Leilę do siebie i spytałam, o co chodzi z tymi nogami.

– Wygląda na to, że spędziła trochę czasu na powietrzu, zanim ją zapakowano – oświadczyła, dużo lepiej ode mnie radząc sobie z mówieniem w masce. – Szczątki z drugiego worka wykazują taki sam stopień rozkładu, co pokrywa się z wersją, że pierwszy worek

uległ rozdarciu dopiero dziś rano. Poza tym to gruba folia, mocna i szczelna. Żadne zwierzę nie miałoby szans dostać się do środka.

Kevin wyglądał, jakby miał wymiotować do maski. Wiedziałam, jak się czuje, więc poklepałam go po plecach i gestem zaproponowałam, żebyśmy wyszli na zewnątrz.

– Okej, dwie rzeczy – powiedziałam, zdejmując maskę i biorąc haust świeżego powietrza. – Po pierwsze, kto, do cholery, wyprowadza psa na bagnach?

Kevin wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odpowiedział.

Pokiwałam głową.

– A dlaczego tego nie wiesz?

Moje pytanie chyba zbiło go z tropu, więc dałam mu wskazówkę:

– Kevin, gdzie jest nasz świadek?

– Ach tak – powiedział. – Cóż, nie wiem. To był anonimowy informator.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Jak trafiłeś na... łokieć?

– Świadek powiedział nam, gdzie upuścił go pies. Mundurowi dotarli na miejsce pierwsi i wydobyli rękę z pokrzyw.

Pokazałam palcem na jego telefon i powiedziałam:

– Wyświetl mapę.

Co też zrobił, powiększając obszar wokół pulsującej niebieskiej kropki, która wskazywała naszą przybliżoną lokalizację. Wzięłam od niego komórkę i oddaliłam widok. Następnie obróciłam się dookoła, patrząc, jak wraz ze mną obraca się cały krajobraz, a z zarysu dróg, torów kolejowych i pobliskiej rzeki wyłania się układ terenu, który natychmiast rozpoznałam. Właśnie tam, mniej więcej osiemset metrów dalej w linii prostej, znajdowało się miejsce, które sama przynajmniej raz czy dwa razy zaznaczałam na mapie w swoim telefonie.

Z walącym sercem i mdłym, przeszywającym do kości bólem

w prawej nodze przebrnęłam przez strumień do wyrobiska, po czym, przedzierając się między drzewami, rozpoczęłam wspinaczkę po bardziej stromej, południowej ścianie urwiska, i wreszcie, gdy dogonił mnie krzyk Kevina:

– Ali, co się dzieje, co znalazłaś? – stanęłam na szczycie nasypu kolejowego.

– Spójrz – powiedziałam i wczekałam chwilę, by jego wzrok powędrował za moją wyciągniętą ręką, ponad torami, szeroką mętną rzeką i gęstym pasem drzew ku otwartej przestrzeni pośrodku lasu. Z miejsca, gdzie staliśmy, z trudem dawało się dostrzec wylot podjazdu i zarysy budynków spowitych przymgloną aureolą rozgrzanego powietrza: stodoły, garażu na cztery auta i kamiennego trzypokojowego domu wzniesionego mniej więcej pod koniec minionego wieku.

Moje ciało przeniknął dojmujący ziąb, zupełnie jakby tamten mężczyzna z leśnej chatki dosięgnął mnie swymi mackami, otworzył sklepienie mojej czaszki niczym wieko i całą mnie napełnił lodowatą wodą. Obróciłam się w miejscu, penetrując wzrokiem ciemne przerwy między drzewami, nagle aż nadto świadoma otaczającej mnie ciszy, mroku i zwróconych na mnie oczu wszystkich leśnych stworzeń – wstrzymany oddech, mięśnie naprężone, jakby miały się zaraz rzucić do ucieczki. Czułam, że patrzą. Że patrzą na mnie.

– Jest tutaj – oświadczyłam. – Czai się gdzieś blisko.

Kevin podążył za moim spojrzeniem wzdłuż traktu. Byłam przekonana, że go widziałam, że wyłonił się nagle na drodze, spojrzał wprost na mnie i skinąwszy głową, mrugnął, zanim rozpląnął się we mgle.

– Kto? – spytał.

– Tamten mężczyzna.

Spojrzałam ku wątłym wierzchołkom drzew i zaczęłam węszyć w powietrzu. Pachniało skwarem, śmiercią i maścią kamforową. Tak błękitnego nieba chyba nigdy jeszcze nie widziałam, było równie nierzeczywiste, jak wspomnienie wakacji sprzed wielu lat, gdy

z mamą, tatą i Reeną krążyliśmy po południu Francji w gorącym, dusznym samochodzie w poszukiwaniu pola biwakowego; mama zmagala się z odwróconą do góry nogami mapą targaną wiatrem, który wdzierał się przez otwarte okna, a my, czyli Reena i ja, sączyliśmy ohydnie ciepłą fantę i starałyśmy się nie zwymiotować.

– Reed? – spytał Kevin.

Skinęłam głową.

– Czy jak mu tam. Jest tu. I nas obserwuje.

Kevin – tak samo jak ja – obrócił się wkoło, zapewne bijąc się z myślami, czy ze mnie zadrwić, czy raczej kazać natychmiast otoczyć las, być może na darmo.

– Nie zobaczysz go – stwierdziłam, uwalniając ręce z papierowego kombinezonu, i poczuwszy chłód na spoconym karku, zadrżałam. – Ale naprawdę sądzisz, że to zbieg okoliczności? Że jakiś facet z psem na spacerze zupełnym przypadkiem natknął się na zwłoki Samantha, i to akurat teraz, akurat dziś, pośrodku tego wszystkiego? Jak myślisz, jakie są na to szanse? Jedna na sto? Jedna na tysiąc? Jedna na milion? To absolutnie wykluczone – skonstatowałam. – Uwierz mi, tamten mężczyzna wrócił.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Porannej odprawie towarzyszył istny chaos. Centrum koordynacyjne wrzało entuzjastycznym gwarem i jakimś dziwnym podnieceniem wywołanym sensacją, z jakim nigdy się tu nie spotkałam, i trochę mnie to zaniepokoiło.

Jenny przypominała roztrzęsione czupiradło na kofeinowym haju. Stała z przodu przy tablicach i wyglądała, jakby za chwilę miała wszystko z nich zmieść i zacząć od nowa. Zrozumiałabym, gdyby to zrobiła; już wcześniej nie potrafiła się w tym odnaleźć, ale teraz całkiem ją to przerosło.

– Dobrze! – krzyknęła nieco głośniej, niż było trzeba, by zwrócić naszą zbiorową uwagę. Wyglądała, jakby sama się wystraszyła i potrzebowała chwili, żeby się pozbierać. Współczułam jej. – Przepraszam. Cóż, trochę tego jest. Hmm... – Trzymała w garści plik wydruków, wydawało się jednak, że nie wie, co z nimi zrobić. Przebiegła po nich wzrokiem, potem machnęła nimi nad stojącym obok biurkiem, jakby chciała je rozsiać po blacie, i wreszcie zamknęła pięść, gniotąc je wszystkie w cholerę. – Wybaczcie – powiedziała. – Wypiłam za dużo kawy. Okej, po kolei. Dziś rano o piątej trzydzieści siedem odebraliśmy telefon od anonimowego mężczyzny, który poinformował nas, że jego pies znalazł coś, co przypomina ludzki łokieć. Do odkrycia doszło na moczarach nieopodal Little Ouse River, przy drodze A134 między Thetford a Mundford. Oto... – rozprostowała zgniecione kartki i podniosła je, pokazując zdjęcie zabezpieczonej kończyny Samantha – ...wspomniana część ciała. Fragment ręki, mniej więcej od połowy bicepsa do połowy przedramienia, z widocznymi elementami tatuażu. – Przełożyła zdjęcie na spód pliku i podniosła kolejne. – Do wezwania pojechały dwa radiowozy z lokalnej komendy w Thetford. Na miejscu mundurowi znaleźli dwa częściowo zakopane

worki na śmieci, z których jeden został rozerwany, prawdopodobnie przez psa. – Wyjęła następną fotografię, zbliżenie otwartego worka. – Jak wywnioskowali po odciętej ręce, wewnątrz i wokół worka znajdowały się rozczłonkowane ludzkie szczątki. Po dokładniejszych oględzinach sądzimy, że należą one do Samantha Halloran. – Przeszła na bok i wskazała portret policyjny Samantha wiszący z tyłu na tablicy. – Wiem, że wszyscy to wiecie, ale dla przypomnienia: Sam widziano po raz ostatni... – Omiotła wzrokiem tablicę w poszukiwaniu daty, ale nie było jej tam, a Jenny nie potrafiła sobie przypomnieć. Spojrzałam na Kevina, który wyglądał, jakby dokonywał w myślach skomplikowanych obliczeń. – Widziano po raz ostatni w lutym – ciągnęła drżącym głosem – na King Street, gdzie pracowała jako prostytutka. Sam znała się także z Kerry Farrow, której DNA znaleziono w klatce na posesji niejakiego Thomasa Reeda. – Przeskoczyła do wydrukowanej mapki sekcji lasu, z mostem kolejowym i domem tamtego mężczyzny zakreślonymi markerem. – Biorąc pod uwagę bliskie sąsiedztwo jego posiadłości i odkrytego dziś miejsca zbrodni, zaryzykuję stwierdzenie, że nie może to być zwykły zbieg okoliczności, i że Sam nie jest jedyną zaginioną kobietą, której zwłoki pochowano na tych moczarach. Dlatego wystąpiłam o pozwolenie i uzyskałam zgodę na przeprowadzenie badania georadarem i przekopanie tego terenu. Kevin, skontaktuj się z doktorem Gallowayem z uniwersytetu i zabierz się za to, jak tylko tu skończymy.

Kevin był nadal wpatrzony w zdjęcie Samantha i potrzebował chwili, żeby zareagować na swoje imię. Zrobił to w końcu, odpowiadając skinieniem głowy. Nabazgrałam szybką notatkę z instrukcjami Jenny, w razie gdyby jej nie słuchał i później chciał wiedzieć, co mówiła, po czym podniosłam rękę.

– Udało się już namierzyć faceta z psem, który rzekomo znalazł szczątki? – spytałam.

– Jeszcze nie.

– Pewnie dzwonił z komórki na kartę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Cóż, byłam na miejscu i wiem, że to cała wyprawa – powiedziałam zdecydowanym tonem. – Nikt nie wyprowadzałby tam psa. Domyślałam się, że właśnie dlatego zakopano tam zwłoki. W lesie jest mnóstwo tras do spacerowania, ale wszystkie znajdują się w znacznej odległości od tego miejsca, więc co takiego robił tam nasz rzekomy spacerowicz, że nie chce ujawnić swojej tożsamości?

Jenny pokręciła głową.

– Nie wiem – powiedziała z wyraźnym zniecierpliwieniem w głosie.

– Ale to chyba nie jest istotne, prawda?

– Jest, jeśli to Reed wskazał nam lokalizację zwłok, chcąc rzucić kolejne podejrzenie na Ericę i dać nam zajęcie na kilka dni, aby sam mógł ją wytropić – oznajmiłam.

Wzdrygnęła się na te słowa; najwyraźniej nie przyszło jej to do głowy, bo spytała:

– Jak niby miał rzucić na nią podejrzenie?

– Nie wiem. Może skapował się, że przypisujesz jej winę za wszystko, co zrobił, i postanowił to wykorzystać, dzwoniąc i mówiąc: „Hej, słuchajcie, wiem, gdzie są pochowane zwłoki”? Pamiętając, jakie ilości jej DNA znaleźliśmy w mieszkaniu Marka Boona, w którym nie wierzę, by kiedykolwiek postawiła stopę, mogę się założyć, że drugie tyle znajdziemy na ciele Samantha. Jeśli okaże się, że mam rację, mogłoby to znaczyć, że specjalnie podsunął nam zwłoki i zabił Richarda Cockburna, żeby uprawdopodobnić twoją wersję wydarzeń.

– Nie byłam pewna, czy miało to jakiś sens. Owszem, w mojej głowie brzmiało sensownie, ale mówiłam szybciej, niż myślałam.

Jenny najwyraźniej uważała inaczej, a może po prostu zezłościła się, że coś jej wytykam, bo zmierzyła mnie twardym wzorkiem, po czym spojrzała na Dana i rzekła:

– W porządku. Dan, jak już skończysz z rodzicami Samantha, spróbuj namierzyć telefon. Gdzie i kiedy został kupiony, a także skąd dzwonił.

– Tak jest – odparł Dan.

Przystojny skurczybyk.

– Przejdźmy dalej. – Wzięła głęboki oddech, a ja wsparłam łokcie na kolanach, schowałam piekące policzki w dłoniach i delikatnie wygładziłam brwi opuszkami małych palców. – Wreszcie otrzymaliśmy z Walii raport z autopsji Malcolma Lowry’ego – oświadczyła. – Doktor Kubica przeanalizował go dziś rano w świetle wczorajszego incydentu i ustalił „z dużym prawdopodobieństwem”... – poruszyła palcami na znak cudzysłowu, a ja wzdrygnęłam się w jej imieniu – ...że Mal i Richard Cockburn zostali zaatakowani przy użyciu takiego samego rodzaju narzędzia, jeśli nie tego samego narzędzia.

W pokoju rozległ się świst gwałtownego, zbiorowego wdechu. Wszyscy milczeli, ale w powietrzu wisiało niemal namacalne pytanie. Jenny popatrzyła na mnie wymownie i dodała:

– Porównanie z wynikami autopsji Elego Diaza nie było rozstrzygające, ale rany, jakie zadano całej trójce, są bardzo podobne. Jedno czyste cięcie w poprzek szyi, aż do kręgosłupa, wykonane czymś takim. – Przetasowała szybko wydruki i uniosła w górę zdjęcie.

W odpowiedzi mój kręgosłup skrzywił się w konwulsjach. Zaległa cisza tak gęsta, że wręcz można się było w nią wgryźć. Fotografia przedstawiała jakąś maczetę albo tasak, albo nie wiem co, w każdym razie narzędzie dość pospolite i uniwersalne. Jasnobrązowa plastikowa rękojeść przymocowana sześciokątną śrubą, ostrze proste, wąskie, może trzydziestocentymetrowe i zwężające się ku górze w ostry szpic. Broń tego typu nie była ani subtelna, ani łatwa do ukrycia. Na jej widok moje czoło pokryły krople potu, ale nie mogłam oderwać wzroku.

– Gładkie nieząbkowane ostrze o długości około trzydziestu trzech centymetrów i szerokości od pięciu do siedmiu centymetrów. Gardło podcięte od lewej do prawej strony, co sugeruje, że sprawca jest praworęczny.

W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Nabazgrałam szybko: „praworęczny?”.

– Przy okazji, wszyscy dostaniecie to w mejlu. Po trzecie, Kevin zdał mi dziś rano raport z poszukiwań Abbottów. Na razie nie mamy kompletnie nic, czyli totalna klapa, za to mamy już nakaz rewizji i możemy wejść do domu. Mundurowi czekają w gotowości, a Sandra właśnie tam jedzie. Ali, może ty i funkcjonariuszka Fisher się tym zajmiecie? Szukamy jakiegokolwiek dowodu na to, że Reed tam był lub że znał rodzinę. Chcę wiedzieć, gdzie wsiąknęli Carol i David Abbottowie.

Powiodłam znużonym spojrzeniem ponad Kevinem ku Annie, która siedziała w skupieniu i bacznie słuchała. Gdy poczuła na sobie mój wzrok, zarumieniła się i z wolna kiwnęła głową. Oczy miała zamglone i przysłonięte ciężkimi powiekami. Uświadomiłam sobie, że położyła się późno spać, bo przesłuchiwała wraz ze mną Carlę Cockburn, ale z drugiej strony ja także zarwałam noc i w dodatku miałam niemiłą wczesną pobudkę. Jej czoło, tak samo jak moje, błyszczało od potu, policzki zaś były intensywnie czerwone. Tak, bez wątpienia była zmęczona, ale chyba też mocno zdenerwowana albo pijana, a może jedno i drugie.

– Ali, jak rozumiem, żona Richarda Cockburna wyszła za kaucją, tak?

Tym razem to ja oblałam się rumieńcem. Próbowałam wszystkiego, aby zmusić Carlę do gadania, ale ona za nic w świecie nie wydałaby swojej córki. I słusznie, tak sędzę. Miałam nadzieję, że na jej miejscu byłabym równie nieprzejednana.

Skinęłam głową.

– Z całą pewnością wie, gdzie przebywa Erica, ale nawet gdybyśmy ją torturowali, i tak nic nam nie powie. W tej sytuacji uznałam, że nie ma sensu dalej jej maglować, więc zwolniłam ją do domu.

Jenny sprawiała wrażenie zawiedzionej. Rozumiałam ją i chyba czułam się podobnie, chociaż nie z tego samego powodu. Ona chciała odnaleźć Ericę, żeby oskarżyć ją o morderstwo. Ja chciałam ją odnaleźć, żeby jej nie zamordowano. Jak to zwykle bywa, prawda na temat sytuacji Eriki pewnie leżała gdzieś pośrodku, ale przynajmniej

byliśmy zgodne co do tego, że trzeba ją szybko odnaleźć.

Niewątpliwie byliśmy też zgodne co do tego, że nasza obecna taktyka nie jest skuteczna. Od czasu konferencji prasowej zwołanej przez Jenny, którą relacjonowano w wieczornych wiadomościach, odebraliśmy sto trzydzieści osiem telefonów. Każdy trop trzeba było odnotować, przeanalizować, sklasyfikować i sprawdzić. I ani jeden nie okazał się przydatny. Erica była w zasadzie takim samym duchem jak tamten mężczyzna, i na dobrą sprawę przestaliśmy już wierzyć, że znajdziemy którekolwiek z nich. Musiałby się zdarzyć jakiś cud, ale próżno liczyć, że dokona go Jenny Riley.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gdy wraz z Annie zajechałam przed dom Abbottów, ślusarz był zajęty zagadywaniem Sandry. Poza tym na ulicy było cicho, pusto i spokojnie, z wyjątkiem drgających firanek w oknie na piętrze pod numerem trzydziestym trzecim.

Przez długą chwilę stałyśmy przy samochodzie, lustrując leżącą w trawie taśmę policyjną, ślady kół generatora, który zasilał reflektory po zachodzie słońca, i długi prostokąt zamiecionego asfaltu, gdzie stało volvo Richarda Cockburna, które wreszcie odholowano wczesnym rankiem. Annie milczała, jej wzrok gdzieś błędził, a dłonie nieznacznie drżały.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

Podskoczyła i stanęła na baczność, potakując trochę zbyt ekspresywnie.

– Tak – odparła z uśmiechem.

Miała naprawdę ładny uśmiech, ale nie dostrzegłam go w jej oczach. Widziałam w nich tylko ból.

– Na pewno? – Chciałam przybrać łagodny ton, ale głos mi się załamał, więc zabrzmiałam jak trzynastolatek przechodzący mutację. A przecież zawsze byłam taka wyluzowana. – Wiesz, jeśli coś cię gryzie, to nie duś tego w sobie. – Schyliłam się, podążając za jej opadającym wzrokiem, i uśmiechnęłam się uspokajająco, gestykulując w kierunku samochodu. – Jeśli chcesz, możemy usiąść i o tym porozmawiać, choćby teraz.

Odwzajemniła uśmiech, choć przypominał raczej skrzywiony grymas.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniła, kręcąc głową. – Wszystko gra. Tylko... no wiesz. Wciąż mam to przed oczami. – Wskazała miejsce, w którym Richard tak makabrycznie zakończył życie. – Nigdy

wcześniej czegoś takiego nie widziałam – wyznała.

A ja owszem, ale choć raz byłam wdzięczna za to, że właściwie nic już nie pamiętam; przynajmniej nikt mnie nie pytał, czy chcę o tym porozmawiać.

– To dlatego rzuciłam to wszystko w diabły i zostałam analityczką – oświadczyła. – Nie radzę sobie z takimi traumatycznymi doświadczeniami.

– Doskonale cię rozumiem – stwierdziłam ze śmiechem, zmierzając podjazdem do Sandry, która próbowała przegonić ślusarza. – Z tego samego powodu rozwiodłam się z mężem i zostałam... – Nie, to nie jest dobry moment na wynurzenia. – Cześć, Sandra.

– Ach, a oto i Morgan Freeman z panią Daisy. – Sandra sięgnęła przez otwarte okno do wnętrza furgonetki i wydobyła tekturową tackę z dwoma kubkami kawy z McDonalda. – Pewnie już zimna, ale cóż, następnym razem przynieście sobie same. – Zniknęła ponownie w środku, a po chwili wyłoniła się z szarą papierową torbą. – Kto chce McMuffina?

Ślusarz rozprawił się z zamkiem tak szybko, że nawet nie zdążyliśmy zatłuścić dokumentów. Podziękowałam mu i odprowadziłam wzrokiem aż na koniec podjazdu, a potem doprowadziłyśmy się do porządku, spuentowałyśmy posiłek harmonią beknięć i wzięłyśmy się do pracy.

Uchyliłam ostrożnie drzwi, szykując się na brutalny gwałt na moim powonieniu, ale o dziwo nie było tak źle – w powietrzu unosił się tylko stęchły odór starego, spleśniałego jedzenia. Annie i Sandra weszły za mną do środka; szelest papierowych ochraniaczy na terakocie zagłuszył przytłaczającą ciszę domu.

– To już u mnie jest czystiej – skomentowała ledwie słyszalnie Sandra.

Annie stłumiła ironiczny śmiech.

Okrążyłam wielki sosnowy stół, który stał pośrodku otoczony czterema krzesłami wsuniętymi równo pod blat. W całej kuchni tylko

on był czysty – i to w dość rażący sposób – aczkolwiek usłany częściowo otwartymi kopertami; rogi rozdarte w celu pośpiesznej selekcji ujawniały wciąż uwięzioną w środku zawartość. Drewno potraktowano kiedyś brutalnie wybielaczem. Lakier został niemal doszczętnie starty po okręgu, tak że już tylko narożniki odbijały wpadające przez okno światło, niczym odwrotna winieta.

– Dziwne – powiedziałam.

Sandra znalazła kontakt przy drzwiach i włączyła górne światła.

– Jest prąd – zauważyła.

Obrzuciłam spojrzeniem stos zaskorupiałych naczyń na blacie kuchennym i skupisko pękatych worków na śmieci przy drzwiach, które jak przypuszczałam, prowadziły do toalety.

– Co tam jest? – zwróciłam się do Annie.

Otaksowała drzwi i nacisnęła klamkę. Miałam rację, w środku znajdowały się sedes i umywalka, i jeszcze to matowe okno z obłupaną i wyszczerbioną framugą, ale dokładniejsze oględziny musiały jeszcze poczekać. Pomieszczenie było zavalone po pas pustymi pudłami, torbami pełnymi toreb, kolekcją płaszczy zimowych i Bóg wie czym jeszcze; znalazła się nawet opona samochodowa.

Sandra pochyliła się nad stołem, prawie dotykając nosem wytartego drewna, i delikatnie wciągnęła jego zapach. Nie bardzo wiedziałam, co o tym sądzić, czy tak robią naukowcy, czy raczej świry, więc kiwnęłam na Annie, żeby poszła za mną, i skierowałam się w głąb holu, który prowadził do drzwi wejściowych i schodów.

Wycieraczka tonęła w nieprzeczytanej poczcie. Zanurzyłam rękę w stercie kopert i wyłowiłam ze spodu kilka listów.

– Te są z początku kwietnia – oznajmiłam. Czyli sprzed przeszło trzech miesięcy.

Annie przecisnęła się obok do salonu, więc upuściłam listy i zanurkowałam za nią w mrok.

Na gzymsie kominka piętrzyły się stosy nieotwartych kartek urodzinowych. Sarah zaginęła dzień przed tym, jak skończyła dziewiętnaście lat. Albo skończyłaby, zależnie od dalszych wydarzeń.

Kolejna kupka kartek leżała na narożnym stoliku przy oknie, na którym stały trzy srebrne ramki sporych rozmiarów, a w nich świadectwo maturalne z wyróżnieniem, list z informacją o przyjęciu na uniwersytet w Oksfordzie i portret studyjny Sarah. Delikatne blond włosy ułożone umiejętnie na ramionach, jaśniejące spojrzenie błękitnych oczu i pewny siebie uśmiech, za którym kryła się subtelna szelmowska nuta.

Przez długą chwilę stałyśmy w milczeniu, przykute do miejsca widokiem twarzy pełnej życia, obietnicy i uroku, dopóki Annie nie przerwała jej cichym:

– Cholera.

Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że płacze. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam ją objąć ramieniem i uścisnąć dla otuchy, ale nie byłam pewna, jak zareaguje, więc tylko dotknęłam lekko jej pleców. Poczułam, jak się spina, wstrzymując oddech, więc wyszłam z pokoju lekko zbita z tropu.

– Sandra, idę na górę! – krzyknęłam.

– Rękawiczki i niczego nie dotykaj – usłyszałam w odpowiedzi.

Wiedziała, że mam je na rękach; widziała, jak je zakładam, więc albo było to skierowane do Annie, albo miała mnie za idiotkę, albo właśnie oficjalnie uznała, że dokonano tu zbrodni.

Nie zostałam, żeby się dowiedzieć. Wspięłam się po schodach, czując, jak znajomy ból skrada się w okolice biodra, i dotarwszy na podest, przystanąłam, żeby przyjrzeć się układowi piętra. Jeden pokój po lewej, drzwi zamknięte. Przede mną łazienka, a obok, po sąsiedzku, najpewniej pakamera. Czwarte drzwi po prawej, lekko uchylone.

Skręciłam w prawo i od razu tego pożałowałam.

W głównej sypialni panował mrok i chłód. Ciężkie zasłony były zaciągnięte, ale w blasku bijącym z okna nad schodami zdołałam dostrzec nieruchomy kształt na łóżku. Zamarłam, sparaliżowana strachem i ze wzrokiem wlepionym w leżącą postać, modląc się w duchu, żeby się nie poruszyła, czekałam, aż serce mi zwolni, a ciarki

przesaną chodzić po plecach. Wreszcie przestały. Przypomniałam sobie o oddychaniu i zaczęłam macać ścianę za plecami w poszukiwaniu włącznika. Znalazłam go, ale mogłam nim pstrykać do woli, a i tak nie wyczarowałabym więcej światła.

Chwilowo uspokojona, że osoba – kimkolwiek jest – nie zerwie się nagle i nie poderżnie mi gardła, ruszyłam ostrożnie do okna i chwyciwszy w obie garści zasłony, szarpnęłam nimi gwałtownie na boki, przesuwając wzdłuż lepkiego, plastikowego drążka.

Słońce zalało pokój, jeszcze bardziej potęgując moje przerażenie.

Na stoliku przy łóżku ujrzałam dwa pluszowe misie, łapy zwieszane przez krawędź blatu, futra skosmaczone i zlepione zaschniętą krwią. Siedziały ramię w ramię, wsparte o siebie, strzegąc ciała na materacu.

Widziałam, że to kobieta. Miała na sobie koszulę nocną, która u dołu była zadarta, górna zaś część przylegała tak mocno, że pomimo z mumifikowania zwłok ujawniała każdy anatomiczny szczegół.

Powyżej jednak wskazówki się urywały. Twarz zasłaniały szczątki poduszki pokryte czarną skorupą. Wokół niczym skrzydła anioła rozpościerał się wachlarz sfilcowanego pierza przyklejonego do zagłówka, ściany i wyschniętej, napawającej obrzydzeniem brei, która niegdyś była głową.

Stałam przez chwilę nieruchomo, próbując uspokoić oddech i nie skupiać się na napiętej szarej skórze, ani na tym, jak przerażające sprawia wrażenie na tle wielkiej czarnej plamy na pościeli. Rozejrzałam się po pokoju, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Ubrania wylewały się z szuflad, koszów i szaf wnękowych. Podłoga wokół łóżka – niczym pole minowe – usiana była kubkami, opakowaniami po tabletkach, zużytymi chusteczkami, maleńkimi brązowymi łupinami i jeszcze setką innych rzeczy, które pewnie miały jakieś zastosowanie w innym kontekście przestrzennym. Wszystkie powierzchnie powyżej podłogi zajmowały popielniczki, puszki po napojach, kupki monet, książki z zagiętymi stronami, poprzewracane buteleczki lakieru do paznokci, pomadki

i tusze do rzęs, a między nimi było aż czarno od małych skrzydlatych trucheł.

W gardle zaschło mi tak, że nie byłam w stanie wydobyć głosu, skupiłam więc wzrok na otwartych drzwiach i wyszłam z pokoju. Wszystko we mnie krzychało: „Nie otwieraj więcej drzwi!”, ale – rzecz jasna – otwieranie drzwi to część mojej pracy.

Obok głównej sypialni, tak jak przypuszczałam, mieściła się pakamera, która zgodnie ze swoim przeznaczeniem służyła jako przechowalnia kartonów i paczek. Wszystko było tu w miarę starannie poukładane – pudła na dokumenty stały w równym rzędzie pod tylną ścianą, wypełniając pokój do parapetu, a po prawej stronie piętrzyły się większe pudła opakowaniowe o różnych rozmiarach, dopasowane do siebie jak elementy układanki: pudło po kuchence mikrofalowej obok tego od drukarki pod tym od telewizora, a wszystko razem na tym od witryny do samodzielnego montażu.

Zamknęłam drzwi i zajrzałam do sąsiedniej łazienki. Ciekący kran, lustro pokryte smugami, wanna wypełniona butelkami z szamponem. Mogły to być ślady walki, ale z drugiej strony niekoniecznie.

Wreszcie, nieco uspokojona głosami dobiegającymi z dołu, otworzyłam czwarte drzwi.

Pokój ewidentnie należał do Sarah. Pomimo masy szpargałów panował w nim porządek. Ściany pomalowano na fioletowo, ale pod farbą wciąż było widać starą wzorzystą tapetę. Po prawej, tuż nad pojedynczym łóżkiem, wisiały dwa plakaty reklamujące film „Wolverine”. Po lewej stała komoda, a nad nią dwie półki długości moich rozpostartych ramion prezentowały zadziwiającą kolekcję pięknych pluszowych misiów, upozowanych, jak miałam nadzieję, przez kogoś, by przywitać mnie zbiorowym spojrzeniem.

Widok zwieszonych gałęzi drzew w lesie za domem potęgował wrażenie cichego smutku, w jakim pogrążony był pokój Sarah. Próbowałam ją sobie wyobrazić, jak się tu śmieje, esemesuje i wrzuca zgryźliwe posty na Facebooka, ale nie potrafiłam. Skupiłam więc wzrok na misiu, który najpewniej był najcenniejszy z całego zbioru –

mały, lecz unikatowy okaz, co najmniej stuletni – i zaczęłam się z wolna wycofywać w kierunku drzwi. Bo gdyby nie to, zmuszona byłabym patrzeć na leżącą na podłodze strzelbę i na łóżko pokryte zaschniętymi bryzgami krwi, resztkami mózgu i kawałkami czaszki.

– Spójrz z drugiej strony. Teraz widzisz?

Gdy weszłam do kuchni, Annie pochylała się nad stołem, przytrzymując garść włosów przy szyi, żeby nie rozlały się po blacie. Sandra z kolei stała pośrodku z komórką przy uchu i stukwała niecierpliwie stopą. Choć mocno przy tym szeleściła, słyszałam muzykę dobiegającą z telefonu.

– Wszystko w porządku? – spytałam głosem chrapliwym od nadmiaru śliny. Jeszcze nie zwymiotowałam, ale wciąż mnie kusilo.

Sandra skinęła głową.

– Ślady nacięć – oznajmiła. – Na stole. Jest na nich krew.

– Masz rację. Niech to diabli! – Annie wyprostowała się, puszczając włosy, i odwróciwszy się do mnie, spytała:

– Cholera, dobrze się czujesz? Jesteś blada jak...

Melodyjka w telefonie ucichła i odezwał się metaliczny głos:

– Halo?

Annie spojrzała na Sandrę, która spojrzała na mnie, a potem obie spojrzały na sufit.

– Jesteś tam jeszcze?

– Powiedz, żeby przysłali koronera – rzuciłam. – Chyba znalazłam Abbottów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ekipa z georadarem dotarła na sąsiadujące z torami moczary w środę około południa i pracowała przy świetle reflektorów aż do wczesnych godzin porannych. O świcie ściągnięto dane, dokonano pobieżnej analizy i zaznaczono na mapie kilkanaście wartych uwagi obszarów. O ósmej rano na miejsce przybył zespół archeologów sądowych, którzy – posiliwszy się i napiwszy – z zaciętą determinacją przystąpili do przekopywania terenu.

O godzinie piętnastej w czwartek poszukiwania dobiegły końca, a z ziemi wydobyto ciała pięciu kobiet.

Jenny Riley, tak jak my wszyscy, miała ponury nastrój, bo sytuacja, która i tak wydawała się beznadziejnie pogmatwana, teraz właściwie przypominała dno szamba. Gdy przyjechałam z Annie, chodziła tam i z powrotem po pokoju ze zbolalym wyrazem twarzy i nie licząc przerw na telefon, trwało to jeszcze jakiś czas po tym, jak zjawili się pozostali, zajęli miejsca i przestali gadać. W końcu, gdy wymiana nerwowych spojrzeń osiągnęła niemal punkt krytyczny, Jenny stanęła pośrodku kręgu utworzonego ze zsuniętych krzesel, uniosła wysoko torebkę foliową z zakrwawioną kartką w środku i spytała:

– Co to, kurwa, jest, do kurwy nędzy?

Nikt nawet nie drgnął.

Odwróciła torebkę, ukazując zespołowi treść liściku, sześć słów nabazgranych po skosie niebieskim długopisem.

– Tę kartkę znaleziono przy ciele Davida Abbotta – oświadczyła. – Chwilę wcześniej na stole w jego domu odkryliśmy wykonane nożem nacięcia ze śladami krwi grupy B minus. W liście czytamy: „Przepraszam cię, Sarah. Boże, wybacz mi”. – Odetchnęła głęboko. – Wygląda na to, że pan Abbott napisał go po tym, jak odstrzelił żonie

głowę, a następnie położył się na łóżku córki i przystawił sobie strzelbę do brody. Przepraszam cię, Sarah. Boże, wybacz mi. Co to w ogóle znaczy, do jasnej cholery?

Zapadła długa, niezręczna cisza. Jenny po prostu stała, przeskakując przerażonym wzrokiem między twarzami.

W końcu milczenie przerwał Dan Hooper, który mrużąc przenikliwe niebieskie oczy, zasugerował z pewnym wahaniem:

– Nie mógł żyć ze świadomością, że nie zdołał ochronić swojej córki?

Jenny opuściła ramiona, a foliowa koszulka plasnęła o spódnicę. Pochyliła głowę z ciężkim westchnieniem i odparła:

– Tak. Dziękuję. Ale nie, to nie to. – Rzuciła list na biurko. Odsunęła krzesło i opadła na nie. – To znaczy, że teraz musimy przyjąć, że może chodzić o coś innego. A konkretnie o to, że David Abbott zamordował swoją córkę, i jeśli jedno z ciał znalezionych w Two Mile Bottom to Sarah, co wydaje się prawdopodobne, to pewnie zabił też Sam Halloran i jeszcze cztery inne kobiety. Jeśli dopuścimy do siebie tę myśl – a do jasnej cholery, nie możemy tego nie zrobić – to siłą rzeczy musimy także dopuścić do siebie możliwość, że Thomas Reed ich nie zabił. To z kolei nasuwa pytanie, czy w ogóle kogoś zabił, i jeśli tak, to dlaczego, a jeśli nie, to gdzie, do cholery, się podziewa? Bo na dobrą sprawę, on też może już nie żyć.

Otworzyłam usta, żeby jej przerwać, ale słowa uwięzły mi w gardle. Spojrzałam na Annie; na jej twarzy malowało się przerażenie, które i mnie ogarnęło. Trochę mnie to zaskoczyło, bo kiedy ostatnio podzieliła się swoją opinią, tak samo jak inni gotowa była obwinić za wszystko Ericę.

Popatrzyłam na Dana, na jego zmarszczone czoło i rząderek prostych białych zębów przygryzających dolną wargę.

A potem przeniosłam wzrok na Kevina, który drapał się po łysym placku na czubku głowy.

Powiedzcie coś! – krzyknęłam w duchu. Ale nikt się nie odezwał.

– Nie twierdzę, że w to wierzę – kontynuowała Jenny. – Szczerze mówiąc, to nie wiem, w co wierzę. Musimy jednak rozważyć

możliwość, że osobą odpowiedzialną za zabójstwo Mała Lowry'ego, Johna Faireya, Juliana Keitha, Elego Diaza, i na litość boską, Richarda Cockburna, jest Erica Shaw. A dobrze wiemy, że w przypadku tego ostatniego miała motyw. Ktoś chce coś powiedzieć? Słucham. Mówcie.

Próbowałam. Słowa dzwięczały mi w głowie, ale tonęły w plątaninie myśli i morzu paniki. To nie mogła być prawda. Po prostu nie mogła. Nie znałam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale to wiedziałam na pewno. Byłam tam, do jasnej cholery. tamten mężczyzna próbował mnie zabić. Kropka.

Wszyscy na mnie patrzyli. Annie wyglądała na zdeorientowaną. W oczach Kevina dostrzegłam współczucie i chyba cień zażenowania. A Dan tylko kiwał powoli głową.

Chryste, powiedziałam to wszystko na głos?

– Ali. – Kevin pochylił się do przodu i wsparłszy ręce na kolanach, spojrzał mi w oczy. – To Erica wgniotła mi czaszkę i gdyby nie Reed, pewnie by cię zabiła. On uratował ci życie, pamiętasz? Po co miałby zabijać ojczyma Eriki? To nie on miał ku temu oczywisty powód, tylko ona. Skąd pewność, że to nie ona na nas poluje?

Jenny nachyliła się do mnie i położyła mi dłoń na kolanie. Była zimna, wręcz nieprzyjemna w dotyku. Czułam, że nie wytrzymam. Nie mogłam tu zostać. Musiałam wyjść.

– Ali – zwróciła się do mnie – wiem, przez co przechodzisz. Naprawdę. Ale cała nasza wiedza na temat tego, co ci się przytrafiło, opiera się na domysłach. Widziałaś, jak Erica odjeżdża po tym, jak próbowała cię zabić, i co dalej? Dokąd pojechała? Miała dwadzieścia minut przewagi i wszyscy podążyli za nią w kierunku, który wskazałaś. Tylko skąd mamy wiedzieć, że właśnie tam się udała? Skąd mamy wiedzieć, że nie zawróciła przez las, żeby dokończyć dzieła? Nie wiemy tego, bo nie pamiętasz, co wydarzyło się w tamtym domu.

Przyznaję, że zabolalo. Straciłam jej rękę i ku przerażeniu Annie i Kevina, którzy o mało nie pospadali z krzeseł, warknęłam Jenny prosto w twarz:

– Więc teraz, kurwa, to moja wina, tak?

Wzdrygnęła się, ale nie podniosła głosu.

– Nic takiego nie powiedziałam, Al...

– Nie! – wrzasnęłam głośniejszym głosem, niż zamierzałam, ale nawet w połowie nie tak głośno, jak chciałam. – Nie masz prawa. Nie masz prawa zmieniać mojej wersji wydarzeń. Nie wiesz, co się stało. Nie możesz tego wiedzieć, bo nie było cię tam, prawda? Ani wtedy, ani później. Byłaś w ogóle na miejscu zbrodni? – Kolejne wzdrygnięcie zdradziło mi, że nie. – Nie spotkałaś Eriki, prawda? Nie spotkałaś tamtego mężczyzny. Poza Kevinem, ze wszystkich osób, które widziały jego twarz, ba, nawet z nim rozmawiały, tylko ja jeszcze żyję, ale wam wszystkim się wydaje, że już to rozgryźliście, prawda? No to wam powiem, że nic a nic o nim nie wiecie. Kompletnie nic. Nie wiecie, skąd się wziął, gdzie jest ani czym się zajmuje, na litość boską, nie znacie nawet jego prawdziwego nazwiska. Nazywacie go duchem, ale w tej chwili nawet tego nie jesteście pewni. Pod garażem miał klatkę. Klatkę, do cholery! Ale nie, bo Annie podłapała jakiś quasi-naukowy termin i znalazła zdjęcie Eriki prowadzącej furgonetkę, więc teraz najwyraźniej jest kryminalnym geniuszem... Do kurwy nędzy, Annie, kim ty właściwie jesteś? – Annie skuliła się na krześle i patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, zaczęła się jąkać, gdy wymierzyłam w nią oskarżycielsko palec. – Poważnie, skąd ty się wzięłaś? Wparowujesz tu nie wiadomo skąd, cuchnie od ciebie jak z gorzelnii, pieprzysz jakieś głupoty o kontroli represyjnej, właściwie nic nie robisz, tylko rozbijasz się wozem głównego inspektora, i nagle wszystko jest do góry nogami, bo teraz to Erica jest tą, która jeździ po kraju, odcinając głowy gliniarzom. Co chcesz udowodnić? Co takiego wiesz, czego nie wie nikt z nas?

– Okej, starczy tego dobrego. Dziękuję, Ali. – Jenny zerwała się na równe nogi, odsuwając krzesło na bezpieczną odległość, z dala ode mnie. – Chętnie wysłucham racjonalnych argumentów, ale nie zamie...

– Pieprz się, Jenny – warknęłam z pogardą. Spojrzałam na pochyloną głowę Kevina i łzy wzbierające w oczach Annie. – I wy też

się pieprzcie. – Wstałam zbyt gwałtownie i obróciwszy się do reszty zespołu, ujrzałam morze rozmytych twarzy: ich imiona wirowały w mojej skołowanej głowie tak szybko, że nie byłam w stanie ich odczytać. Zalała mnie fala gorąca, na czoło wystąpił zimny pot, a w ustach poczułam cierpki smak żółci. – Muszę się przewietrzyć – oznajmiłam i nagle ogarnęła mnie ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Annie Fisher widziała już wiele zwłok, i to zanim jeszcze zaczął się ten tydzień, przy czym wcale nie były to groteskowo zabalsamowane zwłoki dziadków wystawione na widok w domu pogrzebowym. Pierwsze należały do osiemnastoletniego studenta, który wyszedł ze znajomymi świętować wyniki egzaminu, a potem uparł się, że wróci sam pieszo do oddalonego o trzy kilometry domu, i wpadł do rzeki. Wypłynął nazajutrz rano, świeży, czyściutki i niemal pogodny, gdyby nie blada cera i zapadnięte oczy. Pomimo względnie dobrego stanu trudno jej było na niego patrzeć, a jeszcze trudniej dotknąć.

W rzeczy samej, Annie od zawsze miała problem z martwymi istotami. Jej kot, który wabił się Głupi Kot, okazał się godny swojego imienia, pakując się pod uliczną zamiatarkę. On także wyglądał względnie dobrze, gdy zginął od szybkiego ciosu w głowę, który pozostawił zaledwie nieznaczny ślad krwi na jego wykrzywionym w grymasie pyszczku. A jednak, chociaż kochała tego kota, przez dobre dziesięć lat tuliła go, głaskała, całowała i pozwalała, by ją lizał po marszczącej się odruchowo twarzy, nie mogła się zmusić, żeby dotknąć jego wciąż ciepłego futerka i zabrać bezwładne truchło z pobocza. Włożyła rękawice ogrodowe i zgarnęła go na łopatę, krzywiąc się na widok przelewającego się ciała, kiedy Głupi Kot przewrócił się na grzbiet – martwe łapy rozwalone na boki, martwe futerko pofałdowane na martwym białym brzuszku – po czym wrzuciła prosto do dołu wykopanego między hortensjami. Biedny Głupi Kot.

Podobnie było z chomikiem, którego miała w dzieciństwie (teraz nie potrafiła sobie przypomnieć, jak się nazywał), i z pisklętami, które wypadły z gniazda w parku, i ze wszystkimi myszami, które Głupi Kot znosił do domu i składał z miłością u jej stóp na dowód tego, że jest

skończonym dupkiem.

Annie wiedziała, że jako funkcjonariuszka policji musi zacisnąć zęby. To była część jej pracy. Na to się pisała.

Drugie zwłoki, z jakimi miała styczność, uśpiły jej czujność, dając złudne poczucie bezpieczeństwa. Należały do osiemdziesięciodwuletniego ogrodnika, który zmarł nagle na atak serca w trakcie przycinania żywopłotu z ligustru. Mężczyzna był wysportowany, umięśniony i opalony, przez co wyglądał zdrowo, ale był także stary, a w przypadku starych ludzi śmierć trudno nazwać czymś zaskakującym. Annie nie była wstrząśnięta ani szczególnie zasmucona jego zgonem, lecz mimo wszystko, kiedy przyszło do sprawdzenia biedaczysku tętna, dziękowała w duchu za te drinki, które wychyliła podczas lunchu.

Za trzecim razem przezornie pociągnęła kilka łyków z butelki ukrytej w szafce, zanim pobiegła do samochodu. Okazało się, że dobrze zrobiła. Ofiarą była dwunastolatka potrącona przez kierowcę, który w pośpiechu jej nie zauważył. Głowa dziewczynki przebiła przednią szybę, górna część ramy złamała jej kark, a siła uderzenia wyrzuciła ciało na trzy metry w górę. Zanim Annie i – jak mu było na imię? Stuart? Stefan? Sim... Nie, Rob, tak się nazywał. Rob McLean. Zawsze pachniał markerami, a jego żona zdradzała go z jednym z oficerów dyżurnych. Annie wcale się jej nie dziwiła, skoro za męża miała największego nudziarza, z jakim kiedykolwiek przyszło jej siedzieć w aucie. Gadał tylko w kółko o futbolu, a Annie o futbolu nie miała bladego pojęcia, poza tym skrupulatna obserwacja procesów zachodzących podczas schnięcia farby na ścianie wydawała jej się o wiele bardziej fascynująca. W każdym razie dziewczynka wylądowała na jezdni złożona wpół, lecz zanim Annie i konstabl McNudziarz dotarli na miejsce, zgromadzone tłumnie matki, które zbiegły się z okolicy, przeniosły ją na chodnik i przykryły kocami. Annie, nieświadoma rozległości obrażeń, przykucnęła obok ofiary, żeby sprawdzić, czy żyje, i spróbować usztywnić jej kark, i wtedy głowa opadła nienaturalnie na bok, racząc ją szczegółowym widokiem

tylnej części mózgu.

Po tym zdarzeniu Annie piła już cały czas i nie pamiętała zbyt wiele z pozostałych incydentów.

Ale to... to było coś innego. Zdjęcia odciętych rąk to jedno, nie były niczym nowym. Widziała mnóstwo zdjęć z miejsc zbrodni, dziesiątki raportów z sekcji zwłok. Miała taki sam dostęp do internetu jak każdy, i owszem, widziała te wszystkie nagrania. Niektóre wręcz ją zemdliły, a po jednym, z jakiejś strefy wojny, przez całą noc nie mogła zmrużyć oka. To wszystko jednak było niczym w porównaniu ze scenami, które teraz przewijały się przez jej umysł: przywołane prosto z pamięci, świeże i ostre jak brzytwa obrazy gnijących stóp, rąk, ud, ludzkich korpusów i głów.

O Boże, te głowy.

Wódka z piersiówki nie zdołała ich przyćmić. Annie miała niepokojące wrażenie, że już zawsze będzie je mieć przed oczami; że nic ich już nie wymaże. Ale to nie znaczyło, że nie spróbuje.

Wstąpiła do domu, żeby się przebrać. Jak zwykle ta sama procedura: wolny przejazd ulicą, kilka minut obserwacji, a potem chwila na wyostrenie zmysłów, zanim ruszy do drzwi, przerażona myślą, jaki prezent podrzucił jej tym razem. Tak samo jak swego czasu Głupi Kot, pomyślała i roześmiała się – może trochę za głośno – wjeżdżając na podjazd.

Ale niczego nie znalazła. Żadnej niespodzianki na stoliku. Żadnych naczyń suszących się na ociekaczu. Na wycieraczce nie było odcisków butów, nie było też obcej woni w środku, a lustro w łazience nie było zaparowane. Nie miała poczucia, że ktoś ją obserwuje ani że coś jej zagraża, w każdym razie nie tutaj. Dom był pusty i na pewno nikt nie zaglądał tu od rana.

Wrzuciła bluzkę i spodnie do kosza na pranie i rozpyliła wokół siebie gęstą mgiełkę dezodorantu. Niestety nie pomógł pozbyć się tego uporczywego zapachu, który wciąż czuła w nozdrzach – zapachu ziemi, rozkładu, brutalnej śmierci – ani tego obrazu pustych, wpatrujących się w nią oczodołów, ani tego nieodpartego wrażenia, że

dostrzegają w niej to, czego nie potrafiła dostrzec żadna żyjąca istota.

Rozebrała się do naga i wbiegła pod prysznic, przez długą chwilę dygocząc pod zimną wodą, dopóki bojler się nie namyślił i nie zamienił jej nagle w ukrop. Od tej różnicy temperatur dostała mdłości i zanim zdołała się powstrzymać, wyrzygała się obficie na kafelki, chwytając łapczywie powietrze, ściskając się za brzuch i patrząc, jak strugi gęstych wymiocin wirują wokół jej stóp w strumieniach wody lejących się z pokrytej kamieniem deszczownicy.

Wspaniale, pomyślała. Po prostu wspaniale.

W pewnym momencie znów była ubrana, tym razem w stare, acz wygodne dżinsy i koszulkę Sonic Youth; nie pamiętała, skąd ją ma, na pewno jej nie kupiła, ale leżała jak ulał. Uczesała się byle jak, podkreśliła oczy kredką i to wszystko.

Do głowy przyszły jej nagle dwa słowa: „polerowanie gówna”, i poczuła się z tym źle; zdawała sobie sprawę, że pewnie jest dla siebie zbyt surowa, lecz zdaniem Annie – już od dłuższego czasu – twarz, która patrzyła na nią z lustra, była klasycznym przykładem banalności, a jej zdjęcie powinno się znaleźć w słowniku przy haśle „przeciętny”.

Teraz jednak wzdrygnęła się na tę myśl, która z wolna torowała sobie drogę w jej umyśle, walcząc o lepsze z odciętymi kończynami. Wiedziała, że tak naprawdę niczego jej nie brakuje, a nawet jeśli tak było – jeśli rzeczywiście wyglądała jak, nie przymierzając, dupa wielbłąda, żeby zacytować słowa jej matki – to i tak nie podważało to jej wartości jako człowieka. Była tego w pełni świadoma, bo jako tyczkowata, niezgrabna nastolatka słyszała to już tysiąc razy.

A jednak. Annie mogłaby się założyć, że te biedne dziewczyny upchane w workach, pocięte na kawałki i pogrzebane gdzieś na bagnisku... że one wszystkie były kiedyś piękne. A jeśli się nie myliła i jeśli to James, Thomas czy jak mu tam, dopuścił się na nich tak plugawej zbrodni, to jak to świadczyło o niej? Bądź co bądź przebywała z nim sam na sam. Ba, nawet spała z nim w jednym łóżku.

A on nie dość, że nie próbował jej wykorzystać, to jeszcze do tego stopnia nie chciał jej zabić, że wręcz uratował od śmierci z ręki kogoś innego. Więc może jednak czegoś jej brak. Może nie jest wystarczająco ładna albo wystarczająco dowcipna, nie ma w sobie nic z bohaterek „Seksu w wielkim mieście”?

Annie uznała, że ma prosty wybór. Mogła uwierzyć, że jest tak nieciekawa, że nawet seryjny zabójca nie był nią zainteresowany, albo wbrew wskazującym na to dowodom dalej uparcie zaprzeczać, że tamten mężczyzna rzeczywiście jest seryjnym zabójcą.

Przyjrzała się sobie z uwagą: piwne oczy, zmęczone i lekko przekrwione, ale nie rozstawione ani za szeroko, ani za blisko. Nos, trochę suchy i zaczerwieniony, ale ani za duży, ani za mały. Spierzchnięte usta, ani pełne, ani wąskie. Zmarszczki na czole, ani zbyt liczne, ani zbyt głębokie. Brwi nieregulowane, ale o ładnym kształcie i jak u wszystkich, po jednej nad każdym okiem. Dołeczki w policzkach, jej zdaniem urocze, ale przecież nie ona jedna ma takie.

Ot, zwykła twarz otoczona zwykłymi włosami związanymi w kok zwykłą gumką.

Zwykła. Nijaka. Przeciętna.

Pomijana.

Niewarta tego, żeby ją zabić.

Annie westchnęła i wyłowiwszy komórkę z kieszeni spodni upchniętych w koszu, zadzwoniła po taksówkę. Miała przyjechać za pół godziny, tak powiedziała dyspozytorka, więc staszczyła się na dół, przepłukała szklankę i nalała sobie wódki na dwa palce, rozcieńczając ją warstwą kruszonego lodu i dolewając trochę soku żurawinowego, symbolicznie, by zapobiec infekcji dróg moczowych, którą tak czy inaczej, zamierzała sobie zafundować.

Zdążyła wypić dwa takie drinki, zanim dobiegł ją dźwięk klaksonu. Chwyciła torebkę, wrzuciła do niej telefon, odruchowo ścisnęła portfel, by mieć pewność, że jest w środku, i po cichu podyktowała sobie kolejne czynności, żeby wryło jej się w pamięć, że wszystko pozamykała, a klucze schowała do wewnętrznej kieszeni. Następnie

podeszła do starego mercedesa, który czekał przy krawężniku przed domem, złapała za klamkę i otworzyła drzwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Chyba zaczynam świrować. No bo wiesz... a co, jeśli wszyscy mają rację i tylko ja gadam kompletnie od rzeczy? W końcu trochę oberwałam. Może odbiło się to na mnie bardziej, niż sądziłam? Może mam coś nie tak z głową? Bo jeśli to nie to, to musi chodzić o jakiś spisek. To o to chodzi? Kevin, czy właśnie to mi umknęło? To spisek? Czyżbyśmy grali w jednym z tych filmów, w których nagle wychodzi na jaw, że jeden z tych dobrych przez cały czas był tym złym? Tak właśnie jest? Czy Jenny jest tą złą?

Kevin odstawił moją kawę na stolik obok kanapy, z której jeszcze nie miałam siły się dźwignąć, tej w pokoju przesłuchań dla rodzin, piętro wyżej nad centrum koordynacyjnym. Lekarz zbadał mnie pobieżnie i zalecił, żebym się położyła i trochę odpoczęła, więc tak zrobiłam. Nie miałam pojęcia, jak długo spałam – w pokoju nie było okien, a mój telefon leżał za daleko – ale czułam się wypoczęta, choć sfrustrowana tak samo jak przedtem.

– Musisz pamiętać, że siedzimy w tym razem i wszyscy chcemy dobrze – podjął łagodnie Kevin. – Jenny nie jest tą złą, po prostu ją to przerosło. Wiesz, jak jest. Wszyscy, którzy posiadali jakąś głębszą wiedzę i byli lepiej rozeznani w sprawie, albo nie umieścili tego w raporcie, albo zginęli, albo... – Spojrzał niepewnie na czubek mojej głowy i zrobił minę zbitego szczeniaka. – Aż do dziś nie mieliśmy żadnych ciał. A ten liścik napisany przez Abbotta tak naprawdę niczego nie zmienia... znaczy tylko tyle, że musimy powiązać ze sobą od cholery więcej wątków. Ale w końcu to rozgryziemy, no nie?

– Nie wiem. – I naprawdę nie wiedziałam. – Po prostu... – Wsparłam się na łokciu, sięgając po kawę. Kevin podsunął kubek bliżej i odwrócił uchem do mnie. Podmuchałam i upiwszy łyk, stwierdziłam: – Nawet nieźła, chociaż raz.

Kevin wykrzywił usta w uśmiechu i spojrzał na mnie, jakby na coś czekał.

Uniosłam pytająco brwi.

– Chciałaś coś powiedzieć – przypomniał.

Cholera. Chciałam?

– Ja...

– Nie pamiętasz.

– Pewnie nie było to nic ważnego.

– Nie. – Zsunął się z sąsiedniej kanapy i ukląkł przede mną na wykładzinie. – Ty naprawdę nie pamiętasz, i nie chodzi tylko o to.

Poczułam w piersiach narastającą panikę, byłam jednak zbyt otępiała, by się z nią uporać.

– Do czego zmierzasz? – zripostowałam, może zbyt defensywnie.

Kevin sięgnął do kieszeni i wyjął coś, co pomimo ewidentnych problemów z pamięcią rozpoznałam jako swój notes.

– Wypadł ci. – Położył go delikatnie przede mną na sofie.

Gówno prawda. Rąbnął mi go z kieszeni, ot co! Śliski gnojek.

– Wypadł? Czyżby?

Zamyślił się nad odpowiedzią, po czym pokręcił przecząco głową.

– Nie, ale to bez znaczenia. Popatrz. – Otworzył notes na pierwszej stronie.

Łyknęłam kawy i spojrzałam na kartkę:

Nazywasz się Ali Green.

Do tej notatki przez pierwsze tygodnie rekonwalescencji bardzo często wracałam.

Poniżej mój adres.

Potem marka i model mojego wozu.

Zamknij frontowe drzwi. Brelok do kluczy!

– Ali.

– Ja...

– Wygadujesz na głos jakieś dziwactwa, które roją ci się w głowie. Urywasz w pół zdania i nie pamiętasz, co chciałaś powiedzieć. Właśnie kazałaś się pieprzyć całemu zespołowi, a potem

zwymiotowałaś na Dereka Burke'a i straciłaś przytomność. Albo pijesz i nie potrafisz się kontrolować, albo... Do kurwy nędzy, Ali, martwię się o ciebie!

Martwi się... Doprawdy? Nie wyglądał na zmartwionego. Wyglądał, jakby był wściekły. Mówił łagodnym tonem, ale drżały mu ręce, miał czerwoną twarz i próbował mi powiedzieć, że jestem wariatką. O to chodziło, prawda? Ten facet próbował mi wmówić, że zwariowałam. Dlaczego? Czym sobie na to zasłużyłam? Dlaczego on mi to robi?

– Chryste, niczego takiego nie robię i dobrze o tym wiesz! Jesteśmy przecież kumplami. A kumple troszczą się o siebie. Ile się znamy?

– Czy teraz mi przypomnisz, że jesteś jednym z tych dobrych?

Ugryzł się w język, spuścił głowę i kilkakrotnie wciągnął głęboko powietrze przez nos.

– Kevin, nie jestem szalona – skonstatowałam. Czy na pewno? – Nie byłam jeszcze gotowa, żeby wrócić, ale tu jestem i staram się wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafię, chociaż ty i cała reszta usilnie próbujeecie mnie przekonać, że nie wiem, co robię. Jasne?

Westchnął i przytaknął.

– Okej. Czyli wszystko z tobą w porządku. Świetnie. Tylko tyle chciałem wiedzieć. – Wstał i skierował się w stronę drzwi, potem odwrócił się do mnie i obrzucił spojrzeniem. – Do twojej wiadomości, technicy nie są w stanie wyodrębnić DNA z kości znalezionych w samochodzie Faireya. Będą musieli poskładać je do kupy jak układankę i dopiero wtedy spróbują ustalić tożsamość. A, jeszcze jedno. Udało nam się zidentyfikować tatuaże kolejnej dziewczyny z bagien. To Anja Jankovic z Hertfordshire. O dziwo, mimo iż Kerry Farrow była od stóp do głów pokryta tymi cholerstwami, nie zidentyfikowaliśmy ani jednego. Więc robi się ciekawie. – Otworzył drzwi, lecz po chwili wahania znów je zamknął i stojąc tyłem, powiedział cicho: – Nie powiem Jenny o twoim problemie. Ale dopilnuję, żebyś coś z tym zrobiła. Nie robię tego, żeby cię wkurzyć. Po prostu chcę, żebyś była zdrowa. – Wyszedł, zostawiając mnie samą z tym wszystkim, dosłownie i w przenośni.

Zatem Hertfordshire.

Pomimo szwankującej pamięci wiedziałam, że David Abbott był kierownikiem do spraw sprzedaży na ten region w firmie handlującej... cholera wie czym, chyba garnkami i rondlami albo czymś w tym stylu, a skoro ja to wiedziałam, to wiedziała też Jenny, i na pewno ucieszy się jak dziecko z tak oczywistej poszlaki.

Cóż, zatem wszystko w moich rękach.

Sięgnęłam pod sofę i wymacałam leżącą tam torbę. Wydobywszy z niej telefon, przewinęłam listę kontaktów i zatrzymałam się przy zdjęciu, na którym rozpoznałam twarz Edith. Wybrałam numer. Od razu włączyła się poczta głosowa.

– Możesz wpaść dziś wieczorem? – spytałam. – Potrzebuję twojej pomocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Annie podskoczyła na dźwięk klaksonu, a gdy się odwróciła, zobaczyła taksówkę czekającą z włączonym silnikiem przy krawężniku po drugiej stronie podjazdu.

Z sercem w gardle nachyliła się do okna mercedesa, wystarczająco nisko, by dostrzec parę nóg po stronie kierowcy, i siląc się na uprzejmy uśmiech, wydukała:

– Cholera, przepraszam... pomyliłam auta. – Zamknęła drzwi trochę zbyt delikatnie, bo się nie domknęły, więc otworzyła je ponownie ze słowami: – O Boziu, ale ze mnie idiotka – i zatrasnęła je, tym razem porządnie.

Poczuła się jak ostatnia pierdoła. Wciągnęła z drzeniem powietrze i w miarę pewnym krokiem podeszła do taksówki, w której ku swojej uciechu ujrziała znajomą twarz.

– Wszystko w porządku? – rzucił kierowca. Na imię miał Mo i mieszkał dwa miasteczka dalej. W czterech przypadkach na pięć, ilekroć wzywała taksówkę, bez względu na porę zjawiał się Mo. Miał pocziwą twarz i zdaniem Annie wyglądał jak typowy taksówkarz, czyli ktoś żywiący się na całodobowych stacjach paliw. Choć nie należał na rozmowę, jeśli Annie nie miała na nią ochoty, wiedziała, że od czterdziestu lat jest żonaty i ma siedmioro wnucząt, poza którymi świata nie widzi. Pomimo bolesnego ukłucia zazdrości, ujęło ją to za serce.

– Wariuję – wyznała z westchnieniem, przypinając się pasami.

Mo uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

– Och, moja droga, świat już dawno zwariował. Tylko do ciebie dopiero teraz to dotarło! Dokąd dzisiaj jedziemy?

– Dokąd chcesz – odparła. – Najlepiej w jakieś nowe miejsce, w którym będę mogła pośpiewać i zapać się na śmierć.

Po tym, jak na nią patrzył przez długą, pełną smutku chwilę, poznała, że chce jej pomóc. Aż za dobrze знаła ten wyraz twarzy. Ale Annie nie chciała pomocy od Mo. Nie chciała jej już od nikogo. Chciała po prostu się napić.

To był jeden z tych wieczorów, kiedy Mo nie nalegał na rozmowę.

Annie nie zadała sobie trudu, żeby przeczytać szyld nad drzwiami. Co więcej, nie była nawet pewna, czy jakiś tam wisi, ale to i tak nie miało znaczenia – ot, obskurna nora oddalona o dwie przecznice od Morza Północnego, z klejącą się wykładziną oraz wyraźnie wyczuwalnym odorem starego potu i rozlanego piwa. Gdy weszła do środka, jakiś spaślak z kucykiem, który mogłaby przysiąc, wyglądał – wypisz, wymaluj – jak sprzedawca komiksów z „Simpsonów”, katował akurat „I Will Always Love You”, wydzierając się do mikrofonu. I nikt go nie słuchał.

W klubie roilo się od ludzi, głównie facetów o zmęczonych twarzach, pochłoniętych przekrzykiwaniem się nawzajem, ale Annie nie czuła się nieswojo. Wzięła dwie podwójne wódki i usiadła przy stoliku w rogu, a potem wychyliwszy pierwszego drinka, omiotła salę wzrokiem, wypatrując w tłumie twarzy – zarówno przyjaznych, jak i wrogich – które mogła kojarzyć. Kilka wydało jej się znajomych, ale nie wywołały alarmu. Mogła się więc rozluźnić.

Piosenkarz, jeśli w ogóle można go tak nazwać, zdążył zaśpiewać „Power of Love” z repertuaru Jennifer Rush i przeszedł do „Take My Breath Away” grupy Berlin, gdy Annie wróciła do stolika z dwoma nowymi drinkami. I tym razem ktoś ją zauważył.

– Jesteś tu sama? – Pojawił się znikąd i zawisł nad jej stolikiem; w jednej ręce trzymał półlitrowy kufel czegoś ciemnego i spienionego, w drugiej zaś coś, co wyglądało na wódkę z tonikiem.

Annie zmierzyła mężczyznę wzrokiem – od błyszczących lakierków, przez zaprasowane na kant džinsy i opiętą na muskularnym ciele koszulkę do rugby, po wydatne zakola nad uniesionymi brwiami i zuchwałym uśmiechem. Nie był szczególnie przystojny – na pewno

nie wybrałaby go spośród tłumu – ale chociaż jej świadomy umysł się wzdragał, to jakaś jego część, ukryta głęboko, wzruszała ramionami, mówiąc: „A co tam, ujdzie”.

Już po raz drugi tego dnia się zacięła, rozdarła między dwoma odpowiedziami: „Najwyraźniej już nie” oraz „Pieprz się i spadaj na drzewo”.

– Odjęło ci mowę? – spytał nieznajomy.

Annie poczuła narastające w głowie ciśnienie, tętno jej przyspieszyło, a mięśnie rąk i nóg spięły się, gotowe do walki lub ucieczki. Wszystkie słowa, które ważyła na końcu języka, zastąpiły nagle dwa inne: „atak paniki”. Przed oczami mignął jej obraz, jak łapie za krawędź stołu, przewraca go, posyłając szklanki w powietrze, potem wbija łokieć w mostek mężczyzny i rzuca się biegiem do drzwi.

– Jestem Jason – przedstawił się z uśmiechem, zupełnie nieświadomy miotających nią uczuć. – Ciekawe, czy zgadnę, jak się nazywasz.

– To dla mnie? – Kobięcy głos. Dłoń na drinku Annie. Czyjeś ciało zajmujące miejsce obok. Powiew perfum. Dotyk wilgotnych ust na policzku. Ręka obejmująca jej ramiona. – Wybacz spóźnienie, kotku, ale miałam kupę roboty. Znacie się? Jason, zgadza się?

Jason przestąpił z nogi na nogę, rozlewając kilka kropli piwa na wykładzinę.

– Tak – powiedział, ale się nie ruszył. – Czyli wy dwie...

– O Boże – szepnął głos tuż przy uchu Annie. – Próbowaleś ją poderwać? – Roześmiała się, upijając łyk nie swojej wódki. – Ale obciach.

Jason spojrzał przez ramię, zapewne by sprawdzić, czy jego koledzy się z niego nie śmieją.

Śmiali się, a jakże! Trzej jednakowo odpychający mięśniacy – dwaj w wetkniętych za dzinsy koszulkach polo – stali przy barze, podśmiechując się głupkowato i wznosząc ku niemu drinki.

– Ja pierdolę – westchnął i postawił szklankę na stole. – Jeśli chcesz, możesz to wypić.

- Co jest w środku?
- Co masz na myśli?
- Dokładnie to, o co spytałam.
- Wódka z tonikiem, to samo, co zamówiła twoja dziewczyna.
- Bądź tak miły i to zabierz.

Wyglądał na zmieszanego i trochę przesadnie urażonego.

- Co? Myślisz, że go doprawiłem?
- Nie irytuj się i nie bądź dupkiem – zripostowała. – Po prostu zabierz drinka, oddaj go barmanowi i baw się dobrze, okej? Powodzenia następnym razem i takie tam.

Jason prychnął, pokręcił głową i chwyciwszy drinka, rzucił:

- Jak sobie chcesz. Pieprzone wagitarianki.

Parsknęła śmiechem.

- Och! Oby mieli coś Cyndi Lauper, bo „dziewczyny chcą się zabawić”.

Jason ewakuował się bezzwłocznie. Ręka nieznajomej zsunęła się z ramion Annie, pozostawiając po sobie wspomnienie w postaci gęsiej skórki. Drink uderzył głucho o blat i stuknął z brzękiem o drugą szklanę.

- Przepraszam – powiedziała kobieta. – Mam nadzieję, że się nie zagalopowałam. Wyglądałaś, jakbyś miała wpaść w panikę.

Annie rozluźniła pięści i szczęki, wciągnęła w płuca haust powietrza i odetchnęła przeciągle, z rozmysłem, czując, jak jej towarzyszka przesuwa się na siedzeniu, by dać jej więcej przestrzeni. Skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu, jednocześnie zaciskając powieki, żeby powstrzymać napływające łzy. Wreszcie nie wytrzymała pieczenia i otworzyła oczy z sapnięciem, pozwalając, by strząśnięte mrugnięciem krople zrosiły jej policzki i rozmyły wzrok.

- Boże, pewnie myślisz, że jestem żałosna – stwierdziła, siląc się na śmiech, kiedy spojrzała na swoją wybawczynię.

Czegokolwiek się spodziewała po ostrym tonie głosu, obejmującej ją ciężko ręce, nieukrywanej nonszalancji i wyczuwalnej obecności tej osoby, myliła się. Kobieta okazała się ledwie drobną dziewczynką,

takie przynajmniej sprawiała wrażenie. Miała szczupłe ramiona, talię osy i kościstą sylwetkę, lecz jej twarz, okolona czarnymi włosami – zbyt prostymi, by były dziełem Boga – zdradzała młodzieńczą delikatność. Wyglądała, jakby nie czuła się zbyt dobrze w tym zabiedzonym cieple, jakby nie nawykła do swojej chuchrowatości. Annie dałaby jej nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat, gdyby nie jej oczy. Gdy spojrzała w ich ciemną otchłań, dostrzegła znajome odbicie skrywanych blizn, które sama gromadziła latami, a tych lat z pewnością było więcej, niż ta dziewczyna ich miała. Jednak w jej uśmiechu nie było bólu.

– Skądże znowu! – zaprzeczyła. – Świat to niebezpieczne miejsce, zwłaszcza dla dziewczyn. Musimy dbać o siebie nawzajem, bo żaden skurwiel tego nie zrobi.

Annie roześmiała się.

– Wypiję za to – oświadczyła, jakby potrzebowała pretekstu. Chwyła drugą wódkę i przesunęła ją po pustym blacie w kierunku nieznanym. – Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć.

Dziewczyna uśmiechnęła się i sięgnęła za plecy do sąsiedniego stolika po butelkę coli ze słomką.

– Prowadzę – powiedziała i upiła trochę napoju. – Ale ty sobie nie żałuj.

– Nie zamierzam. – Przechyliła szklanę, stukając nią o butelkę, wylała przy tym trochę wódki na palce, a potem je oblizała. Dziewczyna przyglądała się jej przez chwilę, wystarczająco długo, by wprowadzić ją w zakłopotanie. Czując zalewającą twarz falę gorąca, Annie wzięła zdecydowanie za duży haust alkoholu i prawie się zakrztusiła.

– Widzę, że idzie ci to całkiem dobrze – skomentowała ze śmiechem nieznaną, a w jej oczach zamigotały psotne ogniki.

– Słuchaj. – Annie pociągnęła kolejny łyk, opróżniając szklanę. – Nie chcę być nieuprzejma, ale...

Dziewczyna skinęła głową ze zrozumieniem.

– W porządku – stwierdziła, sięgając po torebkę. – Nie chciałam

przeszkadzać.

– Och, nie. Nie o to mi chodzi. – Annie odstawiła pustą szklanke i podniosła pełną. – Ja tylko... to znaczy ja... – Na widok uniesionych w zdziwieniu brwi zarumieniła się ze wstydu. Wzięła głęboki oddech i wydusiła: – Nie jestem lesbijką.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Nic mi do tego. To znaczy, ja też nie, więc... możemy przybić piątkę.

– O Boże.

– Cóż, pewnie mogłabym zrobić wyjątek dla tej... tej aktorki, która grała Wonder Woman. Jak jej tam?

– Lynda Carter?

– Lynda Car... Hej, mam dopiero dwadzieścia jeden lat!

– No tak. Przepraszam.

Nieznajoma roześmiała się i upiła trochę coli.

– No więc – podjęła – co taka miła dziewczyna robi w takim miejscu jak to?

– Ha! Bo ja wiem... Chowam się?

– Przed czym?

– Przed życiem. A ty?

– Przed facetami.

Annie prychnęła z pogardą.

– Za to też wypiję. Ostatni, którego polubiłam, okazał się psychopata.

No i proszę. Powiedziała to na głos.

– Też to przerabiałam. – Dziewczyna wyciągnęła dłoń i tym razem naprawdę przybiły piątkę.

– Ty, ja i pewnie każda kobieta, którą tu widzisz. Napijesz się jeszcze?

Godzinę i trzy podwójne wódki później to samo pytanie wróciło pod postacią mało zrozumiałego bełkotu, a w odpowiedzi padło:

– Chętnie. Umiesz śpiewać?

– Co?

Dziewczyna wskazała kciukiem kobietę w średnim wieku z fryzurą rodem z lat osiemdziesiątych i w ramonesce z frędzlami, która właśnie zarzynała „Because the Night”.

– Umiesz śpiewać?

Annie parsknęła śmiechem.

– Gdzie tam.

– Śpiewasz lepiej niż ona?

– Zdecydowane nie.

– Ekstra. Ty załatw picie, a ja wybiorę numer.

Annie stanęła więc przy barze, rozmyślając o tym, jak bardzo polubiła tę dziewczynę, która zjawiała się znikąd i tak niewiele o sobie zdradziła. Nie znała nawet jej imienia, a teraz zdawało się, że jest już trochę za późno, by o nie spytać, więc pomyślała, że się przedstawi, ot tak, mimochodem, gdy będą się żegnać. A może lepiej, żeby w ogóle o tym nie wspominała i zapamiętała ją jako swego rodzaju anioła stróża, postać ni to realną, ni wymyśloną. Raczej mityczną. Jak jednorożec albo jak...

Nie potrafiła tego nazwać. Ale na pewno było to coś zrodzonego z dziecięcej fantazji – tyle wiedziała. Dziewczyna była jednak jak najbardziej prawdziwa, bo Annie wiedziała również, że nie jest jedyną osobą w pubie, która ją widziała. Co więcej, było w niej coś uporczywie znajomego, ale za żadne skarby nie potrafiła powiedzieć co. Może jej oczy, pomyślała, albo usta, albo kształt twarzy, albo jeszcze coś...

Olśniło ją dopiero później w brutalnym, przerażającym przebiegu, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi i odgłos kroków, które zatrzymały się przed jej kabiną, akurat kiedy rozmyślała o tym, jak bardzo nienawidzi toalet w pubach i jak bardzo jest bezbronna, siedząc ze spuszczoneymi do kostek majtkami w dobudowanym, zimnym i wilgotnym wychodku.

Ale nie teraz, bo teraz ta sama dziewczyna machała na nią z przejściem z maleńkiej sceny na tyłach baru, więc Annie odstawiła drinki na głośnik, chwyciła mikrofon i już nie miała czasu, by myśleć

o czymkolwiek. W ten oto sposób spędziła swoje ostatnie cudownie bez troskie chwile jako Kenny Rogers w duecie z Ericą Shaw w roli Dolly Parton, śpiewając „Islands in the Stream” w jakiejś speluncie dwie przecznice od doków przed kompletnie obojętną publicznością.

CZEŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Spodziewałam się niechętnego, a nawet agresywnego powitania, ale Carla nie okazała żadnych emocji, gdy otworzyła frontowe drzwi i ujrzała mnie w progu, gdy ćwiczyłam mowę mającą usprawiedliwić to najście. W dłoni ścisnęła klucze, a na ramieniu dyndała jej jedna z tych ekologicznych toreb na zakupy, ale nawet nie burknęła, że się śpieszy. Po prostu znieruchomiała, zmierzyła mnie pustym wzrokiem i odsunęła się, wpuszczając do środka.

Przystanąłam w drzwiach do kuchni. Carla rzuciła w kąt torbę i klucze, nalała wody do czajnika i wyjęła z szafki dwa kubki. A potem, chyba wyczuwając moje zmieszanie, powiedziała:

– Proszę usiąść, zaraz przyjdę.

Zrobiłam, jak nakazała, i cicho, na paluszkach przeszłam do pokoju, zupełnie jakbym nie miała prawa tu być. Co oczywiście było bzdurą. Rano nie zameldowałam się w komendzie, tylko przyjechałam od razu tutaj, ale przynajmniej zadzwoniłam i poprosiłam Dana, żeby przekazał Kevinowi, by powiedział Jenny, gdzie jestem, o ile w ogóle zapyta. Chciałam również pogadać z Annie, ale nie było jej na miejscu. Podobno zadzwoniła o czwartej nad ranem, tłumacząc, że nie przyjdzie do pracy, bo źle się czuje. Wcale mnie to nie zdziwiło, chociaż poczułam lekkie ukłucie winy, częściowo zrodzone ze świadomości, że wciągnęłam ją w coś, co pewnie przysporzy jej kłopotów, lecz głównie spowodowane tym, że byłam dla niej wredna. Jeśli poszła w pijackie tango, to za to, że teraz sama muszę odwalać całą robotę, mogłam mieć żal tylko do siebie. Tak czy owak: beznadzieja.

Gdy Carla wreszcie do mnie dołączyła, usiadła wyprostowana na brzegu kanapy, postawiła na stole kubki i wykrzywiła usta w pierwszym jak dotąd uśmiechu, który zmienił jej twarz nie do

poznania. Wyglądała na odmłodzoną i zrelaksowaną, zupełnie nie przypominała tej roztrzęsionej kupki nieszczęścia i smarków, której obraz wyrył się w moim umyśle.

– Dziękuję – zaczęłam, smakując kawę, i zaraz dodałam: – Przepraszam, że nie uprzedziłam o swojej wizycie. – Z tego, co pamiętałam, ta strategia w przeszłości nie zawsze działała na moją korzyść.

– Nie szkodzi – odparła. – I tak bym wróciła za dwadzieścia minut. Nie planowałam wielkich zakupów.

Odwzajemniłam jej uśmiech, skinęłam nieznacznie głową, a potem nieco skrepowana zatopiłam wzrok w kawie.

– Jak się czujesz? – spytałam.

Parsknęła cynicznie i odparła:

– Cóż, sińce jeszcze bolą, ale przynajmniej nie przybyło mi nowych.

Spojrzałam na jej rękawy, były naciągnięte aż na dłonie, tak jak we wtorek. Widziałam, co wówczas skrywały. Te ślady nieprędko się zagoją.

– Zabawne – powiedziała w zadumie. – Z reguły gdy żona traci męża, po pogrzebie wyrusza w sentymentalną podróż pełną ckliwych wspomnień. Zgodzisz się ze mną? Dzieli się nimi z każdym, kto zechce jej wysłuchać. Wyciąga stare albumy ze zdjęciami i pokazuje, jacy byli razem szczęśliwi. Słyszy się tylko: „Czy opowiadałam ci, jak kiedyś...?” i „Och, spójrz na niego, zawsze umiał się bawić!”. – Łyknęła herbaty i wskazała palcem moje kolana, a raczej, jak szybko wywnioskowałam, kanapę pod nimi. – Richard dusił mnie na niej, dopóki nie straciłam przytomności. – Przeniosła wzrok na stolik kawowy, na którym właśnie spoczął mój kubek. – Któregoś razu mnie popchnął i rozcięłam sobie głowę o róg tego stolika. Już nie pamiętam, ile razy gwałcił mnie na tym dywanie. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek... – Zawahała się, uśmiechnęła przepaszająco, poczekala, aż skinę głową na znak aprobaty, i dopiero wtedy dokończyła. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio uprawiałam seks, bo sama tego chciałam, nie płacząc, nie krzycząc i nie robiąc wszystkiego, by

zmniejszyć nacisk na to, co akurat mi złamał. To jest właśnie to, czym się mogę podzielić, a nie jakieś szczęśliwe wspomnienia. Chyba nawet takich nie mam. Ale to się zmieni, bo ten człowiek już nigdy mnie ich nie pozbawi. – Uśmiechnęła się ponownie, lecz tym razem jej oczy jaśniały blaskiem. – Więc wybacz, jeśli nie jestem zbyt pomocna, ale cieszę się, że Richard nie żyje. Po prostu... czuję ulgę, rozumiesz? Nie dbam o to, że o tym wiesz ani jak to brzmi, bo przecież obie tu byłyśmy, gdy to się stało. Obchodzą mnie tylko moje córki. I wiem, że uważasz, że zrobiła to Erica, i że to ona zabiła twoich przyjaciół i kogo tam jeszcze, ale nigdy, przenig...

– Właściwie wcale tak nie uważam – przerwałam jej.

Carla zamilkła na kilka długich sekund i przyglądała mi się badawczo, zapewne wypatrując jakiejś oznaki, że próbuję ją podejść. Wytrzymałam jej spojrzenie, starając się myśleć raczej o tym, co zjem na kolację, niż o tym, jak zachowują się moje oczy. Jedno fałszywe drgnienie powiek mogło wszystko zaprzepaścić.

– Nie? – spytała wreszcie.

Pokręciłam głową i przełknęłam kawę.

– Nie. Nie osobiście. Będę z tobą szczerą. – Przynajmniej częściowo. – Większość osób, z którymi pracuję, jest odmiennego zdania. Myślą, że jest co najmniej współwinna. Carla, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Mężczyzna, z którym, jak sądzą, jest w zмовie, ten sam, który moim zdaniem przez trzy miesiące więził twoją córkę w klatce i zamordował mojego kolegę Elega, a mnie posłał do szpitala... Ten mężczyzna nie jest jej przyjacielem i dopadnie ją przede mną, chyba że mi pomożesz. Nie pogrywam z tobą. To nie jest żaden podstęp. Owszem, mam do niej mnóstwo pytań, ale moim priorytetem jest niedopuszczenie do jej śmierci. Bez względu na to, co myślisz, bez względu na to, czy uważasz, że naprawdę zabiła trzech policjantów i że to ona poderżnęła gardło twojemu mężowi, teraz, szczerze mówiąc, mam to gdzieś, bo ten psychopata bez wahania ją zaszlachtuje. Naprawdę nie uważam, by za tym wszystkim stała Erica. Myślę, że to jego sprawka, a to oznacza, że był tutaj, pod tym domem,

dwa dni temu. I obie wiemy, że Erica też tu była, więc bardzo cię proszę, pomóż mi ocalić jej życie. – Sięgnęłam do kieszeni, wyjęłam wizytówkę Edith i położyłam ją przed nią na stoliku. – Zadzwoń pod ten numer – powiedziałam. – To naprawdę dobra prawniczka, specjalistka od prawa karnego, a poza tym moja bliska przyjaciółka. Zgodziła się reprezentować cię *pro bono*, a jeśli będziesz się jej słuchać, to wszystkie twoje problemy pójdą w zapomnienie. Obiecuję ci to, ale pod warunkiem, że teraz posłuchasz się mnie i zrobisz to, o co cię proszę. No więc mów.

Carla skuliła się w sobie, tuląc w dłoniach kubek i przyciągając kolana do piersi. Dałam jej chwilę na przetworzenie moich słów.

Może trochę przesadziłam, pomyślałam ze strachem, kiedy przygryzła dolną wargę i przeniosła wzrok na szkolne zdjęcie Eriki stojące daleko na półce za moimi plecami.

W końcu westchnęła, dopiła herbatę i odstawivszy pusty kubek, powiedziała:

– Nie chciałabyś kupić trochę mosiężnego szmelcu?

Nie odpowiedziałam, tylko czekałam cierpliwie, słuchając tykania niewidzialnego zegara. Pomyślałam o Edith i o tym, żeby zadzwonić do niej po powrocie do domu, a potem utkwiałam spojrzenie w oczach Carli, próbując ją zmusić do wyznania prawdy.

I wreszcie to zrobiła.

Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę nie napawa szczególnym niepokojem, skoro prędkość sama w sobie jeszcze nikogo nie zabiła. Co innego, kiedy na drogach roi się od półgłówków niepotrafiących korzystać z lusterek, a ty akurat nie czujesz prawego biodra i nie wiesz, gdzie masz stopę, i przepychając się wolniejszym pasem, wręcz słyszysz pełne dezaprobaty cmokanie pozostałych użytkowników drogi. Wtedy zaczynasz się stresować. Tym bardziej jeśli gnasz sto sześćdziesiąt na godzinę tylko z jakiegoś błędnego przekonania, że sto sześćdziesiąt to za szybko – pewna miara brawury skutkująca automatyczną utratą prawa jazdy – a sytuacja jest tak nagląca, że

należałoby pędzić co najmniej z prędkością światła.

Wiem, że to nielogiczne. Nie ścigałam się z czasem, no, może nie do końca. Ale nikt go nie odliczał. Żadne namacalne dowody nie wskazywały na bezpośrednie zagrożenie. Tamten mężczyzna, o ile mi wiadomo, nie zbliżał się właśnie do kryjówki Eriki. Jeśli wiedział, gdzie ona jest, to możliwe, że już tam był, załatwił sprawę i odjechał, a ja narażałam życie swoje i innych w szalonym pościgu, żeby odnaleźć dwudniowe zwłoki. Ale jeśli nie wiedział i go tam nie było, to Erica prawdopodobnie siedziała sobie w podkoszulku i majtkach, oglądając jakiś teleturniej i konsumując gotowe danie z mikrofalówki, więc równie dobrze mogłabym nie przekraczać setki. Zmierzam do tego, że ta scena jest całkowicie pozbawiona suspensu.

A jednak zanim objechałam miasto, byłam skąpana w pocie i łzach, gardło zaś miałam zdarte od krzyku. Na głównych drogach w kierunku rozlewisk wcale nie było lepiej; cztery razy ledwo uniknęłam wypadku, wymijając ciągniki, ciężarówki i przygodnych kierowców, którym najwyraźniej nigdzie się nie śpieszyło. Gdy jezdnie zaczęły się zwązać ku wybrzeżu, pokonywałam ślepe zakręty z zabójczą prędkością, mijając o włos jadące z naprzeciwka pojazdy; ścisnęłam kierownicę tak mocno, że wręcz czułam, jak się wygina w moich ogarniętych przerażeniem pobielających dłoniach.

Samochód był uwalany ziemią aż do klamek, śmierdział rozgrzaną gumą i przypalonym sprzęgłem, gdy wreszcie zatrzymałam się w deszczu żwiru i wyskoczyłam na zewnątrz; kłamra pasa odbiła się z trzaskiem od szyby, drzwi odskoczyły na zawiasach i uderzyły mnie w chore biodro. Potknęłam się, ale zdołałam zachować równowagę, zaciskając zęby z bólu, który przeszył mój bok aż do kości. To nie był odpowiedni moment.

Za mną wzdłuż wąskiego traktu biegnącego klifowym wybrzeżem ciągnął się rząd starych domków z prefabrykatów. Nie pamiętałam, którego z nich szukam. Na szczęście Carla rozrysowała mi wszystko na dwóch stronach notesu, między które wsadziłam telefon. Do niczego innego się nie nadawał, nie miałam nawet kreski zasięgu.

„Tyko połączenia alarmowe” – oznajmiał komunikat na wyświetlaczu, przyprowadzając mnie tym samym o skurcz żołądka.

Stałam bokiem do piekącego słońca, obróciłam mapę odpowiednio względem morza po lewej i biegnącej na wprost drogi, po czym przyjrzałam się domkom. Powojenne miniatury parterowców w stylu ranczerskim, niby różne, a jednak takie podobne: wszystkie przeżarte przez korniki, z gankami i zakurzonymi szybami, bladożółte lub niebieskie albo niegdyś pewnie białe. Przed dwoma pierwszymi na trawnikach parkowały samochody. Trzeci sprawiał przygnębiające wrażenie opuszczonego, jakby nikt od dziesięciu lat nie przekroczył jego progu. Nie podobało mi się to. Ta cisza zdawała się bardziej ogłuszająca niż ryk fal rozbijających się w dole o skały, a moje ciało raz za razem przechodziły ciarki. Wmawiałam sobie, że to tylko zimny wiatr przenikający moją wilgotną koszulę, ale wiedziałam, że to kłamstwo. To nie była sprawka wiatru. Po prostu się bałam.

Natomiast mapa sporządzona przez Carlę w ogóle nie budziła we mnie przestachu. Była narysowana pewnymi, płynnymi pociągnięciami ołówka i utrzymana idealnie w skali. Jakies sto metrów od samochodu dostrzegłam przerwę między domkami, działkę, której granice Carla zaznaczyła grubą kreską. Wzięłam więc kilka głębokich oddechów i zapewniwszy się w duchu, że wszystko gra, ruszyłam przed siebie.

Owszem, przemknęło mi wówczas przez myśl, że mogę się mylić, że niewinność Eriki jest tylko kwestią mojej ślepej wiary, której nikt inny nie podzielał. Istniały spore szanse, że mnie obserwowała, tylko czekając na to, aż znajdę się w zasięgu ręki i odsłonię szyję. Ale jakoś w to nie wierzyłam, nie w tamtej chwili. A już na pewno nie wierzyły w to moje nogi; prawa była zbyt skupiona na stwarzaniu pozorów normalności, a lewa była zajęta robieniem tego, co powinny robić obie, i zanim pełna narastającej trwogi przejrzałam ich zdradziecki spisek, zaniosły mnie na skraj pustej parceli.

Domek kempingowy ojca Eriki, zgodnie z nakreśloną przez Carlę

mapką, stał zwrócony dłuższym bokiem do morza, jakiś metr od krawędzi klifu. Wzdłuż ściany ciągnęły się trzy szerokie okna, a zatem nie było szans, żebym zakradła się niepostrzeżenie. Mając za sobą jedynie pole kukurydzy, byłam tak świetnie zakamuflowana, że równie dobrze mogłabym machać pomponami i ciągnąć za sobą sznur puszek.

Na pierwszy rzut oka nic jednak nie wskazywało, że coś mi grozi. Na szerokim pasie zieleni ani nigdzie w pobliżu nie parkowały żadne pojazdy, w żadnym z okien nie dostrzegłam twarzy, moje oczy nie uchwyciły żadnego ruchu.

Przesunęłam wzrokiem po obrzeżach sąsiednich posesji. Odgradzały je rzędy zachwaszczonych krzaczków oraz niski płotek z rozpiętym między słupkami pojedynczym drutem. Parterowe domki były tak samo nieosłonięte jak ja – nie było ani drzew, ani gęstych zarośli, niczego, za czym mógłby się skryć nawet przywarty do ziemi napastnik. W nieruchomym powietrzu nie wyczułam złowieszczonego napięcia. Włosy nie zjeżyły mi się na karku. Nic podświadomie nie kazało mi się zatrzymać.

Nie byłabym jednak zdziwiona ani zaszokowana, gdyby ktoś zepchnął mnie z urwiska, kiedy tak kuśtykałam wokół budynku. Miałam pełną świadomość, że postępuję nierozsądnie, zwłaszcza że wiedziałam – bo znowu sprawdziłam – że nadal nie mam zasięgu, i stałam niecały metr od skalistej przepaści, o krok od niechybnej śmierci, patrząc na mapę, ustawiony tu domek, urzekający błękit morza i nieba, cudownie złocistą plażę i zapisaną w notesie informację:

Klucz w l. kieszeni.

W domku nikogo nie było; tyle wiedziałam, jeszcze zanim zapukałam do drzwi i wszystkich okien, zawołałam Ericę po imieniu i zajrzałam przez szybę, a potem pod domek. Ktoś jednak musiał tu mieszkać, i to całkiem niedawno. W zlewie stały naczynia, łóżko było niepościelone. Uznałam, że to wystarczy, żeby wkroczyć, wygrzebałam więc klucz wraz ze starym zardzewiałym brelokiem

królewskiego automobilklubu – ten, który Carla wydobyła z za
kuchennej szuflady – uspokoiłam oddech, rozmasowałam prawe udo
i weszłam do środka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Niech ją szlag! Za kogo ona się, kurwa, ma?

Kevin oderwał ręce od zaciśniętych oczu i przetarłszy nimi twarz, przeczesał włosy, zatrzymując dłonie na karku. Rozmasował go z jękiem, patrząc, jak Jenny zmiata do szuflady zawalające biurko przybory, chyba tylko po to, żeby zamknąć ją z trzaskiem.

– Nie chcę się w to mieszać – stwierdził.

– Jeszcze czego! Jesteś jej partnerem. Co się z nią dzieje? „Pojechałam znaleźć Ericę”. Co to ma, kurwa, znaczyć?

Pokręcił głową i otworzył oczy.

– Krótko z nią pracowałem. Lowry przydzielił nas do sprawy trzy dni przed tym, jak została ranna.

– Ale się przyjaźnicie, no nie?

Kevin westchnął i wzruszył ramionami. Jeszcze tydzień temu odparłby twierdząco. Jeszcze tydzień temu przyjąłby kulę za Ali Green, choć kiedy ostatnio miał ku temu okazję, tarzał się po ziemi z rozłupaną czaszką. Ale teraz?

– Wiesz, co przeżyła – oznajmił. – Nie możesz od niej oczekiwać, że będzie...

– Kim? – Jenny obeszła biurko i przysiadła na brzegu, a potem rzuciła, próbując sprowokować go do odpowiedzi: – Sobą? Dobrą policjantką? Wsparciem, a nie kulą u nogi?

– To nie fair – warknął. – Nie znasz jej. – Ugryzł się w język, świadomy swojego tonu. Mimo to rozpierała go duma.

Jenny skinęła głową ze zrozumieniem.

– Więc opowiedz mi o niej. Lubisz ją, prawda? Darzysz ją szacunkiem?

– Tak.

– To skąd ten chłód między wami? Zauważyłam, że od jakiegoś

czasu schodzicie sobie z drogi, więc najwyraźniej coś jest nie tak. Co zrobiła? Dała ci kosza?

Kevin poczuł, jak przyśpiesza mu serce, i zanim pomyślał, odruchowo chwycił się za palec serdeczny.

– Co insynuujesz? – spytał ze złością. Właściwie pytanie było zbędne, ale przynajmniej teraz piłeczka była po stronie Jenny.

Ona jednak nie odpowiedziała; po prostu siedziała, bawiąc się zszywaczem, i wpatrywała się w niego z uniesioną brwią.

Spasował.

– Nic z tych rzeczy – zaczął się tłumaczyć. – Mam żonę, a Ali jest...

No właśnie, jaka? Niezainteresowana? Nie w jego typie? Obojętna na mężczyzn? Sam nie był pewny; po prostu czepiał się wszystkiego, co mogłoby poświadczyć niewinność jego intencji, choć Jenny wcale go o to nie prosiła. Wiedział, że za bardzo protestuje i byłoby lepiej, gdyby zwyczajnie odparł ze śmiechem: „Ha, ha, tak, właśnie o to chodzi”, przewrócił oczami i szybko zmienił temat.

Tylko czy na pewno? Może właśnie rozegrał to po mistrzowsku, zupełnym przypadkiem ratując tyłek koleżance. Zresztą nie po raz pierwszy.

Spuścił więc głowę i ponownie zamknął oczy, uciekając przed wzrokiem Jenny i zastanawiając się, czy jest w stanie oblać się rumieńcem.

Nie był, ale Jenny najwyraźniej zaakceptowała jego odpowiedź, przynajmniej na razie.

– Ciężka sprawa – skomentowała. – Uwierz mi, wiem, co mówię. Mnie też się zdarzyło zakochać bez wzajemności, i to nie raz. – Roześmiała się nerwowo, siląc się, jak mniemał, na współczujący ton, ale wyszło sztucznie.

Pokiwał spuszczoną głową, w której kłębiły się pogmatwane myśli.

– Możemy o tym nie mówić? – odezwał się wreszcie.

Przewróciła oczami.

– W porządku – oznajmiła. – No więc jak sądzisz? Ma rację? Podchodzę do tego zbyt rzeczowo?

O Boże. Nie dotarło do niej, że nie chcę się w to mieszać? – pomyślał. Wzruszył wbrew sobie ramionami i pochwyciwszy jej uporczywe spojrzenie, powiedział:

– Nie wiem. To znaczy trudno, żebym był obiektywny, prawda? Spotkałem Ericę ten jeden raz, kiedy zdzieliła mnie w głowę i groziła, że mnie zastrzeli, ale to, czy uważam, że to ona za tym stoi, to zupełnie inna sprawa.

– A uważasz tak?

Pytanie za milion funtów.

– Nie wiem – powtórzył. – Nie wydaje mi się, żeby to ona nakłoniła Reeda do zabicia tych wszystkich dziewczyn. Sądzę, że Ali dobrze go oceniła. Mógł rzeczywiście sprawować nad nią... Tę, no... Wypadło mi z głowy. Kontrolę represyjną?

Jenny przytaknęła głową, zachęcając go gestem, żeby kontynuował.

– Prawdopodobnie zmusił ją, żeby pomogła mu pozbyć się Faireya i Keitha, ale to wcale nie znaczy, że ich zabiła.

– Nie znaczy też, że tego nie zrobiła.

– Racja. Kto wie, może cierpi na... jak to się nazywa? To ma swoją nazwę. Chodzi o ten syndrom, gdy ofiara porwania zaczyna odczuwać sympatię do...

– Sztok...

– Wiesz, co mam na myśli. Nie twierdzę, że jest niewinna, ale wydaje mi się, że to bardziej skomplikowane. Poza tym, wiesz, ona ma sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i waży ile? Z sześćdziesiąt kilogramów? Raczej nie jest typem drapieżcy. Tak, tak, to nie znaczy, że nie jest zdolna do tego, by podciąć komuś gardło, ale... Czy ja wiem? Po prostu tego nie czuję. Ale Ali na pewno ma rację w jednej kwestii.

Jenny poruszyła się nerwowo na biurku, zacisnęła szczęki i porzuciła zszywacz.

– W jakiej? – mruknęła.

– Cóż, to prawda, że tylko ty z całego zespołu nie wiesz, jak to wyglądało z perspektywy Eriki. Wszyscy przeszliśmy te same szkolenia, ale Ali tam była. I ja też tam byłem. Widziałem, jak bardzo

była przerażona. Stałem pośrodku tamtej klatki. A dzisiaj stałem pośrodku bagniska i patrzyłem, jak wyciągają tamte dziewczyny w workach na śmieci. To... – Westchnął ciężko, opanowany nagłym zmęczeniem. Łysy placek na czubku głowy zaczął go swędzieć. Wiedział, że posuwa się za daleko, ale gdzieś w środku, w najgłębszym zakamarku duszy, czuł się z tym dobrze. Dawno już nie przekroczył żadnej granicy. Dlatego wyrzucił ręce w powietrze, jakby miał wszystko gdzieś, i przestał się hamować. – Po prostu nie masz pojęcia, o czym gadasz – skwitował.

Zapadła cisza. Jenny przyglądała się Kevinowi spod przymrużonych powiek, wargę lekko jej drżała, dłonie pobieleły od ściskania krawędzi biurka.

Kevin nie wiedział, co powiedzieć. Przeszło mu przez myśl, żeby wstać i wyjść z gabinetu; podejrzewał, że i tak zostanie wyrzucony za drzwi. Zwlekał jednak zbyt długo, a im dłużej się zastanawiał, tym było coraz gorzej. W końcu zrobiło mu się głupio, poczuł się nikim i zaczął kolejno kwestionować w duchu wszystkie swoje życiowe wybory, od obecnej chwili wstecz, dopóki ktoś mu nie przerwał tej wyliczanki.

– Racja – rzuciła Jenny, wyrywając i siebie, i Kevina z zadumy. Zeskoczyła z biurka, podniosła leżącą za nim torbę i ruszyła w stronę drzwi.

Kevin patrzył, jak wychodzi, myśląc o tym, ile sekund powinien poczekać, zanim za nią podąży, i na jaką dozę nonszalancji będzie go stać w zderzeniu z jej furią.

O dziwo, gdy się do niego odwróciła, w jej rysach przebijała wesołość, a na ustach majaczył niepokojący cień uśmiechu.

– No chodź – powiedziała. – Zróbmy to, do cholery.

Jenny, jak się okazało ku przerażeniu Kevina, lubiła Whitney Houston. I to bardzo. Znała na pamięć słowa piosenek, których nigdy nie słyszał, przez co czuł się trochę wyobcowany, kiedy gapił się w milczeniu na przesuujące się za oknem pobocze. Szczęśliwie

Jenny miała przynajmniej miły głos.

Mimo wszystko z racji tego, że nie wiedział, jak jest do niego usposobiona, pewnym niepokojem napawał go fakt, że z maniakalną wręcz wesołością pędziła na południe, wciskając gaz w podłogę i niemal wydzierając się mu prosto do prawego ucha.

Dwadzieścia minut później wreszcie zamilkła. Wyłączyła muzykę, włączyła nawigację i zjeżdżając z dwupasmówki, skierowała się w głąb lasu.

– No dobrze, Kevin. – Poprawiła się na siedzeniu bmw, dostosowując się do falującego rytmu drogi. – Starczy tego milczenia. Opowiedz mi coś o sobie. Kto będzie na ciebie czekał, gdy wrócisz do domu?

Potrzebował chwili, żeby oswoić się z tą nagłą zmianą nastroju i dzwoniem w uszach. Jeśli chciała zawrzeć pokój, pomyślał, to dziwnie się do tego zabierała.

– Hmm... – Pora, jaką wybrała na to, by lepiej go poznać, również wydała mu się dziwna. Gdyby to był film o gliniarzach, przemknęło mu przez myśl, to właśnie w tym momencie jego niedoświadczona partnerka zaczęłaby mówić o swojej rodzinie, a za chwilę zginęłaby od kuli. Tak czy owak: – No więc moja żona ma na imię Gemma i jest kontrolerem lotów w wojskowej bazie Marham – powiedział z zakłopotaniem.

– Jak długo jesteście małżeństwem?

– Siedem lat. Ale jesteśmy ze sobą właściwie od liceum.

– Och – mruknęła czule. – To naprawdę urocze. Macie dzieci?

Kevin się skrzywił. Teraz na pewno przeciągali strunę.

– Pracujemy nad tym – odparł. – Staramy się od pięciu lat i właśnie się dowiedziałem... cóż, wygląda na to, że w końcu się nam udało. Nie powiedziałem jeszcze nikomu w pracy, więc zachowaj to dla siebie, dobrze?

– Nikomu nie pisnę słowem – przyrzekła, obnażając lśniące zęby w radosnym uśmiechu, który zdaniem Kevina wyglądał szczerze. – Och, Kevin, gratuluję!

Także pozwolił sobie na uśmiech, podyktowany raczej dumą niż czymkolwiek innym.

– To było długie pięć lat – stwierdził. – Potrzebowaliśmy sporo... pomocy. No wiesz. A ty? Zdradzisz mi coś o sobie?

– Och, mój mąż jest pisarzem. – Roześmiała się. – A przynajmniej tak twierdzi. Cholera, dla mnie jest zwykłym obibokiem, ale cóż. Też ma na imię Kevin. – Zaczęli się śmiać z tego zbiegu okoliczności, choć Kevin zinterpretował to trochę tak, jakby i jego miała za obiboka. – Dzieci są już dorosłe i nie mieszkają z nami, a Kevin właściwie prowadzi nocny tryb życia i prawie ze sobą nie rozmawiamy. Poważnie, mogłabym jutro umrzeć, a on zauważyłby to dopiero po tygodniu. Ale nie narzekam, przynajmniej mam dla siebie całe wielkie łóżko. Materac jest z pianki, która zapamiętuje kształt. Masz taki?

– Nie.

– O mój Boże, to zupełnie inna jakość snu. Kiedyś miałam straszne problemy z kręgosłupem, ale odkąd go kupiłam, odeszły w niepamięć. Jest naprawdę miękki. Po prostu cudowny... To chyba gdzieś...

Żeński głos nawigacji ubiegł Jenny, nakazując jej skręcić w prawo za osiemset metrów. A już chwilę później Kevin odpinał pasy, wysiadał z samochodu i odciągał blokadę bramy u podnóża długiego, mrocznego, krętego podjazdu prowadzącego do domu tamtego mężczyzny.

Wspomnienie ostatniego razu, kiedy to robił, wypełniło jego myśli, i potrzebował chwili, żeby się uspokoić. Skupił się na zwisającej luźno ze słupka niebieskiej taśmie policyjnej, brudnej i pomiętej, co było zapewne pokłosiem wielokrotnych wizyt techników kryminalistycznych i detektywów; poza czystym, błękitnym niebem stanowiła ona jedyną namacalną wskazówkę, że teraz wszystko jest tutaj inaczej.

Otworzył bramę i przystanął, spoglądając w dal na podjazd, który ciągnął się przez pięćdziesiąt metrów, po czym skręcał, ginąc gdzieś w kniejach. Spenetrował wzrokiem drzewa po obu jego stronach, przedzierając się między cieniami i mętnymi snopami światła. Przez

chwilę nasłuchiwał dzikich gołębi gruchających wśród gałęzi, a potem się odwrócił, podążając za szelestem żmii, zanim zniknęła pod kłodą leżącą przy trakcie. Jenny zwolniła hamulec, więc odszedł na bok, pozwalając, by wóz przetoczył się między słupkami. Wreszcie odetchnął głęboko, przeszedł na stronę pasażera, usadowił się z powrotem w fotelu i powiedział:

– Okej. Zobaczmy, co tu mamy.

Po Jenny nie było widać nawet śladu zdenerwowania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W domku na pewno ktoś mieszkał. Pościel na łóżku była wymięta i skopana, na podłodze leżała poduszka. Kogoś męczył niespokojny sen.

Na stole w salonie stał kubek z resztką herbaty z mlekiem, które zdążyło się już zsiąść i pokryć kożuchem, ale jeszcze nie spleśniało.

W zlewie wypełnionym zimną wodą moczyły się talerz, nóż i widelec. Na blacie kuchennym stała wywinęta reklamówka, z której wysypała się część zakupów – herbata w saszetkach, chleb, herbatniki, cukier, siatka jabłek. Poniżej w lodówce znalazłam świeże mleko, sok, masło, dżem, bekon i jajka. Wszystkie kluczowe grupy produktów plus pieczywo, owoce i nabiał, jak by powiedział John Fairey. John Fairey był idiotą.

Zajrzałam ponownie do reklamówki. Odsunęłam ostrożnie makaron, słoik z sosem i paczkę croissantów, próbując wymacać i wyłowić z dna paragon. Udało się. Widniejąca na nim data wskazywała, że został wydany przed trzema dniami – we wtorek, mniej więcej godzinę po śmierci Richarda Cockburna.

Zanotowałam, żeby sprawdzić nagranie z kamery w sklepie, i włożyłam paragon do notesu. Nieważne, jak bardzo zajęty jest zespół przeglądający monitoring, i tak będzie szybciej, niż gdybym wysłała ten kubek do analizy DNA.

Kubek.

Musiałam się napić.

Znalazłam czysty – w szafce było ich pełno – i zaparzyłam sobie herbatę. Postawiłam go obok kubka, który jak przypuszczałam, należał do Eriki, i wsunęłam się na siedzisko za stołem.

Z okna obok roztaczał się zjawiskowy wręcz widok na rozległą

złocistą plażę u stóp skalnego urwiska; w dali zaś widziałam, jak klifowe wybrzeże opada w głąb morza. Plaża nie świeciła pustkami, ale daleko było do tłumów, jakich mogłabym się spodziewać w tak upalny lipcowy dzień. Kusiło mnie, żeby tam zejść pod pretekstem poszukiwania zbiegłej plażowiczki. Wiedziałam jednak, że jej tam nie ma, więc upiłam łyk herbaty i zapatrzyłam się na morze, dyskutując sama ze sobą, czy siedzenie tu i czekanie, aż się pojawi, nie będzie czystym marnotrawieniem czasu.

– Prawdopodobnie – uznałam.

Ale było tu tak ładnie.

Zastanawiałam się, czy Erica nie miałyby nic przeciwko, gdybym poczęstowała się czymś do jedzenia. Byłam pewna, że Carla nauczyła ją gościnności. Typowe angielskie śniadanie może byłoby lekką przesadą, ale z pewnością nie odmówiłaby mi kilku tostów.

Na stole leżała książka. Przysunęłam ją do siebie i utkwiałam wzrok w zdjęciu na okładce: młoda kobieta stała pośrodku wiejskiej drogi i spoglądała za siebie, jakby świadoma czającego się gdzieś zagrożenia. Książka nosiła tytuł „I tak cię znajde” i według „The Independent” był to „niezwykle wciągający thriller”. Łyknęłam herbaty, podniosłam powieść, pragnąc przeczytać notkę z tyłu obwoluty, i przypadkowo odkryłam leżącą pod nią pocztówkę, na której była uwieczniona skąpana w słońcu plaża poprzecinana strumykami oraz zawijająca ku morzu pokryta bujną zielenią grań pod wstęgą pięknego czystego błękitu, a także podpis:

Three Cliffs Bay

Odwróciłam ją. Na dole w lewym rogu widniała wiadomość:

E., tu nie jest bezpiecznie. Zajmij się Annie.

Pocztówka była zaadresowana do Annie Fisher. A ja byłam cała w herbacie.

Wybiegłam z domku najszybciej, jak się dało, zważywszy na moją głupią, spapraną nogę, sprawdzając telefon pięć razy, zanim dotarłam do samochodu, jakbym po każdym dziesięciu metrach miała większe

szanse na złapanie zasięgu.

Zapięłam pasy, odpałam silnik i dodawszy gazu, obsypałam zwirem trzy czy cztery zaparkowane obok auta, po cichu przeprasząc wszystkich właścicieli, których alarmy nagle się rozwrzeszczały, a także tych, którym zepsułam spokojny dzień na plaży.

Wprowadziłam kod pocztowy z koperty do nawigacji i pognałam jednopasmówką do głównej drogi, znacznie szybciej niż podpowiadał mi rozsądek. Nie jestem pewna, ale mogłam potrącić królika.

Gdy tylko na wyświetlaczu zestawu głośnomówiącego pojawiła się jedna kreska zasięgu, wydarłam się do samochodu, żeby wybrać numer Annie, gwałtownie przy tym skręcając, by ominąć traktor, i prawie zderzając się z nadjeżdżającym skuterem.

Telefon cały czas dzwonił. I dzwonił. I dzwonił.

Rozłączyłam się i spróbowałam dodzwonić się do Kevina, niestety z tym samym efektem.

– Zadzwoń do Jenny! – wrzasnęłam. Od razu odezwała się poczta głosowa: „Cześć, tu Jen Riley. Nie mogę teraz odebrać, ale zostaw wiadomość. Oddzwonię, jak tylko będę wolna”.

Banalne, pomyślałam. Tak samo jak ty, Jen. Banalne!

– Jen, tu Ali. Zadzwoń, jak tylko to odsłuchasz.

Musiałam użyć świateł awaryjnych i klaksonu, żeby przegonić z drogi volvo. Cholera, przydałby się służbowy wóz.

Wybrałam głosowo numer do centrum koordynacyjnego i odebrał Dan Hooper, który akurat zawsze jeździł służbowym, skurczybyk.

– Dan Hooper – odezwał się swoim zwyczajnym tonem, akurat gdy źle oceniłam zakręt i przejechałam dwoma kołami po trawiastym poboczu.

– Dan, tu Ali. Kto rozmawiał dziś z Annie Fisher?

– Skąd, do cholery, mam wiedzieć?

– Okej, nieważne. Podam ci adres.

– Ali, co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Po prostu to zapisz. – Podyktowałam adres. – Potrzebuję asysty

mundurowych przy kontroli socjalnej. Przyślij tam szybko dwa patrole, tylko dyskretnie. Niech się przyczają w odległości stu metrów od domu, z obu stron. Jasne?

– I do tego potrzebujesz wsparcia aż dwóch patroli?

– Proszę.

– Okej, zajmę się tym. Jest z tobą Jen?

Serce mi przyspieszyło.

– Nie, a co?

– Nic, tylko polazła gdzieś rano z Kevinem i nie możemy się do nich dodzwonić.

– Wyszli razem?

– Tak. Nie sądzisz chyba, że oni...

– Nie. – Wyhamowałam przed znakiem stopu. Spojrzałam w obie strony. Z jednej nadjeżdżał samochód, ale i tak przejechałam. Kierowca mnie obtrąbił i uraczył widokiem środkowego palca.

– Pieprz się – syknęłam.

– Ach tak...

– Nie ty, Dan. Proszę, po prostu zrób to dla mnie. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko dotrę na miejsce, okej?

– Ali, jesteś sa...

Rozłączyłam się i dodałam gazu.

Dan faktycznie się tym zajął, bo w ciągu dwudziestu czterech minut, jakie zajął mi dojazd na miejsce, zdołał ściągnąć dwa wozy patrolowe na Church Road i rozlokować je dyskretnie w odległości dwustu metrów od siebie.

Niestety nie wszystko poszło po mojej myśli, bo zdrętwiała mi noga, w związku z czym nie byłam w stanie zahamować, i przejeżdżając obok jednego z nich, urwałam lusterko.

No i po mojej premii.

Zdołałam zatrzymać wóz przy pomocy ręcznego hamulca i wydostać się na zewnątrz z jako taką gracją. Pokuśtykałam do staranowanego radiowozu, w którym siedzieli dwaj policjanci

i patrzyli na mnie z pełnym pogardy niedowierzaniem.

– Przepraszam – powiedziałam, jedną ręką machając kierowcy tuż przed oczami służbową legitymacją, a drugą podając mu oberwane lusterko przez opuszczoną szybę. – Cześć, jestem Ali.

Obaj skinęli w milczeniu głowami. Ten siedzący po stronie pasażera zmarszczył brwi i cisnął lusterko za siebie na tylną kanapę. Komentarz był zbędny.

– Okej – ciągnęłam dalej. – Słuchajcie, nie ma co się gorączkować. Przeprowadzę szybką kontrolę i jeśli wszystko będzie w porządku, wrócę i zafunduję wam lody, ale jeśli usłyszycie krzyki albo ktoś wyskoczy jak szalony z tego domu, to... po prostu bądźcie w pogotowiu, dobrze?

Kierowca przytaknął.

– Myślisz, że ktoś może tak zrobić?

– Kurwa, mam nadzieję, że nie – odparłam i wyjęłam telefon. – Jaki masz numer?

Podyktował go, a ja puściłam mu sygnał i zaraz się rozłączyłam, żeby później móc się z nim szybko skontaktować.

– Super. Jak się nazywacie?

– Jim.

– Col.

– Ekstra. Dacie znać tamtym?

– Tja – odparł Col.

Nie spodobał mi się ten chłodny, zdawkowy ton.

– Nie róbmy z tego problemu – powiedziałam. – Doceniam to, że przybyliście tu tak szybko, i przepraszam za samochód. – Posłałam im mój najszerszy uśmiech i podniosłam oba kciuki, i Matko Boska, wiedziałam, że przesadzam, i dlaczego, do cholery, zawsze musiało być tak niezręcznie?

Odeszłam, przystając przy swoim wozie, żeby zgasić silnik, o czym ewidentnie zapomniałam. Z wyjątkiem żywopłotu, za którym przyczaili się Col i ten drugi koleś, jakkolwiek mu było na imię, nie miałam się za czym schować, żeby zakraść się niepostrzeżenie do

drzwi, ale i tak było mi już wszystko jedno.

Pozostałe siedemdziesiąt metrów pokonałam zdecydowanym krokiem, skupiając się na śpiewie ptaków, byle tylko nie słyszeć krwi szumiącej mi w głowie, gdy lustrowałam wzrokiem fasadę domu Annie. Dwa okna na dole, dwa na górze. Drzwi po lewej stronie u szczytu podjazdu, a na nim zdezelowane renault.

Przy ulicy parkowały jeszcze trzy auta, wszystkie puste. Kiwnęłam głową do dwóch policjantek czekających kawałek dalej w drugim radiowozie i wkroczyłam na podjazd.

Dom wydawał się cichy i pusty. Okna były pozamykane, zasłony częściowo zaciągnięte. Wewnątrz nie było nic widać. Od celu dzieliło mnie już niecałe pięć metrów. I nadal nic się nie wydarzyło. Pomyślałam, że jeszcze raz spróbuję dodzwonić się do Annie, ale zauważyłam, że trzęsą mi się ręce.

No dalej, Ali, weź się w garść.

Dotarłam do drzwi i zaczęłam nasłuchiwać. Cisza. Wzięłam głęboki oddech, opanowałam drżenie pięści i zapukałam mocno trzy razy.

Coś się stłukło. Między drugim a trzecim uderzeniem ze środka dobiegł krótki, przenikliwy łoskot.

Ponownie załomotałam do drzwi.

– Annie?

Ścisnęło mnie w żołądku i załomotało w skroniach. Cofnąłam się o krok, gotowa wyważyć drzwi kopniakiem, ale moja prawa noga była jak galareta. Kątem oka uchwyciłam ruch, jakby błysnięcie za oknem.

Znów zaczęłam walić w drewno, szarpiąc i mocując się z klamką, a gdy naparłam na drzwi ramieniem, otworzyły się do środka. Wpadłam chwiejnym krokiem do zaciemnionego salonu, zahaczając przy okazji o stolik w kącie i strącając z niego wszystko na podłogę.

Annie Fisher siedziała na kanapie – oczy szeroko otwarte, usta rozdziawione, dłonie uniesione – i lamentowała:

– O nie, o nie, o nie, o nie.

Przed nią, na stoliku do kawy, leżała broń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Był to dom jak każdy inny: prosty, schludny sześcienny klocek z cegły i krzemienia, może stuletni, z małym uroczym gankiem nakrytym dwuspadowym daszkiem i z nowoczesnymi, podwójnie szklonymi oknami.

Nie dało się jednak nie zauważyć, że nie jest typowy. Choćby dlatego, że był oddalony o kilometr od najbliższej szosy, a jeszcze dalej od najbliższego sąsiada, ukryty w głębi lasu na skraju otwartej ośmiohektarowej przestrzeni.

Osobno stał garaż niemal takich rozmiarów jak dom, zdolny pomieścić cztery samochody, a wzdłuż wyżłobionego traktu, w połowie drogi między domem a linią drzew, wznosiła się wysoka stodoła. Jej nadgryzione zębem czasu drewniane wrota stały otwarte na oścież, wewnątrz było ciemno jak w grobie.

Jenny wprowadziła bmw na podjazd, szeroki zwirowany plac, który w ostatnich tygodniach został przeorany kołami powracających regularnie ciężkich pojazdów. Ustawiła auto przodem do garażu i wyłączyła silnik.

Kevin wzdrygnął się na siedzeniu, wpatrując się smutno w ziemię przed drzwiami garażowymi, tymi po lewej stronie. Ostatnim razem w tym miejscu patrzył, jak młoda kobieta wykrwawia się na śmierć, podczas gdy jego krew mieszała się z ulewnym deszczem, który zalewał mu twarz i ściekał do oczu.

– Wszystko w porządku? – Jenny szturchnęła go łokciem i odpięła pasy.

Przytaknął.

– Jest jakoś inaczej. – Nie był pewny, w czym rzecz. Może przez to słońce.

– Czujesz się na siłach, by to zrobić, czy wolisz zostać

w samochodzie?

Tak. Kevin zdecydowanie wolał zostać w aucie, ale przecież nie po to tu przyjechał.

– Nie, dam sobie radę – zapewnił, po czym wyswobodził się z pasów i wysiadł. Pomimo upału przebiegł go zimny dreszcz. Obrócił się na pięcie, obrzucając wzrokiem dom, stodołę, otaczające je puste pole i ogradzającą posiadłość ścianę sosen. W dali dostrzegł ledwie majaczące wzgórze nad torem kolejowym biegnącym na obrzeżach wyrobiska, które było bramą do ponurego i samotnego miejsca wiecznego spoczynku tych pięciu dziewczyn.

Sięgnął do wnętrza wozu i wyjął ze schowka pęk kluczy oraz foliową torebkę dowodową z zabezpieczonym pilotem do garażu. Nacisnął kolejno każdy guzik, aż w końcu podwójne drzwi zgrzytnęły, zabuczały i podniosły się, znikając w dachu.

– Gotowa?

– Od urodzenia.

Garaż był pusty z wyjątkiem kilku zasnutych pajęczynami narzędzi ogrodowych i zawieszanej na ścianie drabiny. Po drugiej stronie, niegdyś okupowanej przez szereg szafek narzędziowych oraz drewniany kredens z ruchomą tylną ścianką, teraz widniał jedynie prostokątny otwór wielkości drzwi prowadzący na klatkę schodową.

Kevin ruszył przodem, stanął na progu schodów i sięgnąwszy do środka, wymacał kontakt na ścianie, oświetlając drogę w dół. Na dole zrobił to samo. LED-owe reflektory zamigotały, budząc się z letargu, po czym załąły światłem kwaterę, do której Jenny weszła niepewnie, tuż za Kevinem, wbijając nerwowo paznokcie w dłoń i ze wszystkich sił starając się nie ulec klaustrofobii.

Pośrodku pomieszczenia, wypełniając niemal całą jego przestrzeń, stała klatka. Solidna konstrukcja o wymiarach sześć metrów na sześć, zrobiona z siatki o grubości drutu trzy i dwie dziesiąte milimetra oraz metalowych ram o szerokości trzech centymetrów i dwóch milimetrów. Wyposażona była w drzwi o szerokości półtora metra i wysokości dwa metry dziesięć, zaopatrzone w samozatraskowe

zamki i – leżącą gdzieś w komendzie – wzmocnioną kłódkę tytanową.

Jenny została w progu, a Kevin wszedł do klatki. Gdy widział ją po raz ostatni, wewnątrz stało żelazne łóżko, przytwierdzone do podłogi śrubami. Już go nie było, nie było też grubej, gumowej maty ani prowizorycznej łazienki w rogu złożonej z muszli klozetowej, umywalki i wygiętej szyny z zasłoną. Skojarzyła mu się teraz z klatką z alkoholem na tyłach sklepu, w którym kiedyś pracował w wakacje.

– Idziesz?

Jenny pokręciła głową i wyraźnie zadrżała.

– Nie, stąd dobrze widzę – odparła.

Uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie zatrzaśniesz się.

Zawahała się, lecz po kilku głębokich oddechach podeszła niepewnie do drzwi. Przez chwilę badała wzrokiem ramę, jakby szukała czegoś godnego uwagi. W końcu dała za wygraną i weszła do klatki.

Kevin zachęcił ją ruchem głowy, żeby stanęła obok niego, na środku.

– Tu stało pojedyncze łóżko... – wskazał palcem – ...z kajdankami. W rogu była toaleta. Dał jej czajnik, lodówkę i mikrofalówkę, chociaż ta była zepsuta.

– Widziałam zdjęcia – skomentowała.

Oczywiście. To nie był jej pierwszy dzień w pracy.

– Zdjęcia nie oddają wszystkiego. – Podeszedł do siatki. – Oto czego się z nich nie dowiesz. – Wyszedł na zewnątrz, pomachał kluczami i przytknął drzwi.

Jenny zamarła, zanim zdążyła zareagować; jej twarz zastygła w wyrazie przerażenia.

– Nie są zamknięte – oznajmił. – Wszystko w porządku, nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczna. Możesz stąd wyjść, kiedy tylko zechcesz. Erica nie mogła. Spędziła tu trzy miesiące.

– Kevin, otwórz drzwi, proszę.

Odszedł na bok, spełniając jej prośbę.

– Ile tu siedziałaś? Dziesięć sekund? Wyobraź sobie, że trzy

miesiące, i powiedz, czy po wyjściu też nie zaczęłabyś strzelać.

- Nigdy więcej nie pogrywaj tak ze mną.
- Musiałaś to poczuć na własnej skórze.
- Okej, w porządku, cel osiągnięty. Dziękuję.

Kevin otworzył frontowe drzwi domu i ich oczom ukazał się pusty, pomalowany na biało hol. Po prawej były kolejne drzwi, zaraz przy schodach. Po lewej drugie, prowadzące do kuchni, oraz trzecie, usytuowane na wprost, a za nimi spiżarnia, która teraz świeciła pustkami.

Zaprowadził Jenny do salonu, gdzie przystanęli na chwilę, patrząc na kurz wirujący w cieniutkich strużkach światła, które sączyły się do środka przez szpary i pęknięcia w deskach zasłaniających okna, pstrząc wewnątrz tysiącem świetlnych punkcików niczym kule dyskotekowe.

Nie było na czym usiąść. Wszystkie meble przeniesiono w odległy kąt pokoju, obwarowując je dekoracjami, lampami, stosami książek i elektronicznych gadżetów.

Fragment kremowego dywanu u stóp Jenny wydawał się jaśniejszy i bardziej puszysty, a na jego obrzeżach widniały dwa okrągłe wgłębienia – odciski tylnych nóg kanapy. Przednich nie było.

Z dywanu i podkładu wycięto szeroki prostokąt, odsłaniając pozostałość po plamie na betonowej posadzce.

Kevin przeszedł na drugi koniec pokoju, przyniósł niski stolik i postawił go między odgnieceniami po kanapie – dwoma nogami na dywanie, dwoma na betonie.

- Usiądź – powiedział.

Jenny spojrzała na stolik, a potem znów na Kevina, i westchnęła ciężko, zdradzając, że traci cierpliwość.

- Co ci przed chwilą mówiłam?
- Nie pogrywam z tobą, naprawdę.

Wypuściła głośno powietrze przez nos i usiadła, rozstawiając szeroko stopy, aby nie dotknąć plamy.

– Nie musisz mnie uczyć empatii – zaperzyła się. – Nie jestem robotem.

– Wiem. – Kevin oparł się o parapet, przyglądając się uważnie szefowej, która niezgrabnie siedziała na stoliku kawowym w tym samym miejscu, w którym pewnego majowego dnia, wyjątkowo deszczowego jak na tę porę roku, Eli Diaz został zarżnięty. – Tylko że... ostatnio zbyt pochopnie wyciągasz wnioski, a sprawy mogą wyglądać inaczej z szerszej perspektywy. Rozumiesz? – Podniosła głowę i popatrzyła na niego z uniesioną brwią, ale raczej przychylnie, jak uznał, a na pewno nie wrogo. – Ali niemal umarła na tej kanapie – powiedział ośmielony. – Eli umarł tuż u twoich stóp. Tam, gdzie zaparkowałaś na podjeździe, zmarła Rachel Murray. A Kerry Farrow siedziała zamknięta w tamtej klatce, podobnie jak Erica. Co prawda nie wiemy, gdzie zginęła ani co się z nią stało, ale powiem ci jedno: wspólnym mianownikiem nie jest Erica. Jest nim Tom Reed bądź też James Faulkner czy jak mu tam. I założę się o grubą kasę, że tak samo jest w przypadku tych pięciu kobiet, których ciała znaleźliśmy na bagnisku, i jeśli będziemy dalej w to brnąć i na siłę próbować udowodnić winę tamtej dziewczynie, to nigdy nie pociągniemy go do odpowiedzialności za to, co zrobił. To nie w porządku wobec tych kobiet, wobec Ali i wobec funkcjonariuszy, którzy zginęli w toku tej sprawy. Jak dotąd czwórki. – Wzdrygnął się na tę myśl, ale Jenny chyba tego nie zauważyła. Wpatrywała się w plamę po krwi Elego Diaza, przeżuwając słowa Kevina. – Muszę się odlać. Spotkamy się przy samochodzie – dodał po chwili i wyszedł z pokoju, unikając ochrzanu, o który się wręcz prosił.

Pomimo całej brawury, jaką włożył w tę przemowę, Kevin nadal wolałby nie zostawać sam w tym domu. Zanim dotarł do połowy schodów, pożałował swojej decyzji, ale Jenny była na dole, a on nie chciał się zblamować, więc przywołał się do porządku i kontynuował wspinaczkę.

Choć dom był pusty, zamknął za sobą drzwi i stanął bokiem do

toalety, by móc jednym okiem obserwować kłamkę. Nie żeby czuł się podpatrywany, obserwowany czy śledzony, po prostu... cóż, nie wiedział dokładnie, co to było, ale ujawniło się w formie drażniącego węzła u dołu kręgosłupa, dlatego ulżyło mu nie tylko pod jednym względem, gdy wreszcie skończył sikać.

Załatwiwszy sprawę, nie tracił czasu na eksploracje. Ruszył prosto do schodów, obrzucając wzrokiem drzwi obu sypialni, po czym zszedł na dół z przyciśniętymi do ściany plecami i rzucił się korytarzem do otwartych drzwi, karcąc się w duchu, że jest cholernym cykorem.

Ale przynajmniej, pomyślał, nie ześwirowałem w klatce jak...

Jak...

Zabrakło mu słów. Nie dość, że poczuł się jak skończony dupiek, drwiąc z przerażenia kobiety zamkniętej w podziemnej klatce – skonstruowanej właśnie w tym celu: jako więzienie dla kobiet – to jeszcze, mając niczym niezakłócony widok na osiem hektarów ziemi, nie mógł owej kobiety nigdzie zlokalizować.

Zauważył za to, że bagażnik bmw jest otwarty.

Kevin nie miał wtedy jeszcze złego przeczucia. Był jednak wystarczająco zaniepokojony, by sięgnąć do kieszeni po telefon i poczuć lekką trwogę, gdy uświadomił sobie, że komórka została w samochodzie.

Wziął głęboki oddech i po raz trzeci się skarcił.

– Kevin, nie bądź palantem – mruknął pod nosem.

Gdyby Jenny miało się coś przytrafić w ciągu tych trzech czy czterech minut, i to właśnie w tym miejscu, musieliby się chyba znajdować na planie horroru, a przecież dołożył wszelkich starań, żeby się upewnić, że tak nie jest.

Jako człowiek ze stali z licencją na zabijanie był świetnie przygotowany na takie sytuacje i nie wystraszyłby się, gdyby Jenny wyskoczyła z nienacką z ukrycia. Mimo to przystanął, uważnie nasłuchując, zanim wyjrzał za każdy z trzech węglów budynku, i gdy wrócił – wcale nie mądrzejszy – do frontowych drzwi, obszedł także

cały garaż, by mieć pewność, że tam też się nie chowa.

Teraz czuł się jak jeszcze większy idiota.

Poszedł do samochodu po komórkę i dopiero wtedy zaczęło go ogarniać złe przeczucie. Przez dobre piętnaście sekund wpatrywał się w miejsce, w którym zostawił telefon, potem zajrzał do schowka, pod siedzenie i pod samochód, by ostatecznie wrócić spojrzeniem tam, gdzie widział go po raz ostatni, jak gdyby licząc, że nagle zmaterializuje się na jego oczach. Niestety.

Wyprostował się i spojrzał na uniesioną klapę bagażnika. Z tego kąta nie widział jego wnętrza, więc powinien podejść bliżej. Przez niezręcznie długą chwilę próbował zmusić nogi do posłuszeństwa, zanim wreszcie ruszył powoli w kierunku otwartego kufra, wpatrując się w niego bez mrugnięcia.

W środku coś było.

– Jen? – Jego głos przypominał ledwo słyszalny pisk, a oczy bolały od wyteżania wzroku, którym usiłował przeniknąć tylny błotnik auta. – Jen, jesteś tam?

Była ubrana na niebiesko. To coś w bagażniku też było niebieskie. Ale to niemożliwe, tak sobie powtarzał. Byli tu sami, z dala od ludzi, na podjeździe stał tylko jeden wóz, i nie zaplanowali tej wizyty, decyzję podjęli spontanicznie. Nikt ich nie śledził, był tego pewny. Specjalnie zwracał na to uwagę, odkąd koledzy z zespołu zaczęli ginąć jeden po drugim. Dlatego tam, w bagażniku, to nie mogła być Jenny. Chyba że sama się w nim schowała, co przez chwilę rozważał i w końcu uznał, że mogłaby to zrobić, aby się na nim odegrać. Może widziała, jak wchodzi niepewnie po schodach, słyszała, jak mówi do siebie w łazience. Bądź co bądź nie była pozbawiona poczucia humoru, nawet jeśli nieczęsto je okazywała.

Tak, to na pewno to. To musiało być to. Dlatego pomimo pełnej świadomości, że wpisuje się w konwencję horroru, wziął się w garść i rzucił z wymuszonym śmiechem:

– Bardzo zabawne, Jen, ale możesz już wyjść – po czym stanął z tyłu auta.

Nie było jej tam. W bagażniku znalazł tylko lodówkę turystyczną i zapasowy kanister.

Spojrzał na rozwarte wrota stodoły, zastanawiając się, jakim cudem Jenny dotarła tam tak szybko i po co w ogóle tam poszła, gdy nagle poczuł ostrzegawcze mrowienie na karku, zdradzające, że stoi tuż za nim.

– Okej, wygrałaś – powiedział i szybko się odwrócił.

Zanim dosięgło go rozpędzone ostrze, które niczym kij bejsbolowy zmierzało ku jego szyi, zdążył jeszcze zarejestrować, że osoba, na którą patrzy, to nie Jen.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– To nie jest mój rewolwer, przysięgam!

– Annie, do cholery, nie waż się go tknąć!

– Nie dotykałam go i nie dotknę! Nie jest mój!

– Odsuń się od niego i trzymaj ręce w górze! – Byłam w kropce. Stałam pośrodku pokoju, nie mając dokąd uciec ani gdzie się skryć, bardziej odruchowo niż świadomie sięgając ręką do pulsującego biodra, jakbym chciała wydobyć broń, której tam nie było.

Annie czmychnęła na drugi koniec sofy, uniosła ręce i wbiła we mnie przepełnione paniką spojrzenie.

– Ali, przysięgam, ten rewolwer nie jest mój.

– Jak nie twój to czyj?

Nie odpowiedziała. Po prostu siedziała, kręcąc głową, a potem wybuchnęła płaczem.

– Annie, mów! – warknęłam.

Nie była sama. Cholera, ktoś jeszcze był w domu, prawda?

Omiotłam wzrokiem pomieszczenie: oszczędnie umeblowana przestrzeń, ukryte w niszy schody wiodące na piętro, sklepione przejście do kuchni, francuskie drzwi prowadzące z jadalni na ogród. Przed domem czworo mundurowych w promieniu stu metrów, a poza tym jak okiem sięgnąć żadnej pomocy. I coś jeszcze. Coś jeszcze.

– Annie, kto jeszcze tu jest?

Ta broń. Gdzieś ją już widziałam.

– Annie, do cholery, nie mam czasu na gierki. Kto jest w domu?

Już kiedyś patrzyłam w wylot tej lufy.

– Ann...

I w końcu mnie oświeciło. Annie, która tak się cieszyła, kiedy znalazła tamto zdjęcie. Annie, która tak ochoczo przyklaskiwała teorii o współudziale Eriki. Annie, która – na Boga! – miała na imię Annie.

Zawirowало mi w głowie. Znowu poczułam ogień na twarzy i wzbierającą w krtani żółć.

Nie teraz. Nie teraz, Ali.

Zmusiłam się do skupienia uwagi.

– To ty, prawda? – spytałam. – Ty jesteś tym zaginionym świadkiem. Znasz go. Znasz tamtego mężczyznę. – Zaczęła szlochać, kręcąc głową i obejmując kolana. – Annie – syknęłam. Nie było czasu na współczucie. – Czy on... czy tamten mężczyzna tu jest? – Powiedz, że nie. Powiedz, że nie. Proszę, Annie, powiedz, że nie.

– Nie.

Patrzyłam, jak wypłakuje sobie te małe oczka, zerkając w stronę kuchni, i wiedziałam, że to nie wyszło z jej ust. Choćby chciała, w takim stanie nie wydusiłaby z siebie nawet słowa.

– To mój rewolwer. – Głos był łagodny, kobiecy; może troszkę zachrypnięty, za to donośny i wyraźny, wychodzący z głębi brzucha. Jego dźwięk przyprawił mnie o ciarki.

Nie sięgnęłam po telefon. Rzuciłam się do stolika, pokonując dystans dwoma długimi, bolesnymi krokami, i pochwyciłam broń, po czym obeszłam meble, karcąc się w myślach za popełnione właśnie kryminologiczne *faux pas*, i wymierzyłam rewolwer w sam środek sklepionego przejścia.

– Erica – powiedziałałam łamiącym się głosem pozbawionym tchu. Jak to możliwe? O co tu chodzi? – Tu Ali Green. Jestem sama i uzbrojona. Wyjdź z rękami na widoku.

– Nie mam broni.

– Pokaż ręce! – Dlaczego Annie nie złapała za rewolwer? Dlaczego Erica go tam zostawiła? Czy był w ogóle naładowany? Gdy widziałam go po raz ostatni w jej ręku, został w nim tylko jeden nabój.

Błada blizna na moim policzku zaczęła piec, przywołując odległe wspomnienie: szpony Eriki zatopione w mojej twarzy, skrawki mojej skóry pod jej paznokciami.

Erica stanęła bokiem w przejściu; w głębi dostrzegłam zarys sylwetki zasłaniającej światło, które wpadało przez okno za jej

plecami. Wyciągnęła ręce przed siebie i wkroczyła do pokoju, nabierając barw.

Jej wygląd kompletnie mnie zaskoczył. W ogóle nie przypominała tej dziewczyny, której obraz błąkał mi się w pamięci, ani tej ze zdjęć przypiętych do tablicy, opartych o monitor mojego komputera czy też tych, które przechowywałam w telefonie. Schudła co najmniej sześć kilo, nogi i ręce miała jak patyki, biodra wystające i wąskie, a zamiast burzy loków proste włosy.

Ale te oczy rozpoznałabym wszędzie. Erica wpatrywała się we mnie ponad lufą rewolweru, tak samo jak ja wpatrywałam się w nią podczas naszego ostatniego spotkania.

– Punkt dla ciebie – rzuciła, a potem pokazała mi miedziany pocisk z mosiężną łuską, który ścisnęła między kciukiem a palcem wskazującym. – Nie trzymam go tam.

– Stój spokojnie.

– Stoję.

Zwolniłam kciukiem blokadę i obrotowy cylinder wychylił się na bok. Był pusty. Wbiłam bębenek na miejsce i opuściłam broń.

– Daj go tutaj.

Erica zrobiła krok do przodu i położyła nabój na mojej wyciągniętej dłoni.

– Nie zamierzam jej skrzywdzić. Ani ciebie.

– Siadaj.

Nie posłuchała.

– Dlaczego tu jesteś?

Zerknęła na Annie, która ukryła twarz w dłoniach.

– Nie patrz na nią – warknęłam. – Byłam w domku kempingowym. Widziałam pocztówkę.

Westchnęła i opuściła ręce na tyle niespodziewanie, że mimowolnie drgnęłam.

– Mama – wydedukowała.

– Tak, chciała cię ochronić.

– Przed kim? Przed tobą?

– Myśla...

– Richard wie?

Oddech uwiązał mi w gardle i ugryzłam się boleśnie w język. Patrzyłam na nią, a ona na mnie.

– Ali, czy on wie o domku?

– Ty nie wiesz – stwierdziłam i spojrzałam na Annie, która kręciła głową w milczeniu.

– Czego nie... – Urwała nagle. Otworzyła szeroko przepełnione paniką oczy, wodząc między nami wzrokiem. – Co jej zrobił? Annie?

– Lepiej usiądź – powiedziałam.

Posłała mi pełne niedowierzania spojrzenie, a potem zwinnym ruchem dłoni zgarnęła skórzaną torbę leżącą przy kanapie, zarzuciła ją na ramię i przedarła się obok mnie w kierunku drzwi.

– Stój! – Zdołałam chwycić torbę i szarpnąć ją do tyłu. Erica odwróciła się do mnie z pięścią gotową do ciosu, ale zanim zdążyła się zamachnąć, zablokowałam jej rękę i podciąłam nogi. – Poczekaj! – wrzasnęłam, gdy próbowała się dźwignąć zaraz po tym, jak runęła na dywan. – Jest bezpieczna. Nic jej nie zrobił, wszystko w porządku.

Puściła moją nogę i dysząc, usiadła na podłodze.

– To czego nie wiem? – spytała.

– Po drugiej stronie lasu jest teren piknikowy. Ludzie przyjeżdżają tam kopulować. Jakiś staruch siedział w samochodzie i zabawiał się ze sobą. Zagroziłam, że jeśli nie podrzuci mnie do miasta, zawiadomię policję, więc nie protestował. Wróciłam do domu. Mama mi pomogła. Moja babcia zmarła, gdy... mnie nie było. Wiedziałaś o tym? Mieszkała sama w Fens, na kompletnym odludziu, i nawet jeszcze nie zdążyli opróżnić jej domu. Tam się zatrzymałam. Poniekąd liczyłam, że w tym czasie go znajdziecie albo że sam mnie odszuka. Sądziłam, że nie sprawi mu to większego trudu, ale wam też się nie udało, więc... sama nie wiem.

– Dlaczego chciałaś, żeby cię znalazł?

Skinęła na pusty rewolwer leżący na stoliku.

– Po to był ten nabój.

– Co więc skłoniło cię do powrotu?

– Tamten policjant. Ten, który mnie szukał. Spanikowałam, gdy usłyszałam, co mu się przytrafiło. A potem mama powtórzyła mi to, co jej powiedziałaś, i zrozumiałam, że teraz będzie mnie szukał każdy gliniarz w kraju. Twierdziła, że Richard mnie wyda, więc nie mogłam u niej zostać ani wrócić do domu babci. Dlatego wysłała mnie do domku kempingowego. Należał do mojego taty, a Richard o nim nie wiedział. To była jej kryjówka, ale byłam pewna, że on, no wiesz kto, i tak mnie tam znajdzie.

– I co się stało?

– Widziałaś pocztówkę. Znalazłam ją rano na progu przed domkiem. Ten złamas przyjechał za mną, zakradł się pod same drzwi, gdy spałam, ale mnie nie załatwił, tylko zostawił wiadomość. „Zajmij się Annie”. I to właśnie robię, bo po pierwsze, obecnie Annie szczególnie mocno potrzebuje przyjaciółki, a po drugie, uznałam, że prędzej czy później ten bydlak przestanie wierzyć własnym urojeniom i zrozumie, że nie wykonam za niego brudnej roboty, a wtedy będę tu czekać, gdy się pojawi, żeby osobiście się tym zająć. – Rzuciła Annie ostre spojrzenie. – Tylko że się pomyliłam, no nie?

Czułam, jak Annie się kuli na kanapie.

– To znaczy? – spytałam.

– Powiedz prawdę, Annie. Pokaż jej pieniądze.

Przeniosłam wzrok na Annie. Westchnęła, przeczesła dłońmi włosy i skinęła sztywno głową. Następnie wstała, przeszła do kuchni, zdjęła pokrywkę ze słoja na ciastka i po chwili wróciła z plikiem dwudziestofuntowych banknotów, które cisnęła na stolik.

– Nie wiedziałam, co z nimi zrobić – oznajmiła.

– Annie, co...?

– Tak je znalazłam. Nic nie wydałam.

– Jak to tak je znalazłaś?

Kłapnęła z powrotem na kanapę i zaczęła kręcić głową.

Erica rozprostowała nogi i wstała.

– Zrobię ci drinka – zaoferowała.

– To nie są moje pieniądze. Nie prosiłam o nie. O nic go nie prosiłam.

O Boże, Annie, co ty najlepszego zrobiłaś? – pomyślałam.

– Płaci ci? – spytałam.

Twarz Annie wykrzywił grymas frustracji. Widziałam wręcz, jak jej język zwija się w supły.

– Napij się. – Erica wróciła ze szklanką wypełnioną kostkami lodu i zdaje się, że wódką. Ujęła drżącą dłoń Annie i delikatnie zacisnęła jej palce na drinku. – Ma klucz – oświadczyła, rozsiadając się na kanapie z podkulonymi nogami. – Przychodzi tu, gdy Annie nie ma w domu. Zostawił jej te pieniądze. Nie chce jej zabić, bo gdyby chciał, to już dawno by to zrobił. Ten durny pojeb myśli, że jesteśmy po jego stronie.

– Annie, do kurwy nędzy. – Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić. Patrzyłam, jak opróżnia szklankę i podaje ją Ericce, która wstała i udała się z nią do kuchni.

To było ponad moje siły. Wzrosło mi ciśnienie, poczułam ból z tyłu głowy. Musiałam wyjść.

– Zostań tu – rozkazałam. – Siedź i się nie ruszaj.

Zostawiłam otwarte drzwi i poszłam do samochodu. Ponownie przeczytałam pocztówkę. Przekopałam torbę i znalazłam trzy dychy oraz wizytówkę. A potem podeszłam do radiowozu zaparkowanego niecałe dziesięć metrów dalej i wręczyłam to wszystko Timowi, Billowi, czy jak mu tam było.

– Kupcie sobie lody i coś do picia – powiedziałam. – Już po strachu. Wszystko gra. Przepraszam, że was przetrzymałam. W razie czego zwalcie wszystko na mnie. Zajmę się tym, okej?

Spojrzeli na zmięte banknoty, które Jim (bo tak się nazywał) ścisnął w dłoni.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytał.

– Tak! – Uśmiechnęłam się najszerzej, jak potrafiłam, i poklepałam dach wozu. – Miłego dnia, chłopaki. Dziękuję za pomoc. – Ruszyłam

z powrotem do domu.

Gdy mnie mijali, jeszcze im pomachałam, a potem osunęłam się na samochód Annie i zaczęłam cicho szlochać, pogrążając się w czarnej nicości.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kevin odwrócił się z lekko spuszczoną głową, spodziewając się ujrzeć twarz niższej o kilkanaście centymetrów Jenny, więc maczeta rozplątała mu brodę i – jak uznał z dziwnym dla niego samego spokojem i przenikliwością, zanim straciwszy równowagę, runął na ziemię – wycięła coś na podobieństwo drugich ust, tuż pod tymi, do których przywykł.

Nie bolało, w każdym razie nie tak bardzo jak głowa w miejscu, w którym zderzyła się ze zwirem. Krew nie zalała mu też oczu, był więc na tyle przytomny, żeby wyrzucić nogę w górę i zablokować drugi cios stopą. Poczul, jak ostrze wbija się w nią, ale nie do samego końca, co było pocieszające.

Mężczyzna, znany mu jako Tom Reed, wycofał maczetę i warknął:

– Do kurwy nędzy, Kevin, leż spokojnie, żebym mógł cię zabić.

– Nie.

Kevin zdążył się już zorientować, że pewnie grozi mu rychła śmierć, ale nawet jeśli miałby zostać poćwiartowany, to zamierzał walczyć do ostatniej kończyny.

Reed usunął jego niepokojąco zdrętwiałą nogę z drogi i opuścił trzydziestocentymetrowe ostrze, celując czubkiem prosto w serce. Kevin odruchowo wyrzucił ręce przed siebie, próbując chwycić dłonie Reeda, lecz zamiast nich chwycił maczetę tuż pod rękojęścią. Zatrzymał cios, ale stracił przy tym palec lub dwa; nie miał pewności. Nie czuł niczego poza wściekłością i strachem.

– Przestań – syknął Reed.

– Co tu robisz? – Może to nie była odpowiednia pora na zadawanie pytań, ale naprawdę chciał wiedzieć.

Reed naparł całym ciężarem na maczetę.

– To mój dom, kretynie. Co ty tu robisz?

– Gdzie jest inspektor Riley?

Ręce Kevina ugięły się pod naciskiem.

– Och, to była pani inspektor?

– Jeśli ją zabiłeś...

– To co?

– Będziesz mi musiał odrąbać ręce, jeśli chcesz zostać przy życiu, skurwielu.

– Nie ma sprawy – oświadczył Reed, jeszcze głębiej zatapiając ostrze w dłoniach Kevina. Potem uwolnił maczetę z jego uścisku i zamierzył się na jego prawą rękę.

Kevin cofnął ją w ostatniej chwili i przejął inicjatywę, wykorzystując fakt, że napastnik chwilowo stracił równowagę. Wyrzucił lewą, zdrową stopę i trafił Reeda od tyłu w kolano, które zgięło się wpół. Reed upadł, a wtedy Kevin wsparł się na łokciach i jednej nodze i starając się nie liczyć palców u rąk, dźwignął się prawie do pionu.

Reed sieknął maczetą do tyłu, odcinając Kevinowi kawałek łydki. Ale tego Kevin też prawie nie poczuł. Zresztą ta noga i tak była mało przydatna, bo nie zamierzał na niej stawać ani skakać, więc w żaden sposób by go nie spowolniła.

Jego umysł za to spowalniał z każdą filiżanką krwi wyciekającej z wyrwy w brodzie, dlatego nie zastanawiał się nad konsekwencjami, kiedy wymierzył w głowę Reeda rozplataną stopą, dopóki nie było za późno.

To poczuł, a jakże! Ból był natychmiastowy i tak dojmujący, że na ułamek sekundy stracił przytomność, zanim w niepowstrzymanym napadzie nudności zwymiotował do bagażnika, na który się zatoczył.

Reed podniósł się z wypisanym na twarzy wyrazem triumfu.

– Trafiłeś w dziesiątkę. I to podwójnie. – Wskazał ostrzem lodówkę turystyczną w ociekającym krwią i wymiocinami kufrze auta.

Żołądek Kevina ponownie się skręcił, ale tym razem nie pozbył się swojej zawartości.

– Co masz na myśli? – wysapał detektyw.

Reed wzruszył ramionami. Skurczybyk po prostu tam stał i droczył

się z nim. Wiedział, że wygrał.

– Och, daj spokój.

Kevinowi kręciło się w głowie. Tracił za dużo krwi. Tkwiąca w bucie stopa przypuszczalnie była odcięta. Na pewno stracił jakiś palec, a podbródek dosłownie zwisał z kości. Chryste, miał nadzieję, że zanim pokażą jego zwłoki Gemmie, posklejają go do kupy choćby zwykłą taśmą izolacyjną, po prostu czymkolwiek, byle nie zapamiętała go w kawałeczkach.

– Boże, co jest w lodówce? – wycharczał.

– Otwórz i zobacz.

Wiedział, o co chodzi Reedowi. Chciał, żeby odwrócił się do niego plecami. Pochylił się do przodu. Nadstawił szyję. Dał się pozbawić głowy z godnością. Cóż, pieprzyć to!

Kevin nie spuszczał wzroku ze stojącego naprzeciw mężczyzny. Podważył rączkę pojemnika kostkami palców, wsunął pod nią nadgarstek i podniósł lodówkę, opierając ją o brzeg bagażnika.

Była umiarkowanie ciężka – jakieś pięć kilo wagi, pomyślał – i cokolwiek kryło się w jej wnętrzu, przesuwało się swobodnie i obijało o ścianki jak zwarta bryła.

– Co tu jest? – spytał. – Co jest w środku, Tom?

– Otwórz.

– Nie.

– Jak chcesz. Cóż, słuchaj, muszę się zbierać. Wróciłem tylko po resztę swoich rzeczy. – Parsknął śmiechem. – Skorzystałem z pierwszej okazji, gdy wreszcie nikt się tutaj nie kręcił. Naprawdę, chłopie, jakie były szanse? Macie znakomite wyczucie czasu, to wam przyznaję. Tak czy siak, nieważne, nie zaprzataj sobie tym głowy. Po prostu musisz umrzeć. Wybacz. To nic osobistego. Śpieszy mi się. Mam coś do załatwienia. – Po tej przemowie wziął zamach i maczeta szerokim łukiem pomknęła w kierunku głowy Kevina.

Jednak on był na to przygotowany. Ujął rączkę lodówki w poharatane dłonie i ze stęknieniem poderwał ją w górę, żeby zablokować nadlatujące ostrze.

Maczeta trafiła w pojemnik. Kevin zobaczył, jak przez wyprostowane ręce Reeda przechodzi fala uderzeniowa, kiedy ostrze w jednej chwili stanęło w miejscu, i zanim tamten zdążył zareagować, rzucił prawie pięciokilową lodówkę prosto w jego twarz.

Rzut nie był idealny, jednak wystarczająco dobry. Reed zasłonił się dłonią, ale oberwał w nos i policzek, przez co zatoczył się do tyłu o trzy, może cztery kroki, rzucając wściekle: „Au!”.

Choć dzielący ich dystans był niewielki, Kevin wykorzystał okazję i podskoczył na jednej nodze do drzwi po stronie kierowcy, zostawiając na szybach szeroką smugę krwi z broczących dłoni. Dwoma zdrowymi palcami złapał za klamkę i szarpnięciem otworzył drzwi, po czym wyjął z bólu, wgramolił się do środka i wcisnął blokadę, zanim Reed go dosięgnął.

– Pieprz się! – wrzasnął, starając się nie patrzeć na niego, gdy zamachnął się maczetą, celując w okno.

W tej samej chwili obaj zauważyli, że drzwi po stronie pasażera wciąż są otwarte. Reed rzucił się do nich, a wtedy Kevin pochylił się nad centralną konsolą i chwyciwszy za klamkę, szybko je zamknął.

Kluczyk nadal tkwił w stacyjce. Kevin nacisnął pedał hamulca i dźgnął kostką dłoni przycisk zapłonu, budząc silnik. Wrzucił wsteczny bieg nadgarstkiem, dodał gazu lewą stopą i wycofał się sprzed garażu, wlokąc Reeda przez podjazd i przewracając go przy gwałtownym hamowaniu. Potem przełączył dźwignię w tryb jazdy i wcisnął gaz do dechy. Koła zabuksowały, tyłem mocno zarzuciło i nagle wielkie bmw skoczyło do przodu.

Kevin szarpnął kierownicą i natychmiast rozwarł dłonie, wciągając gwałtownie powietrze, gdy ból opanował jego zmysły, wskutek czego jego ręce ślizgały się bezskutecznie po skórzanej obręczy.

Zamarł z przerażenia, kiedy auto wleciało przez drzwi garażowe, wrywając je z prowadnic. Przednia szyba roztrzaskała się, a chwilę później bmw uderzyło w ścianę z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ściana nie ustąpiła, w przeciwieństwie do Kevina, który zgiął się wpół jak szmaciana lalka, waląc

pokieroszowaną twarzą w poduszkę powietrzną i wbijając kolana od spodu w deskę rozdzielczą. Płuca wypełnił mu dym, głowę wypełnił ból, tym razem jednak krew zalała wszystko, nie tylko oczy.

Reed był już na nogach i zmierzał właśnie w kierunku samochodu. O ile Kevin był jeszcze żywy, to zabicie go byłoby teraz znacznie prostsze.

Kevin był żywy, i co ważniejsze, wciąż jako tako przytomny. Odwrócił głowę, by wyrzeć przez tylną szybę, i ujrzał wściekłą twarz swojego niedoszłego zabójcy, który kroczył energicznie przez podjazd. Wcisnął ponownie zapłon, licząc, że auto ruszy, mimo iż cały przód był kompletnie zmiażdżony. Nic z tego.

Tak więc zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu jeszcze do głowy. Pchnął drzwi ramieniem i wypadł z samochodu, a następnie poczołgał się na łokciach i kolanach do oddalonego o prawie trzy metry otworu pośrodku ściany. Nie oglądał się za siebie; świadomość tego, co czai się za nim, w niczym by mu nie pomogła. Po prostu dowlóknął się do schodów i odepchnąwszy się od progu trzema zdrowymi palcami i jedną sprawną stopą, rzucił się w przepaść.

Każdy stopień po drodze zostawiał ślad na jego żebrach. Prawie bezużyteczne ręce nie były w stanie zamortyzować upadku, więc zarył głowę o podłogę, składając się jak harmonijka, po czym przekoziółkował i gruchnął na plecy.

Z miejsca, w którym leżał, widział szczyt schodów, widział też cień, który na nie padł, kiedy sylwetka Reeda wypełniła otwór w ścianie.

Ostatkiem sił przetoczył się na brzuch i zaczął się czołgać jak komandos po betonowej posadzce. Zanim dopełził do klatki i załadował do niej swój tyłek, Reed był już w połowie schodów, a kiedy zszedł na dół, czyli dosłownie w ostatniej chwili, Kevin wciągnął nogi do środka i wychylił się na zewnątrz, by zamknąć drzwi.

Były naprawdę ciężkie, zbyt ciężkie dla kogoś o tak zmasakrowanych dłoniach, jednak widząc, że Reed rzuca się w ich stronę, Kevin w końcu zdołał je ruszyć.

Reed zdążył tylko musnąć drzwi, gdy zatrzasnęły się z łoskotem na dwa bliźniacze zamki, w efekcie czego obaj klęczeli na ziemi, dotykając się czołami przez siatkę. Reed syczał wściekle, a Kevin puszczał bąbelki krwi z nosa i obu ust.

– Pieprz się – wycharczał.

Reed prychnął i skinął głową.

– Sam się pieprz.

– Nie zabijesz mnie dzisiaj, padalcu.

– Specjalnie mnie to nie martwi – wydyszał Reed. – Aż tak bardzo mi nie zależy. Gdzie są klucze?

– W mojej kieszeni.

– Jak zamierzasz się stąd wydostać?

Kevin spojrzał na zamek, lecz nie dostrzegł żadnej dziurki. Oczka siatki były z kolei zbyt drobne, żeby przecisnąć przez nie dłoń.

– Cholera – wyrwało mu się.

– Nie mam ze sobą zapasowych. Wszystkie zarekwirowaliście.

Kevin popatrzył na swoje ręce, a potem na but, pod którym rozlewała się kałuża krwi.

Zostanie po mnie plama jak po Elim, pomyślał.

– To bez znaczenia. Pewnie i tak się wykrwawię. Twoje górą.

Reed spojrzał mu w oczy i wykrzywił usta w uśmiechu.

– Eee tam. Tę rundę wygrałeś, w końcu jeszcze żyjesz.

– Ekstra – powiedział, ale naprawdę pomyślał: „Powiedz to mojej ciężarnej żonie. Będzie się cieszyć jak cholera”.

– Zdradź mi jedną rzecz. – Reed usiadł na piętach, przyglądając się Kevinowi jakby z dziecięcą ciekawością, ale to z pewnością nie było to.

– Twoja głowa. Boli cię przy zmianie pogody? Tam, gdzie zdzieliła cię Erica?

Na przekór sobie Kevin pokręcił wspomnianą głową.

– Nie.

– Och. – Reed sprawiał wrażenie... zawiedzionego? – Ilekroć pada, rwie mnie potwornie w ramieniu – wyznał.

– I dobrze.

Reed parsknął śmiechem.

– Należało mi się. – Przyglądał mu się przez chwilę, po czym oznajmił: – Jeśli ma to jakieś znaczenie, Erica nikogo nie zabiła. Te wszystkie rzeczy, które o niej wygadujecie... za tym wszystkim stałem ja.

– Tak właśnie myślałem.

– Cóż, czasem nieważne jest to, co się myśli, tylko to, co można udowodnić. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć.

Kevin patrzył na niego przez drzwi klatki, zachodząc w głowę, co też, do diabła, Reed chciał przez to powiedzieć.

Niestety nie raczył rozwinąć tematu. Po prostu siedział, dumając i obserwując go wytrwale, aż w końcu Kevin poczuł się słabo i musiał się położyć. Nie był pewny, czy Reed wyczuł, że zaraz umrze, czy zwyczajnie się znudził, ale po chwili wstał.

– Przyjedzie cię szukać – rzucił. – Może zdąży cię znaleźć, zanim będzie za późno. Może ja też tu jeszcze będę. – Uśmiechnął się smutno przez metalową siatkę. – Mam jednak nadzieję, że się miniemy. Nie chciałbym jej również zabijać. Nadal jest mi przykro z powodu... no wiesz. Tak czy siak, pora się zbierać – oświadczył. – Bez urazy!

To rzekłszy, wyszedł, i zapadła ciemność.

CZĘŚĆ SZÓSTA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nie wiem, jak długo tam stałam ani ile wódki Annie zdążyła wyłopać, zanim zebrałam myśli i wróciłam do domu, ale była całkowicie, wręcz upiornie spokojna. Siedziała na skraju sofy obok pustej szklanki. Oczy suche, plecy wyprostowane, ręce wciśnięte między kolana, jakby chciała nas uraczyć opowieścią. Zabrakło mi słów, więc tylko machnęłam dłonią przed anielską twarzą Eriki, jakby pytając: „Co jest, kurwa?”.

– Wiesz, to zupełnie normalne – stwierdziła, wzruszając ramionami.
– Musi się napić, żeby funkcjonować. Co poradzisz? – Uśmiechnęła się i wskazała ręką kawę stojącą na stoliku. – Nie wiedziałam, jaką lubisz – zaczęła. – W każdym razie jest gorąca i mokra.

Tak samo jak moje kobiety, pomyślałam, usiłując powstrzymać się od chichotu, ale bez powodzenia. Erica zagryzała dolną wargę. Dobrze wiedziała, co lubię.

– Przepraszam za wcześniej – odezwała się Annie.

Skinęłam głową.

– No dobrze, więc mów. Tylko fakty. – Gdy Erica spojrzała na mnie z ukosa, dodałam: – Po prostu... Annie, opowiedz mi, co się stało, prostymi słowami i krótkimi zdaniem. I postaraj się, żeby twoja wersja brzmiała przekonująco, bo na razie nie wygląda to dla ciebie za dobrze.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Naprawdę chciałam ci powiedzieć. Myślałam, że zostałam wezwana na komendę, bo chcą mnie wylać z roboty. Zamierzałam opowiedzieć wszystko Riley, ale... cóż, nagle się okazało, że jednak nie straciłam posady, więc milczałam, a potem było już za późno, no nie? Myślałam wtedy, że nie mam nic do stracenia, więc byłam gotowa nawet pójść siedzieć, ale w takiej sytuacji...

– To powiedz mi teraz.

– Mark Boon – rzuciła zdawkowo.

Martwy przestępca seksualny, którego mieszkanie tonęło w DNA Eriki. Spojrzałam na nią, ale zdawała się nie wiedzieć, o kim mowa.

– Co z nim?

– Wybrałam się do miasta na randkę. Koleś mnie wystawił, więc poszłam się przejść i wylądowałam nad rzeką. Był środek nocy, wokół ani żywej duszy. I wtedy mnie zaatakował.

– Kto? Mark Boon?

Potwierdziła ruchem głowy.

– Powalił mnie na ziemię i zaczął mi ściągać spodnie. Po prostu... znieruchomiałam.

Czegoś takiego się nie spodziewałam. Dopiero teraz dotarło do mnie, że nie miałam bladego pojęcia, co przeżyła ta kobieta.

– I wtedy zjawił się on. James. Czy też Thomas Reed, jak go nazywacie.

– Albo Rob – wtrąciła Erica.

– Odciągnął go ode mnie, możliwe, że czymś go uderzył, nie jestem pewna. W każdym razie uratował mnie. Był dla mnie naprawdę miły. Odwiózł mnie do domu, upewnił się, że nic mi nie jest. Niczego nie próbował, nawet przez chwilę nie czułam, że coś mi grozi. Zaopiekował się mną, a potem sobie poszedł. I nie, nie pytałam go, co tam robił w nocy.

Serce mi zamarło. Nie to chciałam usłyszeć, choć ta historia wyjaśniała, dlaczego Annie nie widziała w nim człowieka zdolnego do popełnienia serii zabójstw.

– Kilka dni później zjawił się inspektor Fairey i zaczął mnie wypytywać. Powiedziałam mu, że James... Reed... – Spojrzała na Ericę z dobrotliwym uśmiechem. – Rob, czy jak mu tam, był ze mną całą noc, bo o ile mi wiadomo, tak właśnie było. Chyba nie spodobała mu się moja odpowiedź.

– Wolał, żeby nie miał alibi?

Skinęła głową.

– Tak sędzę. Ale z tego, co wiem, powiedziałam prawdę. W którymś momencie straciłam przytomność i obudziłam się dopiero nazajutrz w porze lunchu, więc nie miałam pojęcia, kiedy dokładnie wyszedł. Nie miałam pojęcia, kim jest. Uważałam go po prostu za miłego faceta. A gdy jakiś czas później zjawił się ponownie, prosząc o pomoc, uznałam, że mam wobec niego dług, więc się zgodziłam.

– Na co?

– Żeby zatrzymał się u mnie na kilka dni, to znaczy, tak oficjalnie. I gdyby ktoś pytał, miałam powiedzieć, że tu był. Ale nikt już nie pytał.

– Kiedy to było?

– Wtedy, gdy zginął Mark Boon.

Spojrzałam ponownie na Ericę, a ona spojrzała na mnie.

– Kim jest Mark Boon? – spytała.

– Martwy gwałciciel, u którego znaleźliśmy twoje majtki.

Twarz Eriki przybrała pusty wyraz i po chwili straciła wszelki kolor. Nagle ją oświeciło.

– Moment. Rob wspomniał coś o wrobieniu mnie w morderstwo. Myślałam, że żar...

– Wygoogluj go – rzuciłam i odwróciłam się z powrotem do Annie. – Czyli mówisz, że w dniu śmierci Boona zgodziłaś się zapewnić Reedowi fałszywe alibi?

Wzdrygnęła się, ale przytaknęła.

– Zostawił tu swoją furgonetkę i jeszcze kilka innych rzeczy, ale nie było go przynajmniej dobie.

– Czy w ogóle był tu z tobą?

– Tak, zastałam go w łóżku, kiedy wróciłam do domu następnego wieczoru. Ale... do niczego nie doszło.

– Co masz na myśli?

– To, że nawet nie próbował mnie dotknąć ani nic w tym stylu.

Erica podniosła rękę.

– Mnie też nie. Cóż, może z wyjątkiem... w każdym razie nie próbował mnie zgwałcić. Szczerze mówiąc, chyba nawet by nie mógł.

– Czego by nie mógł?

– No... stanąć na baczność.

– Chwila – wtrąciłam. – Z wyjątkiem czego?

Erica wzruszyła ramionami.

– No, pozwoliłam, żeby mnie wykąpał. Myślałam, że coś na tym ugram, ale on tylko zaczął się miotać i wybuchnął płaczem, więc...

– I to wszystko? Nic więcej między wami nie zaszło?

– Halo, więził mnie w klatce, jeśli zapomniałaś. Może mi odbiło, ale mam jeszcze trochę godności. Zabił Sarah i Kerry. Próbowалаm go zastrzelić, pamiętasz?

– Wiesz na pewno, że zabił Sarah?

– Nie widziałam jej. Widziałam jedynie stertę worków na śmieci, a potem mnie ogłuszył. Później jednak wyznał, że nie cierpiała. Więc tak, wiem na pewno.

– Zatem Sarah i Kerry... Chwila. – Kerry. Poczułam przypływ ekscytacji. – Co wiesz o Kerry?

– Przez kilka dni dzieliła ze mną celę. Nie była zbyt towarzyska. A potem ją zabrał, żeby zagrać w jakąś grę.

– W grę?

– Nie wiem, o co chodziło, ale już nie wróciła.

Schowałam głowę w dłoniach, próbując masażem rozproszyć panujący w niej zamęt, ale bez powodzenia. Podniosłam wzrok i spojrzałam przeciągle i twardo na Annie, po czym spytałam:

– Kiedy go ostatnio widziałaś?

– Właśnie wtedy – odpowiedziała. – Ale przychodzi tutaj. Nadal ma klucze. Zostawia mi różne rzeczy. Te pieniądze znalazłam kilka dni temu.

– Dlaczego nie wymieniałaś zamków?

– Co by to dało? Nie chciałam go rozzłościć. Miałam nadzieję, że po prostu dowiodę, że nie jest potworem, i da mi spokój. To jedyny facet, który był dla mnie miły. – Roześmiała się. – Boże, ale jestem żalosna.

Erica potwierdziła ruchem głowy. Przyglądałam się jej przez chwilę. Wyglądała naprawdę niewinnie, gdy tak siedziała skulona jak mała dziewczynka. Ale nie była niewinna. Bez względu na to, jak bardzo

Annie nawaliła, zdjęcie, które ściągnęła z bazy ViPER, nie kłamało. Musiałam poznać prawdę.

– Mam twoje zdjęcie z dnia zaginięcia mojego partnera – oświadczyłam. – Prowadzisz na nim tamtą furgonetkę.

Erica nie wyglądała na zszokowaną ani przerażoną czy choćby zaniepokojoną. Po prostu wzruszyła ramionami i rzuciła zdawkowo:

– Niewykluczone.

Dałam jej chwilę, ale nic więcej nie powiedziała.

– Wyjaśnij mi to – zażądałam.

– Kazał mi nią jechać. Powiedział, że chce się pozbyć ich wozu. Bałam się, że jeśli tego nie zrobię, zabije moją mamę albo siostrę. Kupiłam paliwo i pojechałam na wskazane przez niego miejsce. Podpalił samochód, a potem zabrał mnie z powrotem i w nagrodę za to, że byłam grzeczna, pozwolił mi spać w domu.

– To on podłożył ogień?

Zawahała się, chyba trochę za długo. Jej usta wreszcie odparły „tak”, ale jej oczy mówiły „nie”. Potem dodała:

– I zanim zapytasz, nie wiedziałam, że oni są w środku.

– Ale wiedziałaś, że gdzieś są?

– Wiedziałam, że w którymś momencie byli w domu. Nie wiedziałam tylko, co z nimi zrobił. – Bez jednego mrugnięcia wytrzymała siłę mojego spojrzenia. Nie speszyła się. W końcu dodała:
– Przepraszam za to, co ci zrobiłam.

Całe powietrze uszło mi z płuc, jakbym dostała cios w brzuch. Poczułam, jak Annie tężeje. Przez myśl przemknęła mi niestworzona teoria Jenny o zawracaniu przez las. Przed oczami stanął mi obraz Elega Diaza, jego bezwładnej głowy i krwi na moich kolanach.

– Powiedz mi, co zrobiłaś – sapnęłam wściekle.

Twarz Eriki pozostała nieprzenikniona. Jej spojrzenie nie zdradzało ani groźby, ani skruchy, na dobrą sprawę niczego.

– Nie chciałam, żebyś zginęła – powiedziała. – Wiedziałam, że tak się stanie, jeśli cię zostawię. A jednak cię zostawiłam. Przepraszam. Czasem bywam wredną suką.

Annie położyła mi rękę na plecach i przytrzymała ją tam w milczeniu, czekając, aż odzyskam oddech.

– W porządku – powiedziałam. – Zrobiłaś to, co musiałaś.

Erica roześmiała się, kręcąc głową.

– Nie, jeszcze nie. Po prostu uciekłam. Ale ważne, że teraz tu jestem i nigdzie się nie wybieram.

Spojrzałam na Annie. Annie spojrzała na broń.

– Nawet się nie waż – zagroziłam. – Chryste, co ja powiem Jen?

Annie wzruszyła ramionami.

– Chyba prawdę. Na szali jest też twoja kariera.

Moja kariera? Niezły dowcip. Czy ja w ogóle mam przed sobą jeszcze jakąś karierę? Pewnie, złapałam Ericę i odkryłam tajemnicę Annie, ale ledwie chodzę i nawet nie pamiętam, jak się nazywam, więc tak naprawdę na dwoje babka wróżyła.

Musiałam porozmawiać z Jenny. Bóg jeden wiedział, co jej powiem, ale trzeba było zakończyć tę zabawę, i to natychmiast. Wstałam i z tylnej kieszeni wyjęłam długopis oraz notatnik. Otworzyłam go na nowej stronie i zapisałam wszystko, co przed chwilą usłyszałam. W tym czasie Erica poszła do toalety, a Annie wyłopała jeszcze jedną wódkę.

Wybrałam numer Jenny, lecz ponownie połączyłam się z pocztą głosową.

Spróbowałam dodzwonić się do Kevina. Nie odebrał.

Gdzie ich posiało, do cholery?

Zadzwoniłam do centrum koordynacyjnego i znowu trafiłam na Dana.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak, spokojnie, wszystko gra. Miałaś jakieś wieści od Jen lub Kevina?

– Nie. Właśnie chciałem cię spytać o to samo.

Staralam się zapanować nad głosem i spisałam się lepiej niż zwykle.

– Bądź tak miły – podjęłam – i spróbuj namierzyć jej samochód, a jeśli ci się nie uda, to przynajmniej ich komórki. I od razu do mnie

zadzwoń.

– Zrobię, co mogę.

– Ty możesz wszystko – odpowiedziałam i rozłączyłam się bez pożegnania, jak to mają w zwyczaju wszyscy wyluzowani gliniarze. Ale ja wcale nie byłam wyluzowana. Z nerwów aż mnie mdliło. – Annie – rzuciłam. – Wkładaj buty. Jen i Kevinowi przytrafiło się coś złego.

Erica zmarszczyła brwi i chwyciła torbę, chociaż nikt jej nie zapraszał.

Annie spuściła wzrok, pobladła na twarzy i przybrawszy odcień zgniłej zieleni, zwymiotowała na buty, które miała już na nogach.

– To też normalne – stwierdziła Erica.

Spojrzałam na tę dwójkę, a potem na swoje odbicie w lustrze, i z całych sił starałam się nie rozpłakać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Nie byłam ani trochę, spojrzałam więc na Ericę w lusterku wstecznym i powiedziałam, że lepszego nie mam, co właściwie mogłam zastąpić prostym „nie”.

Byłyśmy pięć minut od komendy i w końcu ustaliłyśmy, co powiemy, kiedy zadzwonił Dan.

– Są na bagnach w Two Mile Bottom – oznajmił. – Tuż przy drodze stoi maszt telekomunikacyjny sieci Vodafone. Ostatni sygnał pochodził właśnie stamtąd i został odebrany jakieś dwadzieścia minut temu. Pewnie zostawili komórki w samochodzie.

Miałam przeczucie, że wcale tak nie było, ale nie mogłam dopuścić do siebie myśli, że stało się coś złego, nie po moich ostrych słowach skierowanych do Jenny, które wciąż dzwoniły mi w głowie. Ze wszystkiego, co dane mi było zapamiętać, to wspomnienie było zarazem najbardziej, jak i najmniej pomocne. Owszem, uzasadniało obecność Jenny na miejscu zbrodni, ale jeśli coś jej się przytrafiło, to tylko przeze mnie, i naprawdę wołałam o tym nie myśleć.

W każdym razie albo żyli i mieli się dobrze, i po prostu nie słyszeli telefonów, albo byli już martwi; ten mężczyzna nie traciłby czasu na objaśnianie swojego nikczemnego planu. Poderżnąłby im gardła aż do kręgosłupa i zostawił tam, gdzie upadli.

Tak czy siak, plan uległ zmianie. Wcisnęłam gaz do dechy i obrałam kurs na las.

Przy drodze dojazdowej parkowały cztery auta: dwie furgonetki techników kryminalistycznych, samochód jednostki prewencyjnej i radiowóz. W pobliżu nie dostrzegłam ani bmw Jenny, ani żadnego

z pojazdów służbowych.

Zatrzymałam się tuż przy ścieżce prowadzącej do wyrobiska krzemienno i kazałam Annie sprawdzić, czy tam ich nie ma. W końcu i tak miała już mokre buty.

– Myślisz to samo co ja? – z tylnej kanapy odezwała się Erica, zresztą po raz pierwszy od telefonu Dana.

Nie odpowiedziałam. Czekałam, aż wróci Annie i powie mi to, co już dawno wiedziałam – że od rana nikt nie widział Jenny ani Kevina.

– Szukamy ciała, prawda? – spytała ponownie.

To również pozostawiłam bez odpowiedzi, choć pomyślałam, że pewnie ma rację. Nie wysiadłam jednak i nie wspierałam się na wzgórze, by spojrzeć nad wierzchołkami drzew na dom mający w dali. Po prostu wyświetliłam mapę w telefonie, zazaczyłam lokalizację i podejmując niejakie ryzyko, wybrałam najszybszą trasę, która nas tam zaprowadzi.

Trakt biegł równolegle do linii kolejowej i rzeki, las wyłaniał się przede mną i przesuwał szybko za oknem, gdy pędziłam sto kilometrów na godzinę. Minąwszy po lewej rząd domków z okiennicami, zahamowałam gwałtownie i skręciłam w poprzek wąskiej dróżki, przejeżdżając po kępcie wystających korzeni, po czym nakierowałam alfę na tunel dla pieszych pod torowiskiem. Przez krótką, przyprawiającą o mdłości chwilę myślałam, że się nie zmieści, ale pomijając kilka zarysowań na i tak już sfatygowanym bocznym lusterku, zdołała się przecisnąć.

– W lewo – poinstruowała Annie, wskazując telefonem na prawo.

Zatrzymałam samochód.

– W które lewo?

– Tam.

Skręciłam w prawo, kosząc chwasty i płosząc stado szkockich krów, i dalej jechałam z prędkością, przy której spadki i wzniesienia drogi wydawały się tylko trochę niebezpieczne, dopóki nie dotarłam do rozjazdu.

– W tę stronę?

Annie otworzyła oczy i spojrzała ponownie na ekran.

– Tak, i potem tak samo.

Dalsze wskazówki były zbędne. Od razu rozpoznałam wylot tego podjazdu i spowijający go mrok w miejscu, gdzie skręcał w głąb drzew.

– Okej – powiedziałam, przetaczając się między słupkami bramy. Staralam się nie myśleć o swoim pulsie ani o oddechu, ani o zapachu spalonego oleju, ani o pyle ze ścierających się hamulców, ani o drżących dłoniach Annie, ani o dzikich, przerażonych oczach Eriki w lusterku wstecznym, ani o otwartej bramie, ani o złowieszczych cieniach, ani o tym, co się wydarzyło, kiedy ostatnio się w nich pograżałam. Nie miałam pojęcia, co znajdę na końcu podjazdu. Może zwłoki dwóch policjantów. Może nic. Może już do reszty straciłam rozum. Może kierowałam się prosto w pułapkę. Może powinnam wezwać posiłki i zaryzykować, że jeszcze bardziej się skompromituję. Może po prostu jest tak, że siedzę w samochodzie ze zbiegłą przestępczynią i skorumpowaną, zapijaczoną policyjną analityczką, i robię z siebie kompletną idiotkę.

– Ali?

Przeniosłam wzrok na Annie, świadoma, że pewnie powiedziałam to wszystko na głos.

– Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, prawda?

Skinęła głową na potwierdzenie.

Erica westchnęła na tylnym siedzeniu. Pochyliła się do przodu i wsunęła między nas swoją zaskakująco spoconą twarz.

– Daleko jeszcze? – spytała. Jej usta żartowały, jednak oczy były śmiertelnie poważne.

Stojące w zenicie słońce okazało się bez szans wobec tego lasu. Był ciemniejszy, niż pamiętałam, gęsty u góry i gęsty u dołu od paproci i krzewów jeżyn, zeschniętych gałęzi i powalonych pni. Cokolwiek by w nim ukryć, i tak nikt tego nie znajdzie.

Myśl ta przejęła mnie dreszczem mocniejszym niż chłód, który nagle wlał się do samochodu, więc odegnałam ją od siebie i skupiłam się na drodze. Erica, blada i pogrążona w martwej ciszy, siedziała z tyłu, wodząc wzrokiem między drzewami, wpatrując się w cienie i błędząc oczami w poszukiwaniu skrawka nieba. Bałam się myśleć, co te oczy tu widziały. Prędzej czy później ja albo inny policjant będzie ją musiał o to zapytać, a ona będzie musiała zobaczyć to jeszcze raz. Nie ulegało wątpliwości, że jest silna, ale akurat w tej chwili jej siła nie miała nic do rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, to ja pisałam się na to, co mnie spotkało, przynajmniej teoretycznie. Erica pisała się tylko na wyjście z przyjaciółką i odtąd każdego dnia za to pokutowała.

A Annie? Cóż, Annie podpisała się w tym samym wykropkowanym miejscu co ja. Cokolwiek poszło nie tak w jej życiu, cokolwiek sprawiło, że zaczęła pić i skończyła tu, a nie gdzie indziej, i cokolwiek sądziłam o tym, jak sobie z tym wszystkim poradziła, to jednak wiedziała, że postąpiła źle, a ja wiedziałam, że znajdzie sposób, żeby odkupić swoje winy, i to bez mojej ingerencji. Ta myśl również zdjęła mnie grozą, bo nieważne, jak bardzo się łudziłam, nieważne, jak często to roztrząsałam w mojej bolącej głowie, w głębi duszy wiedziałam, że znów pakujemy się w coś, na co byliśmy kompletnie nieprzygotowane.

Erica też to wiedziała.

– Nie podoba mi się to – oświadczyła. – Mam złe przeczucie.

Annie sięgnęła przez ramię, wyciągając ku niej dłoń, a Erica ją ścisnęła.

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedziałam. – Nic się nie wydarzy. Zostań w wozie, a jeśli coś wyda nam się choć trochę podejrzanym, przyczaimy się i wezwiemy wsparcie. Gdyby jednak „coś” się wydarzyło, nie czekaj tu, tylko jedź prosto na najbliższy posterunek policji. Nic ci się nie stanie, obiecuję.

Pochwyciłam jej spojrzenie w lusterku wstecznym. Nie była głupia, wiedziała, że nie mogę jej tego obiecać, ale i tak się uśmiechnęła i odparła:

– Okej.

Wreszcie na końcu tunelu pojawiło się światło. Drzewa nagle się urwały i do auta wlało się słońce, na chwilę mnie oślepiając. Zmrużyłam oczy, wpatrując się w dom, gdy jego tak dobrze mi znana zwyczajność wypełniła przednią szybę. Zatrzymałam samochód, wyłączyłam silnik i wtedy dostrzegłam, że drzwi frontowe są otwarte. Żołądek podszedł mi niemal do gardła, gdy odwróciwszy głowę, ujrzałam wyrwane drzwi do garażu i poskręcany wrak białego bmw, jego otwarty bagażnik, krew rozmazaną na tylnym zderzaku, strzaskaną szybę, zgnieciony błotnik i koło wgięte do środka pod dziwnym kątem. Przez głowę przemknął mi obraz furgonetki tamtego mężczyzny w policyjnym hangarze – ten osobliwy spokój, ta zastygła w bezruchu eksplozja brutalności. I teraz to ja zastygłam w bezruchu ze wzrokiem utkwionym w wozie.

Niechętnie odciągnęłam spojrzenie w kierunku domu oraz drzwi, przez które kiedyś weszłam, a potem zostałam wyniesiona, i nagle uświadomiłam sobie z przerażeniem, że jestem przypięta pasami do siedzenia, zupełnie bezbronna i nieprzygotowana na koszmar, jaki mógł się tu zaraz rozegrać.

Przez długą, pełną napięcia chwilę w aucie panowała ogłuszająca cisza.

Erica jako pierwsza wciągnęła głośno powietrze. Annie jako pierwsza powiedziała:

– O kurwa.

A ja jako pierwsza zdałam sobie sprawę, że ktoś tu zginie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Okej, trzeba wezwać posiłki.

Wlepiłam wzrok w drzwi i odczekałam dziesięć sekund, słuchając szumu krwi pulsującej w głowie. Annie miała rację. Trzeba wezwać posiłki – to samo mówiłam już wcześniej.

Skinęłam głową na potwierdzenie, szukając odpowiedniej formułki, ale rękę trzymałam już na klamce, więc rzuciłam tylko:

– Erica, zostań w wozie.

– Nie ma, kurwa, mowy! – zaprotestowała i wygramoliła się z auta szybciej niż ja, i zanim Annie zdążyła wyswobodzić się z pasów. – I tak już jesteśmy chodzącym banałem rodem z horroru. Nie zostawisz mnie tu samej. Nie rozdzielimy się. Jeśli już, to wchodzimy tam razem.

Zanurkowałam z powrotem do wnętrza samochodu i wydobyłam rewolwer ze schowka na rękawiczki. Otworzyłam bębenek, wyjęłam nabój z kieszeni i włożyłam go do komory, a potem ustawiłam tak, żeby znalazł się przy wlocie lufy, i zatrzasnęłam.

– Powiedziałaś, co masz robić – odparłam. – Jeśli coś ci się stanie, to będzie twoja wina.

– Też mi nowość!

Annie wyłoniła się z za samochodu w chwili, gdy penetrowałam wzrokiem okna, linię drzew i zdecydowanie mało zachęcającą stodołę, by ostatecznie ruszyć w kierunku garażu. Trzymałam się lewej strony, sygnalizując Annie, żeby obserwowała, co dzieje się z boku budynku, kiedy zajrzę w głąb panujących w środku ciemności.

– Nie podoba mi się to – oznajmiła.

Przewróciłam oczami.

– Nie tylko tobie. Sprawdźmy tylko samochód, żeby wiedzieć, na czym stoimy. Okej?

– A jeśli nikogo tam nie ma?

– To znaczy, że się spóźniłyśmy – stwierdziłam, po czym uniosłam rewolwer, wyskoczyłam zza futryny i przywarłam plecami do ściany, omiatając wewnątrz garażu lufą. – W porządku, droga wolna. – Podeszłam do auta, trzymając broń wycelowaną w otwarty bagażnik, a potem obeszłam tył, mierząc w każde z okien. W środku nikogo nie było. – Kurwa! – zakląłam.

Białe błyszczące bmw wyglądało prawie jak dawne wozy patrolowe, bo niemal przez cały jego bok ciągnął się szeroki czerwony pas. Ktoś stracił dużo krwi.

– Co to? – Przytulona do mnie Erica wskazała drzwi po stronie kierowcy, gdzie tuż za klamką smuga krwi kończyła się czymś, co wyglądało ewidentnie jak strzałka.

W powietrzu zawisła groza, gdy trzy głowy zwróciły się naraz ku ciemnemu jak grób prostokątnemu otworowi w ścianie garażu.

Annie nachyliła się do nas i spytała szeptem:

– Co tam jest?

– Mój pokój – odparła Erica i zrobiła dwa kroki w jego kierunku, zanim chwyciłam ją za ramię.

– To pułapka – powiedziałam i cofnąwszy ją za siebie, zbliżyłam się cicho do progu. Przyłożyłam palec do ust, wstrzymałam oddech i zaczęłam nasłuchiwać.

Ptaki. Oddech Annie. Bicie mojego serca.

Erica klepnęła mnie w ramię i pokazała na migi, żebym sięgnęła do kontaktu na ścianie i włączyła światło. Zamknęłam powieki, ponownie wsłuchując się w ciszę; niemal słyszałam, jak włosy jeżą mi się na karku, a po plecach przebiega dreszcz. Ktoś czaił się w środku, byłam niemal pewna. Stał tuż za ścianą i nasłuchiwał z zapartym tchem, tylko czekając na to, by uciąć tę część mojego ciała, która wyłoni się jako pierwsza. Czułam to.

Gestem ręki nakazałam Annie i Ericę, by się cofnęły. Stałam o krok od ściany, zbliżyłam rewolwer do futryny i odciągnęłam kurek. Wzięłam trzy głębokie oddechy i rzuciłam wystarczająco gromko, żeby wystraszyć całą naszą trójkę:

– Policja! Odłóż broń, tak żebym ją widziała, i wyjdź powoli z wyciągniętymi rękami! – Nie miałam pojęcia, czy robię dobrze; nie byłam uprawniona do noszenia broni i gdybym musiała jej użyć, wpadłabym po uszy w gówno, ale w tej chwili zupełnie o to nie dbałam. Nerwy i mięśnie miałam napięte jak postronki, oczy skupione na lufie rewolweru penetrowały roztaczające się za nią ciemności, przez głowę przewijała się w kółko ta sama pilna notatka:

Sprawdź, zanim strzelisz. Sprawdź, zanim strzelisz. Sprawdź, zanim strzelisz.

Nikt się nie poruszył. Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk.

– Powtarzam: rzuć broń i wyjdź powoli z rękami na widoku.

Dalej nic.

Obejrzałam się na Annie i pokazałam palcem w kierunku stojącego na zewnątrz auta, wymawiając bezgłośnie: „latarka”. Skinęła głową.

Erica podążyła za nią wzrokiem, gdy Annie rzuciła się biegiem do alfy, wyciągnęła latarkę ze schowka i wróciła równie szybko do garażu. Odsunęłam się jeszcze o krok od ściany i dałam jej znak, żeby zajęła moją pozycję.

Ciche pytanie:

– Okej?

Skinienie głowy.

– Trzy. Dwa. Jeden.

Annie włączyła latarkę, nagłym, oślepiającym światłem zalewając klatkę schodową, kiedy wychyliłam się z za futryny z rewolwerem – palec na spuście, serce w gardle, w uszach szum wypełniający oczekiwanie.

Za ścianą nikogo nie było.

Znalazłam kontakt i włączywszy światło, pomachałam na Annie, żeby zgasła latarkę. Stałam tak przez chwilę, skupiona na oddechu, starając się nie ulec zawrotom głowy, które groziły upadkiem z pokrytych grubą wykładziną schodów. W dłoni ścisnęłam broń wycelowaną w głąb pomieszczenia, które teraz tonęło w jasnym białym świetle.

– Kevin? – krzyknęłam. – Jenny?

Cisza.

Powoli i ostrożnie zaczęłam schodzić po schodach, instynktownie starając się równo rozkładać ciężar ciała, chociaż wiedziałam, że stopnie są z betonu, więc nie będą skrzypieć. Czułam, że Erica idzie tuż za mną, słyszałam nierówny oddech Annie, która kroczyła tuż za nią. Moim ciałem wstrząsnął zimny dreszcz, wpychając mi serce do gardła. Nie powinnyśmy tego robić. Nie powinnyśmy tam schodzić. Ktokolwiek tu był i nie czał się za ścianą, na pewno czekał na mnie u podnóża schodów. Bałam się.

Nagle, w połowie drogi, z dołu dobiegł słaby gulgoczący jęk. Instynktownie szarpnęłam się w tył, uderzając w Ericę, która przytrzymała mnie za ramiona, ratując przed upadkiem.

Przełknęłam dławiącą mnie gulę i nabrałam głęboko powietrza.

– Jest tam kto? – spytałam drżącym głosem i natychmiast się za to znienawidziłam.

Usłyszałam kolejny rżący jęk, ale tym razem towarzyszyło mu coś jakby:

– Pomocy.

– Kim jesteś?

Kaszlnięcie.

– Ali?

Jezu!

– Kevin?

– Pomocy.

– Jesteś sam?

– Tak... Det...tektyw Kkk...evin McManus, nn...numer odznaki: cztery siedem ddwa. Potrzebne wss...ws... – Znów zagulgotał i wykaszlał coś, co musiało być krwią. – Potrzebne wsparcie – dokończył.

To mi wystarczyło. Zbiegłam ze schodów, wychyliłam się zza drzwi z rewolwerem, pobieżnie omiatając lufą piwnicę, i stanęłam jak wryta.

Nigdy wcześniej nie widziałam tej klatki. Owszem, znałam ją ze zdjęć, ale dowiedziałam się o niej, leżąc w szpitalnym łóżku. Była większa, niż sobie wyobrażałam, wypełniała niemal całą przestrzeń. Zatrzymywałam się w znacznie mniejszych i gorzej urządzonych pokojach hotelowych, te jednak zwykle miały okna i w każdej chwili można się było z nich wymeldować. Poza tym żaden nie miał na wyposażeniu mojego zmasakrowanego kolegi.

– Annie, pilnuj schodów. Kevin, już idę. – Podeszłam do klatki i szarpnęłam za klamkę. Nic z tego.

– Bez klucza nie otworzysz – zauważył Kevin.

Dostrzegłam jego przesiąknięty krwią but, rozmazaną plamę wsiąkającą w beton, lepkie ślady dłoni. A potem dostrzegłam jego twarz. Jezu Chryste, co się z nią stało? Dolna szczęka była rozplątana na dwoje, a podbródek zwisał pod dziwnym kątem, powoli ześlizgując się z kości. Twarz miał całą we krwi, która wyciekała w niepokojącym tempie z wielkiej wyrwy poniżej ust.

– Ja pierdolę. Okej, gdzie jest klucz? I gdzie jest Jenny?

– Nie wiem. On ją ma. – Wyciągnął spod siebie prawą rękę, znacząc nowy ślad krwią skapującą z głębokiej rany w dłoni. Na trzecim palcu zwisał pęk kluczy. Czwartego palca nie było. – Nie wiem który pasuje – wymamrotał.

Erica uklękła przy mnie.

– Cześć, Kevin – powiedziała.

Podniósł wzrok, mrugnął kilkakrotnie, strząsając krople krwi z powiek, i spróbował się uśmiechnąć.

– Cześć, Erica.

– Pokaż te klucze – poleciała. – Rozłóż je.

Skinął głową, po czym upuścił cały pęk na podłogę i zaczął rozsuwać je palcem na kształt wachlarza.

Objęłam Ericę ramieniem, pytając, czy wszystko gra. Przytaknęła.

– Muszę wezwać karetkę – oznajmiłam.

Kevin zakaszlał, rozpryskując kropelki krwi, i powiedział:

– Może jeszcze tu być.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, ale wiedziałam, że nie mam wyboru. Musiałam jak najszybciej wezwać posiłki i musiałam wrócić na górę, żeby złapać zasięg.

– Erica, posłuchaj. Annie i ja będziemy na górze, okej? Jeśli on tu jest, osłonimy cię. Spróbujcie otworzyć klatkę, zaraz wracam.

Erica cała się trzęsła. Bóg jeden wie, co czuła, znów będąc w tej piwnicy, ale zgodziła się.

Podniosłam broń i kryjąc się za nią, ruszyłam wraz z Annie z powrotem po schodach, przytulona plecami do ściany, z maksymalnym skupieniem obserwując każdy kąt i cień. Okrążyłam wóz Jenny, omiatając każdy centymetr kwadratowy podłogi lufą rewolweru, dopóki nie upewniłam się, że garaż jest pusty.

– Nie przeżyje, prawda? – usłyszałam głos Annie.

Trzymałam się wschodniej ściany, żeby nie było mnie widać z domu, i wyjąwszy komórkę, zaczęłam wstukiwać numer.

– Nie wiem. Musimy oczyścić teren i znaleźć Jenny.

Na nagły dźwięk dzwonka wzdrygnęłyśmy się przestraszone. Na ekranie komórki wyświetliło się imię Jenny.

– Jasna cholera. – Odebrałam, przeciągając palcem ikonę słuchawki.
– Jen? Gdzie jesteś, do diabła?

Cisza. Potem głos, obcy, a jednak upiornie znajomy:

– Jen nie może teraz podejść do telefonu.

Poczułam, jak grunt usuwa mi się spod stóp i zaczynam bezwładnie wirować w próżni. Moje zakończenia nerwowe rozżarzyły się jak fajerwerki, tysiące małych eksplozji zalały moje ciało falami trzeszczących iskier. Miałam wrażenie, że spadam, chociaż oczy podpowiadały, że stoję nieruchomo, skamieniała i wryta w podłogę.

– Domyślam się, że znalazłyście Kevina – powiedział mężczyzna. – Wciąż żyje?

Annie patrzyła na mnie z wyraźnym niepokojem i zmieszaniem, wzruszając pytająco ramionami. Nie mogłam się ruszyć.

– Ali? Wszystko w porządku tam w środku?

Tam w środku? Obserwował mnie?

Przypomniałam sobie o oddychaniu i mrużąc oczy pod słońce, przesunęłam wzrokiem wzdłuż pola widzenia. Drzewa. Stodoła. Jedno z dwojga.

– Cóż, skoro już dzwonię i słuchasz, to chcę ci powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, co się wtedy wydarzyło. Naprawdę nie chciałem, żeby do tego doszło, i szczerze mówiąc, wolałbym, żeby to się nie powtórzyło. Cieszę się, że nic ci nie jest, ale z przykrością muszę stwierdzić, że czuję się trochę przyparty do muru.

Dom. Skoro czuł się przyparty do muru, to musiał być w domu. Spojrzałam na Annie i wskazałam wzrokiem budynek. Wyraz jej twarzy zmienił się w jednej chwili – oczy pociemniały, szczęki gwałtownie się zacisnęły.

– Zrób to dla mnie i wycofaj się, przynajmniej na chwilę. Zejdź z powrotem na dół i porozmawiaj ze swoim kumplem. Daj mi jakieś fory. Co ty na to?

– Gdzie jesteś? – wydusiłam w końcu przez zaciśnięte gardło.

– Tutaj – odpowiedział.

Wyjrzałam ponownie na zewnątrz, penetrując wzrokiem ciemne zakątki. Nie dostrzegłam żadnego ruchu. Nikt tam nie stał i do mnie nie machał.

– Tutaj, czyli gdzie?

– W stodole.

Wrota otwarte. Wewnątrz egipskie ciemności.

– Obserwuję cię przez celownik optyczny. Pozdrów ode mnie Annie. Okazuje się, że jednak nie mogę na niej polegać. Szkoda, to miła dziewczyna.

– Gówno prawda! – zripostowałam. – Mamy całą twoją broń.

A może nie?

– No więc tak sobie myślę, że jeśli chwilę tam poczekaasz, to po prostu sobie pójdę i nie będę musiał was zabijać.

– Nie. – Blefował. Gdyby siedział w stodole z karabinem, nie byłby przyparty do muru. Był w domu, bez broni.

Zmusiłam ręce i nogi do posłuszeństwa i dałam znak Annie, żeby się

oddaliła i dyskretnie zadzwoniła po pomoc.

– Gdzie jest Jenny?

– Kto?

– Dobrze wiesz kto.

– Ach, ona. Nie chcesz wiedzieć.

– W takim razie nigdzie się stąd nie ruszysz. Chcę Jenny i odpowiedzi.

– Jakich odpowiedzi?

– Na pieprzone pytania, kretynie.

Zachichotał szyderczo.

– Może zadzwonię do ciebie, jak już trafię tam, dokąd się wybieram?

– W porządku – stwierdziłam. – Trafisz prosto do pierdła, za jakieś dwadzieścia minut, chyba że faktycznie masz broń, w którym to przypadku trafisz do kostnicy. Mnie wszystko jedno, ale nie spocznię, dopóki mi nie powiesz, gdzie jest Kerry Farrow i gdzie jest inspektor Riley, więc równie dobrze możesz to zrobić teraz. – Ośmielona wyszłam z garażu na zwirowany podjazd i spojrzałam w kierunku otwartych drzwi do domu. – Nie lubię rozmawiać przez telefon – oświadczyłam. – Lepiej wyjdź, żebyśmy nie musiały po ciebie przychodzić. Mogę się za...

Tyłna szyba mojego wozu poszła w drobny mak, eksplodując odłamkami szkła, a ułamek sekundy później dał się słyszeć odległy odgłos strzału.

Upadłam na ziemię, lecz wcześniej zobaczyłam jeszcze biegnącą Annie. Zanim zdążyłam ją powstrzymać, wyskoczyła z garażu prosto pod lufę tamtego mężczyzny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Nigdy nie widziałam nieba równie niebieskiego, jak to, na które patrzyłam, leżąc nieruchomo na żwirze tuż przy samochodzie i próbując rozgryźć, co mnie boli. Nie byłam pewna, jaki to odcień błękitu. Lazurowy? Szafirowy? Kobaltowy? To najczęstsze z używanych określeń, nie wiedziałam jednak tak naprawdę, co oznaczają. Dla mnie był to po prostu błękit. Najczystszy, najgłębszy błękit, jaki kiedykolwiek widziałam i mogłam sobie wyobrazić. Był taki kojący, po prostu niesamowity, z pewnością godny tego, by być ostatnią rzeczą, którą mogłam jeszcze zobaczyć.

Ale nią nie był. Annie o to zadbała, kiedy rzuciła się obok na ziemię i zasłoniła mi widok głową, krzyząc:

– Jezu, Ali, oberwałaś?

Nie byłam pewna. Chyba nie.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam. – Nie podnoś się.

Ale ona już była na nogach. Dała nura na siedzenie kierowcy i odpaliła silnik. Zanim zdążyłam zareagować, koła zabuksowały i mój samochód ruszył gwałtownie do tyłu.

Spojrzałam w kierunku stodoły i dopiero wtedy zrozumiałam, co ją napadło. Wielkie drewniane wrota zwisały bezładnie, wyrwane z zawiasów, a na ich tle majaczyła furgonetka, która wyłoniła się z ciemności i zmierzała szutrową drogą do wylotu podjazdu.

Wiedziałam, co Annie zmierza zrobić, tak samo jak wiedziałam, że jej plan nie wypali. Furgonetka była ogromna, wyglądała jak jeden z naszych starych pojazdów do tłumienia zamieszek, okazałych rozmiarów sprinter z bliźniaczymi kołami, ochronnym orurowaniem, okratowanymi szybami i – o Boże! – zamontowaną z tyłu klatką.

Dźwignęłam się na nogi i krzyknęłam za Annie, patrząc bezradnie, lecz z podziwem, jak obraca moją alfę o sto osiemdziesiąt stopni

i pędzi jak strzała ku linii drzew, pokonując dzielący ją dystans szybciej niż tamten mężczyzna. Dwa razy cięższa furgonetka gnała za nią z dwa razy większym impetem, a ona wyprzedzała ją o dwie, może trzy długości wozu.

Zerwałam się do biegu, całkowicie panując nad adrenaliną, strachem i wściekłością. Przed oczami miałam tylko jeden cel – musiałam się znaleźć wystarczająco blisko vana, by się na niego wspiąć, gdy się zatrzyma.

Annie dotarła przed nim do tunelu drzew. Błysk świateł hamowania i nagle moje auto skręciło gwałtownie najpierw w prawo, potem w lewo, wpadając bokiem w poślizg na zablokowanych tylnych kołach. Tył uderzył w pierwsze drzewo po prawej. Chwilę później w drugie drzewo uderzył przód i alfa zatrzymała się w miejscu w kłębach dymu, plastikowych odłamków i poduszek powietrznych, zaklinowana w poprzek wylotu drogi. Widziałam, jak Annie otwiera drzwi, a potem furgonetka rąbnęła w bok wozu – bez hamowania, bez zawahania – zgniatając go, jakby był z papieru.

Ale alfa wytrzymała i nie rozleciała się na kawałki. Tył vana wzbił się w powietrze na półtora metra i opadł ciężko, gdy nos wrył się prawie na metr w samochód, którego jeszcze nie skończyłam spłacać.

Byłam oddalona o dobre trzydzieści metrów, gdy tamten mężczyzna wyważył kopniakiem drzwi i zsunął się z siedzenia, ciągnąc za sobą karabin. Przeszedł na przód furgonetki, przyłożył kolbę do ramienia i wycelował w ziemię, gdzieś za wrakiem. Wrzasnęłam i sięgnęłam do tylnej kieszeni po rewolwer. Nie było go tam. Zatrzymałam się w miejscu, akurat gdy tamten mężczyzna opuścił broń i odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

I wtedy ujrzałam jego twarz – tę, której mój mózg nie potrafił sobie przypomnieć od dnia, gdy doznał urazu spowodowanego przez jej właściciela.

Była nijaka, pozbawiona wyrazu, ot, pospolity zbiór pospolitych rysów, tak samo niezapadający w pamięć jak portret przypięty do tablicy w centrum koordynacyjnym.

I nic. Nie odżyły żadne wspomnienia. Nie było żadnej magicznej chwili olśnienia ani wzajemnego rozpoznania. Po prostu pokręcił głową, wymierzył i strzelił.

Odruchowo zrobiłam krok w tył, gdy nagle coś odbiło się od mojego biodra; zapiekło i w dżinsach miałam maleńką dziurę, ale to wszystko. Mężczyzna wzruszył teatralnie ramionami i cisnął w chwasty coś, co było najwyraźniej wiatrówką. Następnie sięgnął do vana, wyjął ze środka długi czarny worek i coś jakby łuk, a potem pomachał mi jak mały chłopiec na pożegnanie i rozpląnął się między drzewami.

Opamiętałam się, zanim przestała działać adrenalina. Obiegnęłam furgonetkę i stanęłam tam, gdzie wbiła się w moje auto.

Alfa była kompletnie skasowana; miała niecały metr szerokości i była zgięta niczym banan. Była także pusta.

Wdrapałam się na maskę i zeskoczyłam po drugiej stronie na trakt. Annie leżała jakieś siedem metrów dalej na piachu. Gdy do niej podbiegłam, usiadła gwałtownie z szeroko otwartymi, ogarniętymi szaleństwem oczami i powiedziała:

– O kurwa! Nie byłam na to wystarczająco pijana.

– Jesteś cała? – Przyjrzałam się jej uważnie, wypatrując brakujących bądź wykręconych części ciała, ale wszystko było na swoim miejscu.

– Widziałaś, jak frunę?

– Nie.

– Och, trudno. Powtórki nie będzie. Którędy pobiegł?

Wskazałam kierunek.

– Jesteś ranna?

– Nie.

– Masz broń?

– Nie.

Uniosła kciuki i powiedziała z sarkazmem:

– Świetnie. Miałaś tylko jedno zadanie. – Zerwała się na nogi; jej wykrzywiona bólem twarz emanowała gniewem. Chwyciła mnie pod pachy i podciągnąwszy do góry, rzuciła: – Co teraz?

Teraz poczekamy na posiłki, każemy obstawić okoliczne drogi

i wezwiemy wsparcie z powietrza. Oto co teraz, pomyślałam. Ale dwadzieścia minut to dwadzieścia minut, więc odparłam:

– Nie wiem. Chyba przestaniemy się opieprzać i ruszymy w pogoń.

Kevin rozsuwał powoli kolejne klucze, aż w końcu Erica rozpoznała ten, który pasował do zamka w klatce.

– To ten – oznajmiła. – Ten mosiężny. Dasz radę go odczepić?

Kevin posłał jej pełne konsternacji spojrzenie i uniósł rękę.

– Nieprędko, ale się postaram – stwierdził.

Patrzyła z niepokojem, jak zмага się z kółkiem; jego palce ślizgały się po nim, pokrywając je coraz grubszą warstwą krwi.

– Uda mi się – wykrztusił.

– Daj, ja spróbuję. Przytrzymaj je w górze.

Jęknął z bólu, który eksplodował w ciągniętej po ziemi stopie. Choć kręciło mu się w głowie, zdołał się dźwignąć i przyłożyć pęk kluczy do siatki.

– Nie, najpierw je wytrzyj.

Pokiwał głową z westchnieniem; nieporadnie potarł kółko o najmniej zakrwawione miejsce na spodniach, jakie dojrzał przez lepki szkarłatny filtr przesłaniający mu oczy, i ponownie uniósł. Nie można powiedzieć, żeby było czyste, ale teraz przynajmniej się nie ślizgało.

Erica przełożyła właściwy klucz przez oczko siatki i zaczęła obracać kółkiem w poszukiwaniu końca, który wreszcie znalazła. Zdołała wetknąć paznokiec, ale nie miała już rąk ani miejsca na dalsze manewry.

– Musisz mi pomóc. Ja zaczepię, a ty przesuwaj, okej?

Kevin mruknął, wyrażając aprobatę dla jej pomysłu, i rozlał jeszcze więcej krwi z dłoni, gdy zaczął manipulować kółkiem. Upuścili pęk i musieli zacząć od nowa, i to dwukrotnie, ale w końcu zdołali wetknąć klucz gdzie trzeba i odczepić od pozostałych.

Erica usiadła, opierając się plecami o klatkę, i wybuchnęła śmiechem.

– Cieszę się, że humor ci dopisuje – wybełkotał Kevin, osuwając się po drzwiach.

– Lepsze to niż płacz – odparła. – Wiesz, że zamki są dwa?

Teraz, gdy już opanowali technikę, z drugim kluczem poszło łatwiej. Erica wreszcie dźwignęła się na nogi i wsunęła pierwszy klucz do górnego zamka, a kiedy nie chciał się przekręcić, wyjęła go i spróbowała szczęścia na dole. Chwilę później drzwi się otworzyły, a Kevin wylał się przez próg na podłogę.

– Dasz radę iść? – spytała optymistycznie Erica.

Kevin roześmiał się wbrew sobie.

– Miałem nadzieję, że mnie zaniesiesz.

– No cóż, w takim razie do zobaczenia. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Już dobrze, pomóż mi wstać.

Erica wyglądała, jakby została żywcem wyjęta z finałowej sceny „Carrie”, gdy już wtaszczyła Kevina na szczyt schodów. Jej włosy, twarz i ręce, jej koszulka i jedna nogawka dżinsów były umazane jego krwią. Przypomniała sobie ten jeden jedyny raz, gdy równie rozpaczliwie pragnęła kąpieli, i zadrżała na to wspomnienie.

Pomogła Kevinowi przejść przez otwór w ścianie, po czym znów zarzuciła sobie jego rękę na szyję i poprowadziła obok rozbitego bmw na próg garażu.

I tam go upuściła.

– Co jest, do kurwy? – Wyszła na skąpany w słońcu podjazd i stanęła tam, gdzie jeszcze niedawno stała alfa. – Gdzie, do ku... – Obróciła się wokół własnej osi, trącając czubkiem buta leżący na ziemi rewolwer, i objęła wzrokiem skraj polany. Furgonetka leżała na boku, z jednego końca sterczał zakrzywiony kawałek błyszczącego czerwonego metalu. – Ali? – wrzasnęła, oglądając się na dom w płonnej nadziei.

– Co się dzieje? – Kevin próbował się do niej doczołgać, ale go powstrzymała.

– Zostań tu – rozkazała. – Nie wychylaj się. Ja... poszukam czegoś, co

cię ogrzeje.

Podniosła broń i utkwivszy wzrok w furgonetce, podeszła do frontowych drzwi. Nadal stały otworem. Przywarła do ściany przy futrynie i zajrzała do środka.

– Ali? – Z salonu nie dobiegł żaden głos. – Annie? – Weszła ostrożnie do środka i wsunęła głowę do kuchni. Pusto.

Stała na pierwszym schodku, chcąc wejść na piętro, ale zrozumiała, że nie ma tam czego szukać. Znała ten dom na wylot, wiedziała, kiedy jest pusty, czuła to przez skórę.

Pośpieszyła do salonu i nie obejrzawszy się nawet na brakujący fragment dywanu, podeszła do okna. Chwyła obiema rękami za brzeg zasłony i mocnym szarpnięciem zerwała ją z karnisza.

Kiedy wróciła do Kevina, trzął się jak w febrze. Opatuliła go zasłoną, zwijając ją w kupkę pod głowę na wzór poduszki, i przeczesła palcami jego splątane włosy.

– Nic ci nie będzie – powiedziała. – Pomoc jest już w drodze. Zaraz wrócę.

– Nie zostawiaj mnie samego – wybełkotał.

– Muszę coś załatwić. – Wstała i podeszła do bmw. – Wrócę najszybciej, jak się da, obiecuję.

Upewniła się, że rewolwer tkwi bezpiecznie za paskiem na plecach, po czym wyjęła z bagażnika kanister z benzyną i wybrała się na przechadzkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Annie dreptała za mną z telefonem i próbowała zdyszczanym głosem pomóc rozłokować uzbrojone posiłki na okolicznych drogach, wychodząc z optymistycznego założenia, że damy radę zagonić tamtego mężczyznę w ich stronę. We dwie byłyśmy uzbrojone zaledwie w dwa telefony komórkowe, notes i długopis, dlatego miałam nadzieję, że nie dopadniemy go pierwsze.

Nietrudno było go wytropić; był roslym facetem i przedzierał się przez poszycie z niszczycielskim impetem, zostawiając wyraźny ślad pochyłonych i połamanych paproci.

Jednak po kilku minutach zarośla, a wraz z nimi wierzchołki drzew, zaczęły się przerzedzać. Grunt stał się twardy i brunatny, pokryty kobiercem zeschniętych liści i gałęzi, przez który prowadził tor przeszkód z powalonych omszałych pni. Było tu dużo cienia i równie dużo światła; migoczące snopy promieni słonecznych przebijały się przez zielony okap, rozświetlając leśne podłoże złocistą poświatą.

Było też cicho.

Podniosłam rękę, dając znak Annie, żeby się zatrzymała. Pochyliłam się, opierając dłonie o uda, wciągnęłam w płuca haust powietrza i wyplułam to paskudztwo, które zalegało mi w gardle. Znowu poczułam ból w nodze, prawe kolano zaczęło drżeć pod ciężarem ciała.

Annie przykucnęła obok i wzrokiem skupionym jak nigdy penetrowała teren, niczym jastrząb wyczulony na najdrobniejszy ruch.

– Gdzie on się podział, do cholery? – spytała szeptem.

Pokręciłam głową, usiłując uspokoić oddech.

– Nie wiem. Był tuż przed nami.

– Dałyśmy ciała?

– Na to wygląda – przytaknęłam.

– Cholera.

Położyłam jej dłoń na plecach.

– Wiesz, gdzie jest droga?

Machnęła ręką mniej więcej na lewo.

– Gdzieś tam. Jeśli pójdziemy tędy, dotrzemy do rzeki, tak mi się zdaje.

Dobrze, pomyślałam.

– Dobrze. Tak zrobimy. Trzymajmy się po tej stronie, to może, jeśli dobrze pójdzie, nie będziemy musiały go łapać. Ktoś inny go dorwie.

Wyraziła aprobatę, wystawiając rękę do przybicia piątki, co też zrobiłam.

– Ruszamy?

Zaczęłam kiwać głową, ale coś było nie tak.

– Poczekaj – wyszeptałam. Było za cicho. Stanowczo za cicho. Ogarnęło mnie to specyficzne uczucie, kiedy wiesz, że ktoś cię obserwuje. – Odwróć się – poleciłam. – Obserwuj tyły. Staraj się nie oddychać.

Annie odwróciła się powoli. Jedyнным dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był chrzęst miażdżonej butem zeschniętej gałązki. Nic więcej. Ptaki nie śpiewały. Króliki nie hyczały. Przez długą, złąknioną tleniu chwilę towarzyszyła nam tylko cisza.

I nagle coś jakby zgrzyt. Metaliczny pogłos. Na prawo od nas, jak sobie uświadomiłam, z dala od drogi.

Cholera.

Tupot, a potem znów, tym razem trochę dłużej. Dystans niemożliwy do określenia.

Dystans.

– Annie – wyszeptałam.

Łuk.

– Co?

Szelest, głośniejszy, i ruch, piętnaście metrów na prawo ode mnie, a potem duży ciemny kształt wyłaniający się zza powalonego drzewa.

W uszach rozdzwoniły mi się słowa Eriki: „...żeby zagrać w jakąś grę”.

– Spierdalamy! – rzuciłam.

I tak spierdoliłyśmy obie, Annie i ja, podczas gdy pierwsza strzała przecięła powietrze dokładnie w miejscu, w którym nasze głowy znajdowały się jeszcze przed sekundą. Biegłam prosto przed siebie, zawierając swój los ślepemu szczęściu, gdy wykręciłam szyję i ujrzałam, jak tamten mężczyzna nakłada drugą strzałę. Patrzył na mnie przez ułamek sekundy, zanim się odwrócił i wycelował w coś za sobą.

Oczywiście wpadłam na drzewo. Bolało, ale nie tak bardzo, jak by bolała strzała wbita w twarz, więc natychmiast się otrząsnęłam i przywarłam do pnia, gorączkowo wypatrując Annie.

Nigdzie jej nie widziałam, za to słyszałam i widziałam, jak tamten mężczyzna ją tropi z napiętym łukiem, gotowy oddać strzał.

– Annie, padnij! – wrzasnęłam. Wypuścił strzałę, a potem się odwrócił i przykuł mnie spojrzeniem, jednocześnie sięgając do torby, którą przewiesił sobie przez ramię jak kołczan.

– Ali, dlaczego po prostu się nie odpieprzyłaś? – zawołał. – Mówiłem, że nie chcę cię skrzywdzić.

Prawie parsknęłam śmiechem, ale zamiast tego krzyknęłam:

– Właśnie to robiłeś z tamtymi dziewczynami? Z Kerry też?

– A czemu by nie! – Nałożył trzecią strzałę i odciągnął cięciwę. – Musisz przyznać, że to niezła zabawa.

Skryłam się ponownie za drzewem i chwilę później poczułam, jak strzała z głuchym łoskotem zatapia się w pniu.

– Gdzie ona jest? – wrzasnęłam.

– Kto?

– Kerry.

Cisza. Poczekalam dziesięć sekund, a potem uderzyła mnie myśl, że się do mnie zbliża, więc zaryzykowałam i wychyliłam się, żeby spojrzeć. Nie ruszył się z miejsca, tylko tak jakoś zwyczajnie stał z łukiem w jednej i strzałą w drugiej ręce, kiwając głową na boki,

jakby rozważał, co odpowiedzieć.

– Okej, powiem ci – stwierdził. – Emily’s Wood. Jest tam taki stary drewniany powóz, a raczej to, co z niego zostało. A ona jest pod nim. To jak, uciekasz?

Do cholery, gdzie jest Annie? Jeśli miała choć trochę rozumu, powinna spieprzać z lasu ile sił w nogach, ale ledwie o tym pomyślałam, dostrzegłam, jak wychyla się zza drzewa niecałe pięćdziesiąt metrów od tamtego mężczyzny.

– Nie – odpowiedziałam.

Opuścił ramiona, a wraz z nimi łuk, który zawisł bezwładnie przy jego boku.

– Dlaczego?

– Bo nie możesz mnie zabić, dopóki chowam się za drzewem?

Zdawał się chwilę zastanawiać nad moimi słowami, zanim doszedł do całkiem słusznej konkluzji, że to głupie, bo i tak zginę, jeśli podejdziesz bliżej.

– To głupie – powiedział.

Ale to nie był prawdziwy powód.

Wyszłam z ukrycia i stanęłam z nim twarzą w twarz. Zrobiłam jeden krok, potem drugi.

– Tak naprawdę – zaczęłam – nie uciekam, bo to ja cię ścigam, nie odwrotnie.

Nadal nie unióś łuku. Zrobiłam kolejny krok, i jeszcze jeden, a potem szłam dalej.

– Nie będziesz na mnie polował – oznajmiłam stanowczo, starając się zignorować fakt, że jestem nieuzbrojona i sama w lesie. Moja logika najwyraźniej kulała bardziej niż noga.

– Owszem, będę. Taka jest moja rola. Kurwa, ja tu jestem myśliwym, nie ty.

Patrzył na mnie z rosnącą konsternacją, łuk drgał w jego dłoni.

– Stój – rozkazał. – Nie podchodź bliżej.

– Bo co? Co zamierzasz zrobić?

– Pytanie brzmi, co ty zamierzasz zrobić?

Tak, to było dobre pytanie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wiedziałam tylko, że stoi dwadzieścia metrów ode mnie i znów wznosi łuk.

Odpowiedzi zniecka udzieliła Annie. Wybiegła zza drzewa na pełnym gazie, zmierzając prosto na niego, ewidentnie z jakimś przerażającym zamiarem.

Wiedziałam, że jej się nie uda. Dostrzegłam tę zmianę w wyrazie jego twarzy, gdy usłyszał, jak się zbliża, i zerwałam się do biegu, kiedy zaczął się odwracać w jej stronę. Każdą z nas dzieliło od niego pięć metrów, gdy puścił cięciwę. Skoczyłam mu na plecy, zaciskając ramię na jego szyi, jeszcze zanim Annie runęła na dywan paproci z półmetrową strzałą wystającą znad prawej piersi.

Drugą dłonią dobrałam się mu do twarzy, wbijając palce w oczy. Upuścił łuk i zaczął drapać moje ręce zakrzywionymi szponami, kręcąc się w miejscu i wierzgając z dzikim rykiem. Zacieśniłam chwyt wokół jego szyi, napinając biceps do granic bólu i wpijając paznokcie we własne ramię. Za cholerę nie wiedziałam, co robić. Marzyłam tylko o tym, żeby wycisnąć z niego życie.

Nagle wyrzucił ręce do tyłu, chwycił garść moich włosów i pochyliwszy się do przodu, zaczął za nie szarpać i ciągnąć, i po chwili znalazłam się w powietrzu. Jego twarz zawirowała mi przed oczami, kiedy zmierzałam ku ziemi, lądując na karku. Usłyszałam chrzęst i już myślałam, że to koniec, lecz moja ręka wciąż mocno go ścisnęła, więc upadł w ślad za mną – głową do przodu, prosto w mój brzuch – i zwałił się na mnie całym ciężarem, pozbawiając tchu i wgniatając w twarz kłamrę paska.

Nie mogłam oddychać. Czułam, jak krtań wzbiera mi żółcią. Wiedziałam, że zaraz zwymiotuję, i jeśli pozostanę w tej pozycji, niechybnie się zadławię. Wbiłam więc wszystkie paznokcie w jego plecy najgłębiej, jak mogłam, i łamiąc przy tym trzy z nich, wydarłam mu z gardła pełen udręki jęk.

W odpowiedzi uderzył mnie mocno łokciem w krocze i prawie zemdlałam. Przygniótł mi kolanem policzek, gramoląc się ze mnie,

a potem – gdy nie zdołałam pochwycić jego nogi – zaczął się czołgać w kierunku torby, która spadła mu z ramienia. Podniósł się na kolana i wtedy w jego dłoniach dostrzegłam maczetę – tę, którą widziałam na zdjęciach, tę, którą zabił Diaza i męża Carli, i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Zrozumiałam, że jeśli zaraz nie wstanę, to zginę.

Przetoczyłam się na brzuch, zacisnęłam zęby, wsparłam się na rękach i podciągnęłam kolano. W tej samej chwili przeszył mnie silny ból i przyprawił o odruch wymiotny. Z ust pociekła mi strużka gęstej żółci, ale to mnie nie powstrzymało. Dźwignęłam się na nogi i powaliłam go na ziemię, podbiegając do Annie. Była przytomna – plecy wygięte, twarz złana potem, zęby zgrzytające z bólu. Ale nie miałam wyboru, musiałam zrobić, co trzeba.

Usłyszałam za sobą zgrzyt ostrza, gdy tamten mężczyzna przesunął rękę, próbując się podnieść.

– Bądź dzielna – powiedziałam i położyłam stopę na jej obojczyku, przyciskając do ziemi. Chwyciłam strzałę w śliskie od potu dłonie, zablokowałam łokcie i mocno ciągnąc, wyjęłam grot z jej piersi. Następnie przełożyłam strzałę do prawej ręki i odwróciwszy się, stanęłam twarzą w twarz z napastnikiem, który zamierzył się na mnie maczetą, gotów pozbawić mnie głowy czystym cięciem. Uchyliłam się i rzuciłam na niego z impetem. Zderzyliśmy się, a strzała wbiła się w jego gardło, nie wiem, jak głęboko, ale moja pięść zatrzymała się tuż przy jego szyi. Bezużyteczna maczeta wypadła mu z ręki i wtedy moja noga całkowicie odmówiła posłuszeństwa. Okręciłam się wokół własnej osi i runęłam, a on zwalił się obok z lekkim stęknieniem.

Moje uszy wypełnił głośny krzyk Annie. Podpełzłam do niej i ujęłam jej twarz w dłonie. Jej puls gnał galopem, oddech był płytki i urywany, źrenice na zmianę rozszerzały się i zwężały w rytm walącego w piersi serca.

– Spokojnie – powiedziałam. – Nic ci nie będzie. Zabiorę cię stąd.

Położyła mi rękę na głowie i przyciągnęła do siebie.

– Trochę spieprzyłam, przepraszam – wychrypiała.

Potwierdziłam ruchem głowy.

– Ale ocaliłaś mi tyłek.

– Taa. – Skrzywiła się z jękiem, gdy jej bark przeszył ból. – Było warto, mi...

Padł strzał. Obróciłam się gwałtownie i wylądowałam na czterech literach.

Erica stała obok tamtego mężczyzny, ściskając broń, z której wydobywała się smużka dymu, i patrzyła na mnie i na Annie z twarzą tak spokojną, jak wiaterek muskający jej włosy.

– Poruszył się – wyjaśniła. Spojrzała w dół na rosnącą w gwałtownym tempie kałużę krwi u swych stóp, a potem znów przeniosła wzrok na mnie. – Jestem pewna, że się poruszył.

W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy, ale przestałam się już przejmować.

– Ja pierdolę, Erica – warknęłam.

– Co z nią?

– Nie za dobrze.

– Potrzebujesz pomocy?

– Potrzebowałam, dziesięć minut temu.

Wzruszyła ramionami i wetknąwszy pusty rewolwer z tyłu za dżinsy, podeszła do Annie.

– Sorry – odparła. – Lepiej późno niż wcale, no nie?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Gdy wraz z Ericą wydostałyśmy się z lasu, niosąc Annie obwiązaną strzępami porwanej koszuli, dom płonął już jak pochodnia.

Nie usłyszałam, kiedy Erica rzuciła, żeby kierować się „w stronę dymu”, bo patrzenie pod nogi było wystarczająco absorbujące, więc gdy ujrzałam ścianę ognia, stanęłam jak wryta.

Erica nie zreflektowała się i szła dalej, dopóki Annie nie obwieściła wrzaskiem, że osiągnęła granice rozciągłości. Dopiero wtedy się zatrzymała i spojrzawszy przez ramię, spytała:

– Co jest?

– Erica, coś ty zrobiła?

– O co ci chodzi?

– Do jasnej cholery, dom się pali.

Popatrzyła na pióropusz gryzącego dymu, zapadający się dach i płomienie skaczące po oknach i drzwiach.

– W rzeczy samej – przyznała.

– Coś ty, do kur...

– Dla jasności, tak już było, kiedy tu przyszałam.

– Nie możesz prze...

– Boże, jakie to dla was typowe. Obwiniacie mnie za każde gównno. – Szarpnęła ciałem Annie, zmuszając mnie do marszu. – Pewnie zaraz mi powiesz, że to przeze mnie twoja przełożona nie żyje.

Upuściłam stopy Annie, własnym krzykiem zagłuszając zarówno jej krzyk, jak i wycie syren.

– Jenny nie żyje? Gdzie jest?

Erica znowu stanęła.

– Spokojnie, chciałam tylko sprawdzić, czy się tym przejmiesz.

– Niech cię diabli! Gdzie ona jest?

– W bagażniku furgonetki, tej, która zaparkowała na twoim wozie.

Przeniosłam wzrok na vana, moją alfę i formujący się za nimi kordon karetek i radiowozów.

– Nie wypuściłaś jej?

– Nie.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem, chociaż pewnie na jej miejscu postąpiłabym tak samo.

– Byłam zajęta – odpowiedziała bezbarwnym głosem.

– Ali, to naprawdę boli.

– Wrócimy do tego później – skwitowałam.

Podniosłam Annie za nogi i wspólnymi siłami zaniósłamy ją tam, gdzie trójka ratowników wraz z hordą uzbrojonych po zęby policjantów przedzierała się właśnie przez zarośla.

Położyłyśmy ją na trawie. Przykucnęłam obok, ścisnęłam ją za rękę i nachyliwszy się do jej ucha, wyszeptałam:

– Nigdy wcześniej nie spotkałaś tamtego mężczyzny.

Właściwie nic więcej nie było do dodania. Gdy ratownicy dotarli do Kevina, a w końcu do niego dotarli, był nieprzytomny. Przez jakiś czas nie będzie go w pracy, wiedziałam jednak, że w końcu wróci, i to z kozacką blizną, którą będzie się mógł przechwalać.

Na mnie z kolei będzie czekało sześć pogrzebów sześciu kobiet, łącznie z Kerry Farrow – gdy już przytaszczę ją z lasu – a także sześć nowych historii – o ciężkich czasach, ciężkich wyborach albo po prostu o ciężkim losie. Sześć nowych historii, które spiszę i odłożę *ad acta*. Ktoś inny może je spíše i jeśli uzna, że są wystarczająco interesujące bądź obsceniczne i zasługują na uwagę, wyda je drukiem ku uciechu wiedzionych chorobliwą ciekawością czytelników, żeby mogli pochylić się nad ich lekturą przy śniadaniu w zaciszu domów nietkniętych przemocą czy tragedią.

Dla mnie jednak trywialne szczegóły tychże historii i tak pozostaną tylko nieistotną dygresją. To było sześć różnych kobiet o sześciu różnych nazwiskach, każda o czymś marzyła i czegoś się bała, każda miała bliskich i własne życie, i to wszystko zostało im odebrane – ot,

dla kaprysu – przez człowieka, który nigdy nie wątpił, że ma do tego prawo.

Cóż, pieprzyć go. Reeda, Faulknera czy jak mu tam. Nieważne, pod jakim bzdurnym nazwiskiem figurował w moim cholernym notesie – ważne, że było po nim. A jeśli ktoś zada sobie trud, żeby go znaleźć, zanim zrobią to zwierzęta, to gdy będą go składać do grobu, ja będę myć głowę.

– Wypiję za to – powiedziała Erica. – Annie na pewno by za to wypięła. Właściwie to wypięłaby tak czy siak.

Spojrzałam w dół na swoje ręce, dżinsy i buty, wszystkie w odcieniach czerwieni. Domyślałam się, że moja twarz wygląda podobnie. Annie narobiła niezłego bałaganu, i to pod wieloma względami.

– Chciałabym już być pijana – stwierdziłam.

Erica uśmiechnęła się i rzuciła:

– Jeszcze nic straconego.

Odwzajemniłam jej uśmiech.

Siedziałyśmy przed domem, pozwalając, by ogrzewana płomieniami krew powoli przyschła do skóry. Zanim wrak zostanie ściągnięty z podjazdu, miną całe godziny. Zresztą gdy strażacy dotrą na miejsce, i tak zastaną już tylko tłący się szkielet.

– Co teraz zrobisz?

– Wrócę do domu i wezmę prysznic – odpowiedziałam. – A potem porozmawiam z twoją prawniczką, która już pewnie nie zostanie moją dziewczyną, i spróbuję wymyślić, jak cię wyciągnąć z tego szamba.

Popatrzyła raz jeszcze w kierunku samochodów, gdzie grupa ratowników zajmowała się Jenny, wreszcie wyswobodzoną z potrzasku.

– Co jej powiesz?

– Na pewno nie to, że podpaliłaś dom, siewco chaosu.

Przybrała wystudiowaną minę niewiniątka.

– Już ci mówiłam, że nie zbliżałam się do domu.

– Owinęłaś Kevina zasłoną.

– Nie, coś ci się pomieszało. – Mrugnęła do mnie znacząco z ironicznym uśmieszkiem. – A nawet jeśli, to co? Byłam ostatnio naprawdę ostrożna, ale wypadki się zdarzają. Nam wszystkim.

– Ty sama jesteś chodzącym wypadkiem.

– Moja mama ciągle mi to powtarza. Chyba za mną nie przepada. Roześmiałam się.

– Twoja mama była gotowa pójść za ciebie siedzieć. Nie zapominaj o tym.

– Celna uwaga – przyznała z westchnieniem. Obejrzała się ponownie przez ramię i rzuciła: – Cholera.

Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem. Jenny patrzyła w naszą stronę. Przerwała rozmowę z namolnym ratownikiem i odprawiła go machnięciem ręki.

– Lepiej ustalmy nasze wersje – powiedziała – bo inaczej będziesz po uszy w gównie.

– Ja?!

– Tylko ostrzegam. Myśl szybciej.

Zerknęłam za siebie; Jenny zmierzała w naszym kierunku. Westchnęłam i wzniosłam oczy ku niebu. Ten błękit, rozmyty gdzieś za kłębamii gęstego, czarnego dymu, był naprawdę piękny. Miałam nadzieję, że przynajmniej on pozostanie mi w pamięci.

Wyjęłam z kieszeni notatnik. Otworzyłam go na ostatniej zapisanej stronie i przeczytałam na głos:

– Emily's Wood.

Erica spojrzała na mnie z konsternacją.

– Emily's Wood?

Skinęłam głową.

– Przypomnij mi później. I pomóż mi wstać.

Stała przede mną, podając mi rękę. Złapałam ją i z jękiem się podniosłam. Przeszłam sześć kroków w kierunku domu, wycelowałam w kuchenne okno i wrzuciłam notes do ognia.

– Umawiamy się, że to ja będę gadać – oznajmiłam.

Erica zrobiła wielkie oczy i zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Co chcesz zrobić?

– Nie wiem – odparłam. – Sprzedam jej jakąś odgrzewaną historyjkę.

I tak nie będę wiedziała, czy tak było naprawdę, no nie?

Erica wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby dopiero teraz zrozumiała.

Posłałam jej uśmiech.

– Tak mówiąc między nami, za cholereę nic nie pamiętam.

PODZIĘKOWANIA

Pisanie powieści to długotrwałe i stresujące przedsięwzięcie. Jeśli jej sukces przerośnie twoje najśmielsze oczekiwania i marzenia, praca nad jej kontynuacją może wykończyć nerwowo. Dlatego wszystkim, którzy czytali i wspierali „Zwykłego człowieka”, pragnę podziękować w pierwszej kolejności za to, że sprawiliście, iż moje życie stało się dużo prostsze i zarazem o wiele trudniejsze!

Skoro do wychowania dziecka potrzeba całej wioski, to do stworzenia książki potrzeba całego miasta. „Martwe dziewczyny” nie ujrzałyby światła dziennego, gdyby nie masa cudownych ludzi, których na szczęście miałem wokół siebie. Dziękuję więc z całego serca:

Mojej cierpiącej w milczeniu redaktorce, Sally Williamson, za jej anielską cierpliwość, którą zapewne mocno nadwyrężyłem.

Mojej niewiarygodnie zawziętej i ofiarnej agentce, Amy Moore-Benson, za to, że nigdy nie pozwoliła, bym poległ w boju.

Timowi Cooperowi za to, że przemienił szampana w złoto.

Emily Ohanjanians i Ericie Imranyi z wydawnictwa Harlequin za pokładaną we mnie wiarę, a także Sophie Calder, Alison Lindsay, Carze Thompson, Joe Thomasowi i reszcie zespołu z głównego centrum dowodzenia.

Derekowi Burke’owi za to, że był mi cierniem w tyłku. Jamesowi Spicerowi za to, że jest wspaniałym przyjacielem, a kiedy trzeba, szefuje jak szef. Pomarańczowej ekipie superbohaterów z toru wyścigowego Snetterton za to, że pilnowali, bym nie odleciał i nie stawał zbyt często w płomieniach: Andrew Daveyowi, Darrinowi Chalu, Dave’owi Ovensowi, Davidowi Wickowi, Dennisowi Jackmanowi, Geraldowi Pearce’owi, Jamesowi Ledfordowi, Jamiemu Thompsonowi, Lee Pearce’owi, Marcusowi Bowyerowi, Markowi

Thompsonowi, Martinowi Bowleyowi, Neilowi Howesowi, Philowi Keenowi, Richardowi Rogersowi, Samowi Crossowi, Simonowi Thomasowi, Stanowi Burtonowi, Timowi Cookowi i ósmemu cudowi świata, Tomowi Schevingowi.

Domenice De Rosa za umiejętność przeplatania ze sobą światów i wiele innych ekstrawagancji.

Elizabeth Haynes za odkurzenie prawie zapomnianych informacji o systemach komputerowych, o których znowu prawie zapomniałem. Tak więc co złego to nie ja.

Danowi Raynerowi z wydziału kryminalnego w Thetford za bycie wzorem gliniarza, jakim Kevin chce zostać, gdy dorośnie.

Leili Solomons, której gościnne pojawienie się na kartach tej książki zaowocowało szczodłą darowizną na cele dobroczynne lub vice versa.

Niesamowitej społeczności blogerów, bibliofilów i superoddanych fanów, w tym licznych pisarzom i ludziom z branży, których zaangażowanie i niesłabnący entuzjazm mają kolosalny wpływ na czytelnictwo, a dzięki temu reszta z nas ma pracę. Mam tu na myśli takie wybitne osobistości, jak Liz Barnsley, Tracy Fenton, Anne Cater, Rebecca Bradley, Margaret Madden, Sumaira Wilson, Timea Cassera, Alex Golding, Ayo Onatade i jeszcze wiele, wiele innych.

Lee Childowi, Jamie Mason, Michaelowi Robothamowi, Fionie Cummins i kilkudziesięciu innym autorom brytyjskiej prozy kryminalnej, których zgodnie z umową nie mogę wymienić z nazwiska, ale jestem pewien, że wiedzą, o kim mowa.

Chrisowi Rushby'emu oraz zdecydowanie ponadprzeciętnej Annie z domu towarowego Jarrold.

Całemu personelowi destylarni Jack Daniel's oraz sieci pizzerii Domino's, a zwłaszcza filii z okręgu Norwich North, za pomoc w przetrwaniu pracowitych nocy.

Wszystkim, którzy poświęcili swój czas, żeby podzielić się uwagami na temat „Zwykłego człowieka” – część z nich wywarła na mnie ogromny wpływ, w znacznym stopniu determinując kierunek mojej dalszej drogi pisarskiej. I właśnie o to w tym chodzi.

Mamie i Andrew za wszystkie pytania. Tacie za to, że słuchał.

Moim dzieciom Oscarowi, Lewisowi, Sophie i Eve za to, że rozświetlają moje życie, i tym samym dodają blasku wszystkim dodatkowym siwym włosom, których mi przysporzyły.

Mojej cudownej partnerce Claire, której przynajmniej jeden z bohaterów zawdzięcza życie, za jej niezachwiane wsparcie i jeszcze dziesięć stron innych rzeczy, które bez niej nie byłyby możliwe.

Helen Cadbury, której pamięci dedykuję tę książkę i której nigdy nie zdołam się odwdziaczyć za okazane mi serce i słowa zachęty.

I wreszcie, co najważniejsze, Wam za to, że wróciliście i nadal tu jesteście. Dziękuję i zapraszam ponownie.

Tytuł oryginału: Dead Girls

Pierwsze wydanie: Park Row Books, 2018

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Projekt okładki: HQ Design, an imprint of HarperCollins Publishers UK, zdjęcie na okładce: Arcangel

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne: Jan Burski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2018 by Graeme Cameron

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2019

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books, S.A.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.
Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o. ,
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327639806

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Dedykacja

Martwe dziewczyny

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Część druga

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Część trzecia

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Część czwarta

Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty

Część piąta

Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty

Część szósta

Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Podziękowania

Strona redakcyjna